



Piotr Lisiewicz
POCHWAŁA MĄDROŚCI
POLSKIEGO SZALEŃSTWA



Hanna Shen
PRZEMYSŁ PRZESZCZEPOWY
W PAŃSTWIE ŚRODKA

#126
8/2016

NOVE
PANSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOVE PANSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 17 040
indeks 211060
#126 8/2016

Ustrój III RP był zemstą
na robotnikach za Solidarność.

Pogarda dla biednej Polski

Ilustracja: Antoni Chodźkowski



ISSN 1895-4960

9 771895 496605

08



Esbek z audi spogląda na klasę robotniczą / 4



Kolorowe portale / 16



Pochwała mądrości polskiego szaleństwa / 30



Tarzan: bitwa o lunch / 60



Przeciw chińskiemu okrucieństwu / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU 4-14

- Piotr Lisiewicz
Esbek z audi spogląda na klasę robotniczą / 4
 Joanna Duda-Gwiazda
Na elity padł błdy strach / 8
 Ryszard Czarnecki
Polska bieda, europejski kontekst / 11
 Jan Przemyski
Dwa miliony z nas żyją w biedzie / 12

IDEE 16-29

- Małgorzata Matuszak
Kolorowe portale / 16
 Robert Tekieli
„Zmanipuluję Cię, kochanie” część II / 20
 Tomasz Terlikowski
Świętym nikt się nie rodzi. Świętym się staje! / 23
Szczyt NATO i polska Realpolitik / 26

HISTORIA 30-59

- Piotr Lisiewicz
Pochwała mądrości polskiego szaleństwa / 30
 Magdalena Złotnicka
Różaniec, wampir i koty / 36
 Dariusz Jarosiński
Gorsza niż Judasz / 42
 Agnieszka Kowalczyk
Ogród polskości Izabeli Czartoryskiej / 48
 Z ks. Jerzym Popiełuszką rozmawiał ks. Antoni Poniński
Osiadłem wśród robotników / 54
 Z gen. Tadeuszem Pełczyńskim rozmawiał Jean François Steiner
Gdyby nie Powstanie, Stalin byłby wyzwolicielem Warszawy / 56

KULTURA 60-68

- Sylvia Krasnodębska
Tarzan: bitwa o lunch / 60
 Andrzej Kozłowski
Nowe życie starych brzmień / 63
 Krzysztof Karnkowski
Dźwiękowa pocztówka z Bagien / 64
 Z Edoardo Marią Falcone rozmawia Sylvia Krasnodębska
Wyśmiewam szaleństwa rzeczywistości / 67
 Corey Harris: blues źródła na Rawie Blues / 68

ŚWIAT 70-97

- Hanna Shen
Przeciw chińskiemu okrucieństwu / 70
 Antoni Rybczyński
Twierdza Kaliningrad / 74
 Stefan Czarnecki
Gdy coś się skończy... / 82
 Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 90
 tłum. Antoni Rybczyński
Jak odstraszyć odradzającą się Rosję / 93
 oprac. Stefan Czarnecki
Za chlebem przez Orinoko / 96

Stale rubryki



Katarzyna Gójska-Hejke
Przywracanie sprawiedliwości
NA POZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... ubóstwo
KATECHIZM INTELIGENTA 15



Olga Doleśniak-Harczuk
Od superpaństwa do szczytu NATO
Z GLOBALNEGO TYGŁA 79



Ryszard Czarnecki
Trump i okolice
CZARNECKO TO WIDZĘ 89



Marcin Wolski
Nędza umysłowa
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
O co chodzi z tym Międzymorzem
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
 POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA



miesięcznik
 wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
 REDAKCJA
 02-056 Warszawa
 ul. Filtrowa 63/43
 e-mail: redakcja@niezalezna.pl
 www.panstwo.net

ZESPÓŁ
 Ryszard Czarnecki, Stefan Czarnecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowski, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
 Martyna Hajdo-Trolińska
 DYREKTOR WYDAWNICZY
 Tomasz Sakiewicz
 PROJEKT GRAFICZNY
 Mariusz Troliński
 DTP
 Aleksander Raczworkow
 KOREKTA
 Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
 tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
 prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
 4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
 ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Przywracanie sprawiedliwości

Trzeba mieć w pamięci jedną z niezwykle istotnych przyczyn zubożenia Polaków – postkomunizm. 1989 rok rozpoczynał wieloletni okres zwyczajnego grabienia dóbr publicznych przez ludzi systemu komunistycznego i współpracujących z nimi przedstawicieli tzw. opozycji. Lata 90. to wprost rozbiór wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, przy jednoczesnym przeniesieniu największych ciężarów transformacji ustrojowej na zwykłych Polaków.

Zaledwie po kilku tygodniach realnego funkcjonowania jest zupełnie jasne, iż „Program 500 plus” jest przedsięwzięciem trafionym w punkt. Odpowiada na potrzeby bardzo wielu Polaków, ułatwia życie tym, którzy może nie radzą sobie najgorzej, ale comiesięczne wsparcie pozwala im zabezpieczyć więcej swych potrzeb. W tym numerze naszego miesięcznika przyglądamy się bliżej zjawisku, które w sposób szczególny i jaskrawy objawiło się podczas wielomiesięcznej debaty na temat „Programu 500 plus”. Mogliśmy wówczas obserwować swoisty festiwal drwin z polskiej biedy. O, ironio, głównymi aktorami tego spektaklu byli prominentni przedstawiciele środowiska, które ponosi odpowiedzialność za znaczną część zubożenia Polaków.

I tak dowiedzieliśmy się, iż 500 złotych miesięcznie na drugie i kolejne dziecko zostanie przepite, rozleniwi kobiety, sprawi, że zamiast robić karierę, zaszyją się w domowych pieleszach. Ile pogardy trzeba mieć dla gorzej sytuowanych współobywateli, by kreślić tak prymitywny ich obraz? A wszystkie te argumenty przedstawiano opinii publicznej zupełnie serio. Analizowano je w głównych audycjach publicznych, na łamach gazet.

Tymczasem „500 plus” to nie tylko wsparcie, lecz także wzmocnienie poczucia bezpieczeństwa tych, którzy wykonują najgorzej opłacane prace. Dzięki

programowi przynajmniej część z nich nie będzie więzieniem nieuczciwego pracodawcy. Ten efekt odnotowują już statystyki – tuż przed pierwszymi wypłatami w części hipermarketów polepszone warunki pracy.

Trzeba mieć w pamięci jedną z niezwykle istotnych przyczyn zubożenia Polaków – postkomunizm. 1989 rok rozpoczynał wieloletni okres zwyczajnego grabienia dóbr publicznych przez ludzi systemu komunistycznego i współpracujących z nimi przedstawicieli tzw. opozycji. Lata 90. to wprost rozbiór wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, przy jednoczesnym przeniesieniu największych ciężarów transformacji ustrojowej na zwykłych Polaków. Zjawiskiem dodatkowo ograniczającym możliwość osiągnięcia sukcesu dzięki własnemu talentowi i pracowitości było wszechobecne (w niektórych grupach zawodowych obowiązujące do dziś) faworyzowanie tzw. resortu. Pod tym określeniem kryją się nie tylko powiązania ze służbami specjalnymi komunistycznego państwa, lecz także wszelkiego rodzaju służalczość wobec peerelowskiej rzeczywistości.

Po ponad ćwierć wieku od końca istnienia PRL Rzeczpospolita Polska dopiero wkracza na drogę przywracania sprawiedliwych reguł gry. „Program 500 plus” to jeden z pierwszych kroków. ■



Ryszard Czarnecki

Polska bieda, europejski kontekst

Według unijnego GUS-u, czyli Eurostatu, Polska jest jednym z sześciu najbiedniejszych krajów członkowskich UE.

Znajdujemy się w towarzystwie Bułgarii, Chorwacji, Rumunii, Węgier i Łotwy. Nie jesteśmy jednak na szarym końcu. A to dzięki dwóm kolejnym rozszerzeniom Unii Europejskiej, już po akcesie Rzeczypospolitej w 2004 r. Najpierw doszłusowały biedne niczym mysz kościelna i skrajnie skorumpowane Sofia i Bukareszt (2007 r.), a następnie kolejny cienko sprzedający kraj z Bałkanów, czyli Chorwacja (2013 r.). Dzięki temu Polska nie jest czerwoną latarnią. Gwoli statystycznej prawdy: zawsze w tej klasyfikacji eurobiedy wyprzedzaliśmy Łotwę, przez dłuższy czas również inne państwo bałtyckie – Litwę, ale ta nas przegoniła. My z kolei dogoniliśmy Madziarów. Kolejna faza rozszerzenia UE powinna nam poprawić humory: Serbia, Czarnogóra czy Macedonia są za nami wyraźnie w tyle, gdy chodzi o PKB na głowę mieszkańca.

Co to wszystko oznacza? Ano to, że nasz kraj, stopniowo (choć zbyt powoli!) zmniejszając dystans do państw Europy Zachodniej i Północnej, a zwłaszcza Europy Południowej, nie jest w stanie rozwijać się wyraźnie szybciej niż państwa naszego regionu (wyjątek Budapesztu potwierdza tylko smutną regułę). Oczywiście teraz i tu jest szansa na „dobrą zmianę”. Ale na skutki „planu Morawieckiego” będziemy musieli jednak trochę poczekać.

Uproszczeniem jest stwierdzenie, że mapa polskiej biedy przede wszystkim koncentruje się na małych miasteczkach i wsiach popegeerowskich. Ktoś, kto jest rzecznikiem takiej karkołomnej tezy, chyba nigdy nie widział kolejek po darmowy posiłek u ojców Kapucynów w Warszawie na ulicy Miodowej czy w parafii świętej Elżbiety we Wrocławiu, żeby wymienić tylko dwa przykłady darmowych jadłodajni. Jadłodajni jakże nagła-

śnianych medialnie przed świętami Bożego Narodzenia i jakże przemilczanych przez resztę roku. Mówienie, że po zupe – często jest to ich jedyny ciepły posiłek tego dnia – stoją jedynie wykołhejcy i alkoholicy, jest skrajnym uproszczeniem (choć tacy też się zdarzają i też mają prawo do gorącej strawy). Sfera narodowej biedy obejmuje również wiele rodzin wielodzietnych, samotne matki opuszczone przez mężów i zmuszone wyżywić kilkoro dzieci, czy tzw. normalnych ludzi, którym powinęła się noga w ich życiu zawodowym lub/i osobistym. Polska bieda nie była i nie jest wdzięcznym tematem ani dla establishmentowych mediów, zajętych tropieniem zbrodni rządu czy prezydenta, ani też dla „polskiej szkoły reportażu”, której epigoni wolą zajmować się opresyjną rolą żeńskich zgromadzeń zakonnych wobec dzieci czy też dziennikarskimi śledztwami poświęconymi odradzającemu się w Polsce... nacjonalizmowi.

Oczywiście nawet w bogatej Europie Zachodniej obszar biedy również występuje, w jakimś sensie jest częścią systemu. Poziom cywilizacyjny mierzy się jednak także tym, w jaki sposób państwo walczy z biedą i społecznym wykluczeniem. Czy następuje petryfikacja biedy? Czy ma ona wręcz charakter pokoleniowy? W jaki sposób rodziny mogą opuścić najniższe kategorie w hierarchii ekonomicznej społeczeństwa, a na ile są na nie skazane? Polski problem polega na znaczącym narastaniu społecznych i gospodarczych kontrastów oraz poszerzeniu sfery ubóstwa na „zielonej wyspie” w latach 2007–2015. Zupełnie wbrew rządowej propagandzie. Liczba Polaków mogących wsiąść *ad hoc* do pendolino była wówczas odwrotnie proporcjonalna do propagandy sukcesu. Pora odwrócić tendencję. ■

Dwa miliony z nas żyją w biedzie

Jan Przemyński

Bieda – dla wielu temat tabu, dla innych wstydlivy efekt splotu okoliczności życiowych, dla jeszcze innych, niestety, powód do kiepskich żartów. Czy można z niej wyjść? I jak to zrobić? – Wyjście z biedy jest możliwe, o ile ktoś jest w stanie wyciągnąć pomocną dłoń, a elity rządzące nie zapominają, że też są ludźmi i zostały powołane w określonym celu – tłumaczy ekonomistka Krystyna Iglicka-Okólska.

Bieda to problem wstydliwie skrywany przez samych zainteresowanych, bo często jest powodem do kpin. Począwszy od czasów szkolnych, kiedy dziecko bywa wykluczane z grupy rówieśniczej, bo nie ma modnych zabawek, lub – w późniejszych latach – bo rodziców nie stać, by wysłać je z kolegami na zagraniczne wakacje, przez wczesną dorosłość – bo przecież młodzi wszędzie znajdują pracę, jeśli więc są biedni, to na własne życzenie, po wiek dojrzały – kiedy zła sytuacja ekonomiczna dowodzi przegranego życia. O przypadkach skrajnego ubóstwa chętnie za to informują media: głodne, obdarte dzieci i rozpadające się domy to materiał, który wzrusza, wywołuje emocje. Czyli w żargonie dziennikarskim „przebija się”.

Tymczasem zła sytuacja ekonomiczna to codzienność dla wielu. W Polsce żyją ponad 2 mln ludzi biednych. Przez ostatnie lata ta liczba bynajmniej nie malała. W najgorszej sytuacji są rodziny wielodzietne i samotni rodzice mający na utrzymaniu dzieci. Właśnie te dwie grupy stanowią większość tych, których statystyki umieszczają między dolną a górną granicą ubóstwa. Bliżej tej górnej są osoby, których potrzeby są zaspokojone na niskim poziomie, ale są w stanie zapewnić sobie wyżywienie i mają nikły – ale jednak – kontakt z kulturą. Do dolnej granicy ubóstwa zbliżają się zaś ci, których dochody z trudem pozwalają na zaspokojenie podstawowych życiowych potrzeb.

► Różne oblicza ubóstwa

Zgodnie z danymi GUS, w latach 2010–2015 odsetek osób w gospodarstwach domowych o wydatkach poniżej relatywnej granicy ubóstwa spadł z 17,4 proc. do 15,5 proc. Odsetek osób o wydatkach poniżej ustawowej granicy ubóstwa wzrósł jednak w tym czasie z 7,4 proc. do 12,2 proc., a odsetek osób o wydatkach poniżej granicy minimum egzystencji wzrósł z 5,8 proc. do 6,5 proc.

Czym różni się poszczególne wskaźniki biedy? Wyznacznikiem skrajnej biedy jest tzw. minimum egzystencji, obliczane przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych (IPISS). Jest to minimalna kwota wydatków, która pozwala na zaspokojenie bieżących potrzeb, które nie mogą być odłożone w czasie. Jak podaje GUS, konsumpcja niższa niż poziom minimum egzystencji prowadzi do „biologicznego wyniszczenia”. O ubóstwie relatywnym mówimy, gdy wydatki wynoszą mniej niż 50 proc. średnich wydatków ogółu gospodarstw domowych. Pod koniec 2014 r. kwota ta wynosiła 713 zł miesięcznie. Z kolei ubóstwo ustawowe, czyli próg interwencji socjalnej, to kwota, która, zgodnie z obowiązującą ustawą o pomocy społecznej, uprawnia do ubiegania się o przyznanie świadczenia

pieniężnego z pomocy społecznej. Od października 2012 r. dla osoby samotnie prowadzącej gospodarstwo kwota ta wynosi 542 zł, a dla członka wieloosobowego gospodarstwa domowego – 456 zł.

► Wyspa nie taka zielona

Największy spadek ubóstwa miał miejsce zaraz po wejściu do Unii Europejskiej. Później te dane utrzymywały stały poziom do momentu wybuchu wielkiego kryzysu gospodarczego. Wówczas poziom ubóstwa gwałtownie wzrósł. – W tym roku po raz pierwszy od lat stopa bezrobocia spadła poniżej 10 proc., a rząd zamiast na opowieściach o „zielonej wyspie” skupia się na potrzebach zwykłych obywateli. Wcześniej przez długi czas mówiono nam, jak to w Polsce się poprawia status rodziny, jednocześnie podnosząc podatki i nie inwestując w polską gospodarkę – tłumaczy polska demograf i ekonomistka Krystyna Iglicka-Okólska.

Dodaje, że do wzrostu ubóstwa przyczyniło się także to, że przez ostatnie kilka lat władza nie inwestowała w polską rodzinę. Skutki najlepiej widać, jeśli spojrzeć się na emigrację zarobkową: kilka milionów Polaków musiało wyjechać poza granice naszego kraju, aby zapewnić sobie i swoim bliskim godną egzystencję. Jednak Krystyna Iglicka-Okólska zauważa światło w tunelu. – Takie programy jak „500 plus” czy wprowadzany teraz program „Mieszkanie Plus” nie spowodują, że ci ludzie rzucą wszystko i wrócą do ojczyzny, ale ta ojczyzna zaczyna być coraz bardziej atrakcyjną alternatywą. To budujące, gdy rodzina, która do tej pory nie mogła sobie pozwolić na wakacyjny wyjazd, teraz przy drobnej pomocy państwa może zabrać swoje pociechy chociaż na krótkie wakacje. To przede wszystkim bardzo spaja rodzinę, a pociechom poszerza horyzonty – mówi. Dodaje również, że takie małe zabiegi przeciwdziałają zjawisku „dziedziczenia biedy”.

► Kto przychodzi do MOPS-u

Jedną z podstawowych instytucji, które pomagają biednym, są miejskie ośrodki pomocy społecznej. Codziennie każdą z placówek MOPS-u odwiedza od kilkudziesięciu do nawet kilkuset osób. Powody, dla których zgłaszają się do tej instytucji, nierozdzielnie związane są z bezrobociem. Ale także – niestety – coraz częściej z długotrwałą lub ciężką chorobą. Jakie grupy społeczne korzystają z pomocy? – Najczęściej zgłaszają się osoby bezrobotne z niskim wykształceniem, bez kwalifikacji zawodowych, jak również osoby niepełnosprawne, które posiadają niskie dochody. Duży odsetek osób stanowią samotne matki dotknięte bezrobociem. Są to osoby młode oraz w średnim wieku. Zjawiskiem pojawiającym się coraz częściej jest również bezdomność wśród

ludzi młodych, którzy mają duży problem związany z uzależnieniami – charakteryzuje Izabela Żuchowska, zastępca dyrektora MOPS w Płocku.

Dodaje również, że osoby i rodziny, w których występuje problem obywatela, stają się wykluczone społecznie. Skupiają się na realizacji bieżących, podstawowych potrzeb, mają ograniczoną możliwość realizacji innych potrzeb, m.in. bezpieczeństwa, przynależności itp. Bardzo ważną i delikatną kwestią są tutaj dzieci, które czują się gorsze, zaczynają myśleć, że są ludźmi „drugiej kategorii”. A takie przekonanie często burzy w człowieku poczucie własnej wartości, powoduje brak chęci do zmiany obecnej sytuacji. W przypadku dzieci zaś może prowadzić do „dziedziczenia biedy”.

Ośrodki MOPS wychodzą naprzeciw temu problemowi. – Znaczącą pomocą dla rodzin w takich sytuacjach jest opieka asystentów rodzin. Ponadto ośrodek pomocy społecznej kieruje bardzo duże, bezpośrednie wsparcie do dzieci w postaci bezpłatnych obiadów w szkołach, zajęć w świetlicach środowiskowych, wyjazdów na kolonie, zimowiska, wyprawek szkolnych i wiele innych rzeczy, dzięki którym nie pozwalamy, by te niczemu niewinne pociechy czuły się gorsze od reszty rówieśników – dodaje Izabela Żuchowska.

► Polska A i Polska B

Istnieje stereotyp, który dzieli nasz kraj na dwa rejon. Bogatą zachodnią Polskę A i biedną wschodnią Polskę B. To nie do końca prawda. Chociaż patrząc na prawo od Warszawy, znajdziemy mniej aglomeracji, mniej rozwiniętą infrastrukturę niż na terenach zachodnich, to człowieka dotkniętego ubóstwem możemy spotkać zarówno na podlaskiej wsi, jak i w centrum Poznania. Co jednak będzie różnić te dwie osoby? Na pewno historia ich życia, która doprowadziła je do ubóstwa, ale z ekonomicznego punktu widzenia różnią ich też możliwości. – Gdybyśmy popatrzyli na rozwój gospodarczy, to wyraźnie widać, że na wschodnich terenach Polski jest on wolniejszy. Tutaj jest mniej firm, mniej spółek skarbu państwa, o wiele trudniej jest o dobrze płatną posadę – tłumaczy poseł Prawa i Sprawiedliwości Bogdan Rzońca. Dodaje również, że te tereny stają się coraz trudniejszym miejscem do życia, szczególnie dla młodych osób.

Przyczyn tej sytuacji jest wiele. Jako jedną z głównych należy wymienić problem ze zdefiniowaniem modelu rozwoju gospodarczego. Przez ostatnie lata pieniądze były inwestowane w dużych, atrakcyjnych dla inwestycji aglomeracjach, a zapomniano o odpowiedzialnym wsparciu dla tych mniejszych. Nie sprawdziła się również polityka regionalna zaproponowana przez Unię Europejską. Dzięki niej miasta wojewódzkie systematycznie się bogaciły kosztem rozwoju reszty

miejscowości. – Na przykładzie Podkarpacia widzimy wyraźny kontrast między Rzeszowem a takimi miejscowościami, jak Jasło, Sanok czy Stalowa Wola. Życie codzienne w tych miejscach jest nieporównywalne. Taka aglomeracja, jak Rzeszów ma coś do zaoferowania. Młodzież chce w niej zostać, ponieważ widzi tam możliwości, perspektywy na przyszłość. Dla porównania, ludzie z mniejszych miejscowości coraz częściej decydują się na przeprowadzkę albo wyjeżdżają za granicę. To powoli uśmierca miasteczka, a to z kolei prowadzi do narastania zjawiska biedy – analizuje polityk.

► Wyrównanie szans

Z raportu „Samorząd jako pracodawca”, przygotowanego i opublikowanego przez Związek Miast Polskich, wynika, że na Podkarpaciu w sektorze publicznym pracuje co trzeci zatrudniony mieszkaniec. Bepośrednio w samych urzędach administracyjnych zatrudnionych jest 3,5 proc. pracujących mieszkańców Podkarpacia, nie odbiega to od średniej krajowej, która wynosi 3 proc. Obraz zmienia się jednak, gdy weźmiemy pod uwagę szeroko rozumiany sektor samorządowy, czyli instytucje publiczne, które są albo częścią administracji samorządowej, albo dla których organami właścicielskimi są jednostki samorządu lub jednostki wykonujące zadania powierzone im przez samorząd. Można powiedzieć, że rynek pracy ściany wschodniej samorządem stoi. To pokazuje zaś, jak niewystarczający jest poziom zatrudnienia w sektorze prywatnym w stosunku do sektora publicznego. – Należałoby zbudować program, który zachęci przedsiębiorców do zakładania firm nie tylko w dużych aglomeracjach, a firmom, które już istnieją, pomoc w rozwoju. Taka inwestycja zwróci się w postaci większej liczby miejsc pracy, większej konkurencyjności, a co za tym idzie – podwyżki zarobków – tłumaczy Bogdan Rzońca.

Dodaje, że państwo powoli zmienia politykę stosowaną przez ostatnie lata i zwraca uwagę również na mniejsze miejscowości. Jednym z pierwszych sukcesów obecnego rządu jest uratowanie spółki Autosan w Sanoku – jednego z największych i najstarszych w naszym kraju producentów autobusów, nadwozi dla pojazdów szynowych oraz kabin dla wojska. Spółka od kilku lat zmagająca się z problemami finansowymi i groziła jej zamknięcie, co za tym idzie, pracę straciłoby wielu ludzi. Decyzją premier Beaty Szydło spółka otrzyma wsparcie, a pracownicy zatrudnieni zachowają posady. – Takie decyzje są kluczowe dla słabiej rozwiniętych regionów. Gdyby ta firma została zamknięta, jej byli pracownicy najprawdopodobniej musieliby wyemigrować albo szukać prac dorywczych. Rząd również ma wiele do zrobienia w kwestii zjawiska biedy – zaznacza polityk. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... ubóstwo

Ubóstwo określa się zwykle jako brak dostatecznych środków do życia, do zaspokojenia potrzeb człowieka uznawanych powszechnie za niezbędne do jego funkcjonowania i rozwoju, w szczególności w odniesieniu do pożywienia, mieszkania, transportu, a także podstawowych potrzeb kulturalnych i społecznych. Jednak zdefiniowanie ubóstwa nie jest wcale łatwą rzeczą, podobnie zresztą jak określenie wielu innych zjawisk społecznych. Na gruncie naukowym funkcjonuje podział na dwa rodzaje ubóstwa: absolutne (bezwzględne) i względne (relatywne). Pierwsze rozpatrywać można w znaczeniu węższym, jako stan niezaspokojenia minimalnych potrzeb biologicznych, bądź szerszym, jako stan niezaspokojenia potrzeb w danym społeczeństwie i w danym czasie za minimalne uznawanych. Drugie rozważać można jako formę nierówności, nadmiernego dystansu między poziomem życia poszczególnych grup ludności; w ujęciu względnym ubogimi są te osoby i te rodziny, których poziom życia jawi się jako znacznie niższy od pozostałych członków danego społeczeństwa.

Definicje ubóstwa podzielić można na te odwołujące się do środków materialnych, do pieniędzy, i te, które odnoszą się do jakości życia. Pieniądże, dochody i wydatki policzyć można stosunkowo łatwo, trudniej jednoznacznie określić wskaźniki biedy, choć one z kolei pozwalają na skuteczniejszą pomoc. Trudno oddzielić także przyczyny i konsekwencje ubóstwa, gdyż nakładają się one na siebie, tworząc skomplikowany ciąg przyczynowo-skutkowy, w którym ludzie ubodzy często tkwią jak w zaklętym kole. Bieda bowiem potrafi dehumanizować, upokarzać, zacieśniać perspektywę, sprawiać, iż ludzie nią dotknięci stają się bezsilni i niezdolni do kontrolowania własnego życia. Zepchnięci na margines społeczeństwa poddają się biedzie, nie widząc możliwości przełamania sytuacji, w której się znaleźli. Często nie ze swojej winy.

Mówiąc o ubóstwie, nie sposób ograniczyć się do ekonomicznego jego wymiaru, nie na jednym poziomie egzystencji bytuje bowiem człowiek. Nie można ograniczać życia do jego aspektu biologicznego i sfery materialnej. Nie mniej niż bieda materialna doskwie-

rać zaczynają nam inne z bied – w sferze psychicznej, intelektualnej i duchowej, w sferze moralności i religii, nauki i sztuki. Ludzie mogą posiadać wiele dóbr materialnych, jeśli jednak ich zdobywanie staje się dla nich celem samym w sobie, jeśli zostaje oderwane od dóbr wyższych, jest to czymś złym. W pułapce konsumpcjonizmu nietrudno się zatracić.

NIE MNIEJ NIŻ BIEDA MATERIALNA
DOSKWIERAĆ ZACZYNAJĄ NAM INNE Z BIED
– W SFERZE PSYCHICZNEJ, INTELEKTUALNEJ
I DUCHOWEJ, W SFERZE MORALNOŚCI
I RELIGII, NAUKI I SZTUKI. LUDZIE MOGĄ
POSIADAĆ WIELE DÓBR MATERIALNYCH,
JEŚLI JEDNAK ICH ZDOBYWANIE STAJE SIĘ
DLA NICH CELEM SAMYM W SOBIE, JEŚLI
ZOSTAJE ODERWANE OD DÓBR WYŻSZYCH,
JEST TO CZYMŚ ZŁYM.

Wydaje się nawet, że człowiek nie jest szczególnie predysponowany do posiadania. Trudno mu, pod każdym względem, posiadać w miarę. Nie potrafi mieć mało, bo gdy posiada mało, to za mało posiada, a jeśli posiada za dużo, musi wciąż starać się utrzymać to, co posiadał, a to, co przez niego posiadane, i tak obywa się bez niego. I czy nie na tym właśnie zasadza się problematyczność posiadania, iż człowiekowi się wydaje, że posiada to, czego być może tak naprawdę nie posiada, bo osiąść nie zdola, i że – odwrotnie – wydaje mu się, iż nie może posiadać tego, co osiąść i posiadać jest w stanie? Istnieje ubóstwo negatywne i pozytywne. Istnieje ubóstwo bogatych i bogactwo ubogich. Może być ono przekleństwem, a może być błogosławieństwem. Ubóstwo niejako ma bowiem imię. ■

Małgorzata Matuszak



Kolorowe portale

„Agnieszka
prezentuje swoje
wdzięki w obcisłym
body, pod który nie
założyła stanika.
I wygląda niezwykle
seksownie”.
Urzeczowanie
kobiety
i sugerowanie,
jakoby jej wartość
wyznaczona
była przez to, czy
jest obiektem
seksualnym, czy
też nie, to woda na
młyn dzisiejszych
tzw. kolorowych
portali.

Portale internetowe są dzisiaj dla nas jednym z głównych źródeł wiedzy o otaczającym nas świecie, o tym, co dla nas ważne. Niektóre – istotnie, wywiązując się z tej roli sumiennie, można na nich pod wieloma względami polegać, inne dostarczają wiedzy bardzo wątpliwej jakości. Cóż po tym, że narzędzia przekazywania informacji posiadamy lepsze niż kiedykolwiek, skoro ich poziom pozostawia wiele do życzenia, a nawet się pogarsza. Jednak portale to nie tylko „wiadomości z kraju i ze świata”, lecz także zbiór informacji o wszystkim i wszystkich. Jeśli przyjrzymy się tym najpopularniejszym, uderzają z nich komercja i populizm. Trudno oprzeć się niekiedy wrażeniu, że umieszczając niektóre teksty, chcą internautów wręcz obrazić. Co mają bowiem również do zaoferowania swoim czytelnikom, oprócz relacji różnego rodzaju bieżących wydarzeń, portale typu Onet, Interia, Wirtualna Polska czy Gazeta?

► Kult ciała

„Kuszące” zdjęcia opatrzone tytułem: „Co za kształty! Można się zakochać...”. Chodzi o Biancę Elouise, projektantkę bikini, która „w ostatnim czasie zrobiła sporo zamieszania” – za sprawą zdjęć, które obiegiły Sieć, na których Bianca wypoczywa w Miami. „Co zwróciło tak wielką uwagę? Z pewnością ponętne kształty projektantki. Kształty, których można pozazdrościć. I w których można się zakochać. To jednak nic w porównaniu ze zdjęciami, jakie Bianca publikuje na Instagramie... Zobaczcie”. W innym miejscu: „Kaczorowska w obcisłym body i krótkich szortach na wakacjach. Tańczy na ulicy bez stanika”. Po „kliknięciu” na tytuł możemy czytać dalej: „Na zdjęciach możemy zobaczyć ją nie tylko na plaży, ale także w urokliwych zakątkach stolicy Portugalii. Nawet na wakacjach nie zapomniała o swojej największej pasji – tańcu. Na jednym z filmików Agnieszka prezentuje swoje wdzięki w obcisłym body, pod który nie założyła stanika. I wygląda niezwykle seksownie”. „Julia Kamińska lepiej wyglądać nie mogła. Ale figura! Wiedzieliście, że ma takie zgrabne nogi?”, „Ola Kisio urodziła i zniknęła z salonów. Wraca z nową figurą i fryzurą. Nie poznaliśmy jej! Seksbomba!”, „Aneta Zając na wakacjach. Opała się w kusym stroju. Co za nogi! »Cudna«, „Hanna Lis na wakacjach! Pozuje w szortach. »Takie nogi to grzech«, „Michelle Lewin w szortach wygląda piekielnie seksownie. Jej pupa jest naprawdę obłędna”, „Blake Lively w białej mini to arcydzieło. Ale to druga sukienka sprawiła, że jej piersi wyglądały niesamowicie” – to kolejne tytuły z morza im podobnych. Teksty pod nimi się kryjące są na tym samym poziomie co tytuły, większość komentarzy internautów zaś na jeszcze

niższym, przeważa w nich dojmująca płytkość, wręcz wulgarność. Czy o taki odzew portalom chodzi?

Czemu mają służyć tego typu artykuły? Kto je czyta? Przypuszczać by można, że nikt, jednak liczba komentarzy do nich temu przeczy. Wszechogarniający kult ciała i seksualizacja we współczesnym świecie doprowadzone zostały do absurdu, stając się wręcz dla niektórych obsesją, podsycaną tego typu artykułami. Jeśli zaś ktoś jeszcze nie wie, że fizyczność człowieka jest czymś najważniejszym, to z ich pomocą na pewno się dowie. Przykre jest jednak to, że takie teksty zamiast wychwalać piękno kobiecego ciała, co przecież deklarują, tak naprawdę je poniżają. Urzeczowiają kobiety i sugerują, jakoby jej wartość wyznaczona była przez to, czy jest obiektem seksualnym, czy też nie.

biustem przebijającym się spod prześwitującego body. Całości wizerunku dopełniły podarte jeansy. Khloe Kardashian z pewnością nie wyglądała »zjawiskowo«. Chyba że macie inne zdanie. Jak wam się podoba kreacja celebrytki?”. Katarzyna Warnke potraktowana została chyba jeszcze ostrzej: »Katarzyna Warnke pojawiła się na gali »Kobieta Roku« miesięcznika »Twój Styl«. Jej stylizacja była odważna, ale czy udana? Niekoniecznie. [...] pokazała sporo, decydując się na stylizację, która więcej odkrywała niż zakrywała. Czarne body z prześwitującego materiału i spódnica z grubej koronki nie wyglądały ani seksownie, ani stylowo. Do tego piersi aktorki zostały nieestetycznie spłaszczone, czy może być gorzej? Warnke uzupełniła stylizację czarnym futrem, które wraz z koronką

MASZ JAKIŚ PROBLEM ZWIĄZANY ZE SWOIM WYGLĄDEM? PORTAL ROZWIĄŻE KAŻDY, LEKKO, ŁATWO I PRZYJEMNIE. PEŁEN JEST PORAD I PSEUDOPORAD NA KAŻDY TEMAT, CZASAMI NAWZAJEM SIĘ WYKLUCZAJĄCYCH. PROBLEMY Z WAGĄ? MOŻEMY CI ZAOFEROWAĆ MNÓSTWO RÓŻNEGO RODZAJU DIET. DORADZIMY CI, JAK DBAĆ O SIEBIE, POWIEMY, CO JEST „ABSOLUTNYM MUST HAVE” W TYM SEZONIE, JAKI POWINNAŚ ZROBIĆ MAKIJAŻ, JAK SIĘ UCZESAĆ.

► Jak cię widzą, tak o tobie piszą

Niektóre „chwytliwe” tytuły mają nieco inne zadanie – oceniając czyjś wygląd pejoratywnie, chcą wzbudzić krytykę. Koniec końców chodzi w nich o to samo – o zwrócenie uwagi na to, jak ktoś wygląda. Może też przy okazji ośmieszyć. Oto niektóre z nich: „Anna Mucha »zapomniała spodni? Cóż, ale bardzo kuse. Odslaniają pupę i nie tylko”, „Ewelina z »Warsaw Shore« w odważnej sukni. Bez majtek. WTF is this lol? Efekt rozlazłych piersi, bardzo niekorzystnie”, „Khloe Kardashian zaświeciła biustem”, „Katarzyna Warnke w przezroczystym body. To nie był najlepszy pomysł. Zobaczyliśmy zdecydowanie za dużo”. Jeśli jednak „klikniemy” w tytuł, zostajemy wciągnięci w ocenę poszczególnych „kreacji”. O Khloe Kardashian przeczytamy na przykład, że „postanowiła nie być gorsza od swojej bardziej znanej siostry Kim. [...] Celebrytka wybrała się niedawno na kolację z Blac Chyną do modnego lokalu Casa Vega w okolicach Los Angeles. Wychodząc z restauracji, zaświeciła swoim

stanowiło oryginalny duet. Eksperymentowanie z fakturami zawsze pochwalamy, ale ten kreatywny zabieg nie uratował całości”. Na koniec autor tego porywającego „newsa” zadaje pytanie: „A Wam jak się podoba look aktorki?” i proponuje udział w sondzie, w której stylizację Katarzyny Warnke można ocenić następująco: „(1) Tragedia, nic tu do siebie nie pasuje, (2) Oryginalnie!, (3) Wszystko na wierzchu, blee, (4) Jest spoko”.

Przerażające jest to, że czytelnicy dają się w takie dyskusje wciągać. I że młodzi ludzie czytają takie artykułiki, które nic w ich życie nie wnoszą, a wręcz przeciwnie – zubażają je. To nie są zwykłe plotki, ale przerażający ekshibicjonizm z jednej strony, przynajmniej w tych przypadkach, w których „bohaterki” tych „newsów” same je prowokują, oraz podglądactwo i zastanawiająca pogoń za tego typu „sensacją” z drugiej.

► Najważniejsze – wyglądać

Masz jakiś problem związany ze swoim wyglądem? Portal rozwiąże każdy, lekko, łatwo i przyjemnie.

Pelen jest porad i pseudoporad na każdy temat, czasami nawzajem się wykluczających. Problemy z wagą? Możemy ci zaoferować mnóstwo różnego rodzaju diet: dietę „rozpalającą” metabolizm, dietę sokową albo maślankową, dietę Dukana, paleo czy kopenhaską, a może dietę Dash, TLC bądź kliniki Mayo. Nie wiesz jak ćwiczyć? Mamy dla ciebie zestawy ćwiczeń na różne partie ciała, pomożemy w uprawianiu różnych sportów, wszystko po to, byś była fit. Doradzimy ci, jak dbać o siebie, powiemy, co jest „absolutnym must have” w tym sezonie, jaki powinnaś zrobić majkaż, jak się ucześć. Podpowiemy ci także, jak poprawić swą urodę. Jeśli zaś nie wystarczą ci „tradycyjne” metody jej poprawiania, przekonamy cię – na przykładzie wielu kobiet – że chirurgia plastyczna po-

nie, bigoreksją – obsesją na punkcie umięśnionego ciała, tanoreksją – uzależnieniem od opalania się czy też permareksją, czyli przymusem ciągłego bycia na diecie.

► Wymyta tożsamość

Socjologia mówi dziś o zjawisku wymytej tożsamości. Polega ono na postrzeganiu innych przez pryzmat ciała. To ubóstwo postrzegania drugiego człowieka sprawia, że przestajemy dostrzegać jego charakter, intelekt, talenty, wszystkie przymioty, które stanowią o jego prawdziwej tożsamości. Są one jedynie dodatkiem do powierzchowności. Ta zaś, jeśli jest atrakcyjna, staje się wyznacznikiem

SOCJOLOGIA MÓWI DZIŚ O ZJAWISKU WYMYTEJ TOŻSAMOŚCI. POLEGA ONO NA POSTRZEGANIU INNYCH PRZEZ PRYZMAT CIAŁA. TO UBÓSTWO POSTRZEGANIA DRUGIEGO CZŁOWIEKA SPRAWIA, ŻE PRZESTAJEMY DOSTRZEGAĆ JEGO CHARAKTER, INTELEKT, TALENTY, WSZYSTKIE PRZYMIOTY, KTÓRE STANOWIĄ O JEGO PRAWDZIWEJ TOŻSAMOŚCI. SĄ ONE JEDYNIENIE DODATKIEM DO POWIERZCHOWNOŚCI. TA ZAŚ, JEŚLI JEST ATRAKCYJNA, STAJE SIĘ WYZNACZNIKIEM WARTOŚCI CZŁOWIEKA I WARUNKIEM JEGO ŻYCIOWEGO SUKCESU.

trafi działać dziś cuda. Wiele gwiazd poddało się przecież zabiegom po to, by wyglądać lepiej.

Oczywiście, nasze ciało jest czymś, o co powinniśmy dbać – to nie ulega wątpliwości. Ćwiczenia fizyczne, uprawianie sportów, odpowiednie odżywianie się, wszystko to, co kryje się pod pojęciem „zdrowego trybu życia”, jest dla człowieka czymś bardzo ważnym. Wszak „w zdrowym ciele – zdrowy duch”... Problem zaczyna się wtedy, gdy o „duchu” właśnie się zapomina. I gdy zaczyna chodzić nie tyle o zdrowie, co tylko o wygląd, poddawany w dodatku specyficznym kryteriom oceny. Trudno oprzeć się wrażeniu, że stajemy się dziś świadkiem dziwnego zjawiska, które wyraża się w balansowaniu między ubóstwianiem ciała a pogardą dla niego. Przejawia się ono choćby we wszechobecnej seksualizacji, ale nie tylko. Czasami zaczyna się niewinnie, na przykład od odchudzania czy uprawiania sportu. Wszystko po to, by wyglądać młodo i szczupło – tak jak wyglądać się „powinno”. Kończy się jednak tragicznie – anoreksją, bulimią bądź innymi zaburzeniami będącymi skutkiem ulegania ślepej dyktaturze ciała: ortoreksją – obsesyjną dbałością o zdrowe odżywianie

wartości człowieka i warunkiem jego życiowego sukcesu.

Obecność na portalach zdjęć aktorek, modelek, gwiazd, gwiazdek i gwiazdeczek, opatrzonych krzykliwymi tytułami zwracającymi uwagę na wygląd przedstawianych na nich osób, nie powinna zatem dziwić. To one przecież stanowią dziś obowiązujące wzorce atrakcyjności, z których czerpią miliony innych kobiet i nie tylko kobiet. Nawet jeśli one same do wzorca tego nie pretendują, to portal im w tym „pomaga”. Dlaczego więc tak bardzo tego typu „informacje” drażnią? Nie chodzi o to, że wpędzają „zwykłe” kobiety w kompleksy, że sprawiają, iż czują się gorsze i nieatrakcyjne. (Owszem, może się dziać i tak – wtedy, gdy kobiecie brakuje poczucia własnej wartości i nie potrafi zaakceptować siebie taką, jaka jest.) Chodzi o to, że „wymywają” one istotę kobiecości, sprowadzając ją do opakowania czy też towaru, który dzięki ładnej oprawie łatwiej sprzedać. Kreują wzorec kobiecości, bardzo ubogi, z którym trudno się zgodzić. Jeśli jeszcze robią to w taki sposób, epatując „niesamowitością”, „cudownością”, „seksownością”, wywołują efekt zgoła odmienny od zamierzonego. ■



Swoimi książkami o toksycznych duchowościach dokumentuję upadek Zachodu. Zabobony zachodniego establishmentu, bzdurne przesady wyzbytych wiary władców i rządców zachodniego świata ośmieszają ich i delegitymizują. Czas na wymianę elity. Nie ma się bowiem co dziwić, że duchowo wydrażona Stara Europa klęka przed półksiężycem. Tyle że my klękać nie będziemy.



SYLWIA GABAN

„Zmanipuluję Cię, kochanie” część II

Robert Tekieli

„Każdy mężczyzna wie, że jeśli zrozumie sposób myślenia kobiety, to otworzy się przed nim droga do jej życia, łóżka i najlepiej chronionych fantazji. Poznasz technikę, która pozwoli Ci ominąć system obronny każdej kobiety. Będziemy kontynuować niwelowanie jej oporu względem Ciebie” – polecał się kilka lat temu swym potencjalnym klientom kolejny „wszechmocny” polski okultysta. Jego „neurolingwistyczne uwodzenie kobiet” reklamował swego czasu namiętnie Onet.pl. I właściciele tego najlepiej klikalnego polskiego portalu, i autor kursu „NLS” zrobili wspólnie krzywdę wielu gimnazjalistom i pryszczatym onanistom po czterdziestce. Sorry, to opis, nie pejoratyw.

► Zabobony oświeconych

Manipulacja, której pan B. uczył, była po części kalecząca, po części naiwna. Czasami jednak naiwność jest skuteczniejsza. Cztery lata temu ukazał się mój jedyny, jak dotąd, bestseller. Traktował właśnie o manipulacji. Wkrótce wydawnictwo jego drugą część. Czemu o tym pisać? Otóż kartkując „Zmanipuluj Cię, kochanie” – książkę, której w roku wydania sprzedało się kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy, a na którą w 2015 r., czyli w czwartym roku sprzedaży, wydawnictwo i ja liczyliśmy popyt w tysiącach, nie setkach kopii – zacząłem się zastanawiać: dlaczego właśnie ta praca okazała się tak potrzebna? Co różni ją od pozostałych moich książek o tej tematyce?

Jasne: gromadzę w niej wiele żywych przykładów, rozbijam rozpowszechnione okultystyczne przesady, opisuję współczesną falę irracjonalizmu nieopisaną właściwie dotąd jako całość, pokazuje ruch New Age par excellence: jako utopię, światopogląd, biznes. Ale to już było. Oczywiście, precyzuję i rozdzielam w tej książce demonerkę od ideologii – bo w dzisiejszym człowieku wytworzyła się wielka potrzeba dystynkcji. Po klęskach wieku ideologii, człowiek Zachodu chce być dziś do bólu racjonalny. I wie znów, że wiara nie kłóci się z rozumem. A ja dyskretnie punktuje w tej książce również katolicki irracjonalizm w opisie współczesnego świata: przesada i postawa lękowa prawdy bowiem nie służą. Mam też chyba zdolność do jasnego opisywania dość skomplikowanych rzeczy. Myślę jednak, że przede wszystkim pozycja ta trafiła w dobry czas.

Współcześni zaczęli właśnie dostrzegać, że europejska elita się nie sprawdza, że europejski liberalno-lewicowy establishment, intelektualiści i politycy oszukują. Że „elita” zniża się do wiary w paranaukowe bzdury. W mitologię postępu czy też w wiarę w zawinione przez człowieka globalne ocieplenie.

Wiara w bzdury, namaszczone celebrowanie głupoty coraz większą liczbę ludzi nudzi. Widzą oni bowiem

celebrytów opierających najważniejsze życiowe wybory na wierze „w gwiazdy” i horoskopy, polityków chodzących do wrózek czy profesorów na kursach „neurolingwistycznego uwodzenia kobiet”. Przesady lewicowych i liberalnych elit zabierają wiarygodność władającym duszą Europy od pięciu wieków z okładem. Kulturowanie bzdurnych przesądów przez wyzbytych wiary rządów zachodniego świata ośmiesza ich i delegitymizuje.

Nie dziwny się, że ludzie się śmieją, jeśli ci goście zastanawiają się, „co tkwi w grupie krwi”, jeśli są gotowi uwierzyć, że na ich los czy bezpieczeństwo może mieć wpływ noszony na palcu kawałek metalu, jeśli są przekonani, że zdrowie mogą im dać nieistniejące czy biologicznie nieaktywne substancje.

► Gdzie psychiatrii do Loyoli?

Ludzie wyzbyci podstawowej formacji duchowej powrócili do intelektualnych błędów odrzuconych bądź w pierwszych wiekach chrześcijaństwa (gnostycyzm), bądź we wczesnym średniowieczu (nekromancja-spirytyzm, proto-hermetyzm, okultyzm, witchcraft), bowiem rozkwit ezoteryki zachodniej rozpoczyna się właściwie z renesansem pogaństwa zwanym dumnie Odrodzeniem.

Bo był to właśnie renesans tego wszystkiego, co w antyku było śmieciem. Prawdę, dobro i piękno – żydowskiego monoteizmu etycznego, greckiego bezinteresownego poszukiwania prawdy i katarskiego piękna w wielkim antycznym teatrze, to, co dali duchowemu, cywilizowanemu światu męźni i znakomicie do pewnego czasu organizowani Rzymianie – to wszystko zaabsorbowaliśmy w ciągu pięciu wieków po Chrystusie. Wykształcony człowiek Zachodu patrzy na świat z góry, bo przed nim o poznanie rzeczy, takimi, jakie są, walczyli tacy giganci, jak Arystoteles, Sokrates i Platon. Święty Augustyn i św. Tomasz, św. Jan od Krzyża i św. Wielka Teresa, Wielka Brygida i Mała Tereska. Z przypisów do dzieł piszącego katastrofalnie drewnianym stylem Ignacego Loyoli można wyczytać więcej wlanej prawdy o naturze człowieka niż z wszystkich książek psychologów całego świata. Psychiatria i psychologia przy Ignacym wydają się żartem. Dominacyjnym żartem starego, nieuporządkowanego wewnętrznie do śmierci Sigmunda F. z czeskiego prowincjonalnego Priboru. Nie wspominając nawet o biednym, zdemonizowanym Carlu Gustawie J.

Bioenergoterapia, radiestezja, amulety, biorezonans, uwodzenie jakiejś chęsz kobiety, reinkarnacja, karma, hipnoza, hokus-pokus, wiara w UFO, w moc feng shui. Menedżerowie największych korporacji na świecie płacą tysiące euro wioskowym oszustom. Czy wiecie, że „jin feng shui”

miejsc pochówków opiera się na wierze, że złe feng shui grobu rodzica może być przyczyną nieszczęścia potomka? Więc wszechmocni z korporacji, dla kariery, nie tylko składają w krwawej ofierze dzieci ulicy w Kongo czy Beninie, lecz także przesuwają groby rodziców. Too Lilian, autorka podręcznika „Feng shui. Podstawy”, wytłumaczyła im bowiem: „musisz uważać, przesuwając zwłoki, bo możesz jeszcze pogorszyć sprawę, a wpłynie to również na feng shui twojego rodzeństwa”. Szczęśliwi jedynacy. Będą mieli sukces w miłości i w pracy.

► Dalajlama, nadzieja białego, oświeconego człowieka

W pierwszej części „Zmanipuluję Cię, kochanie” opisałem zatem europejski irracjonalizm i toksyczne duchowości. W części drugiej skupiam się raczej na destrukcyjnych stylach życia, kaleczących subkulturach czy gusłach w Internecie. Trzon książki stanowią artykuły z „Nowego Państwa” oraz dwa potężne teksty z 2014 i 2015 r., o dwóch liniach okultystycznej tradycji. W „Zabobonach człowieka XXI wieku” pokazuję, dlaczego dziś konkurentem chrześcijaństwa nie jest ateizm, lecz zabobon. A w tekście „Ciemność ze Wschodu” wykazuję, że slogan „Ex Oriente Lux” to tylko kolejna ściema oświeconych: wszystko, byle nie chrześcijaństwo! Rozpropagują każdą bzdurę, byle atakowała naszą wiarę. Zrobią z przywódcy jednego z bardziej obskurantkich wyznań na świecie – tybetańskiego lamaizmu – guru wszechświata, byle postawić kogoś naprzeciwko rzymskiego papieża, a najlepiej go zaćmić. Nie wierzysz, że tybetański buddyzm to obciach? Zobacz zatem, co czczą w Tybecie buddyści: „Ty, który otworzyłeś usta i pokazałeś kły, ty, który masz troje oczu na strasznej twarzy, ty, który zawiązałeś w warkocz swe ciemnozielone włosy, ty, który włożyłeś na siebie wieniec z czaszek, majestatyczny bohaterze, obdarzony twarzą, na którą nie da się parzyć, uwielbiam ciebie!”. Fajny obiekt uwielbienia?

„Po złożeniu kielicha krwi temu oraz innym demonom, wyznawcy wzywają ich, by zniszczyli wrogów, szczególnie tych, którzy przeszkadzają rozpowszechnianiu się wiary i świętości buddyzmu” – pisze diakon Andriej Kurajew, w swej wydanej 20 lat temu książce „Jeśli Bóg jest miłością”, z której również pochodzi wcześniejszy cytat o sympatycznych kłach, warkoczach i czaszkach. I dalej diakon Kurajew: „W buddyjskich klasztorach Mongolii i Tybetu codzienne nabożeństwo poranne zaczyna się od złożenia krwawej ofiary »obrońcy wiary Dżamsaranowi oraz innym okrutnym bóstwom i demonom«, »boskim katom i zabójcom wrogów wiary i cnót«”.

Oto opis owego nabożeństwa, przytoczony w książce rosyjskiego etnografa A.M. Pozdniejewa, wydanej ponownie w 1933 r. w Kałmuji przez samych buddy-

stów: „Ci, którzy przynoszą balin huwaraki przed rozpoczęciem nabożeństwa, najpierw powinni kontemplerować Dżamsarana i wyobrazić sobie całą przestrzeń świata pustą. W tej pustej przestrzeni muszą wyobrazić sobie bezgraniczne morze ludzkiej i końskiej krwi ze wzburzonymi falami: pośrodku tych fal – prostokątną miedzianą górę, na jej szczycie sionce, zwłoki człowieka i zwłoki konia, a na nich stoi Dżamsaran. Twarz ma czerwoną, w prawej ręce, z której wychodzi ogień, trzyma miedziany miecz oparty o niebo; mieczem tym siecze życie tych, którzy złamali obietnice. Lewa ręka trzyma nerki i wątrobę wrogów wiary, pod pachą znajduje się wciśnięta skórzana czerwona flaga. Usta są szeroko otwarte, widać cztery białe kły, ma troje oczu i straszliwie zagniewany widok. Ukoronowany jest pięcioma ludzkimi czaszkami. Stoi pośród płomieni ognia mądrości”.

Buddyści, przypomnijmy, składają temu demonowi w ofierze kielich krwi i wzywają „nakarmione” w ten sposób demony, by „zniszczyły wrogów, szczególnie tych, którzy przeszkadzają rozpowszechnianiu się wiary i świętości buddyzmu”.

► Bolszewia w wydaniu zachodnim

Współczesny irracjonalizm atakuje jednocześnie dwa filary Zachodu: Kościół i opartą o dowód nowożytną naukę. W zorganizowany sposób rozmontowywane są: szkoła, język, logika dwuwartościowa, instytucje małżeństwa i rodziny, autorytetu w ogóle i autorytetu Kościoła rzymskokatolickiego w szczególności. Otacza nas antykultura. Nasze dzieci oddychają trutką. Popkultura zabija, cwaniacy uzależniają ludzi od swych produktów, tworząc „kościół sprzedaży”, chłopczyce-modelki indukują anoreksję u kolejnych pokoleń bezbronnym wobec mody zachodnich dziewczynek. Trwa atak na instytucje prawne naszej cywilizacji i atak na język zachodniej kultury. Ruch kontrkulturowy to nie tylko rewolucja obyczajowa i rozwiązłość, rock’n’roll i hipisi czy rozmiłowany w trawie saksofonista-prezydent mocarstwa, to również newage’owa fala irracjonalizmu, to traktowane z powagą bełkotliwe tezy „naukowej”, sowieckiej psychotroniki. Czy okultystyczne uniwersytety New Age w Kalifornii, homeopatia na polskich medycznych uczelniach wyższych i autoryzowany przez polskie prawo „zawód” wróżbita – to elementy jednej układanki?

W końcowej właśnie książce z uwagą nacinam trupa, zaciskając delikatnie zęby na wysuniętym koniuszku języka, chcę bowiem wyprzeżować z martwego ciała Europy kregosłup antykultury. Natomiast nasuwające się w tym miejscu pytanie: na ile zachodnia studencka rewolucja 1968 r. była inspirowana z Kremla? – to już kwestia na inny artykuł, inną książkę, i, chyba, innego autora. ■



Tomasz P. Terlikowski



Świętym nikt się nie rodzi. Świętym się staje!

Nie ma jednego modelu świętości, a w związku z tym nie ma jednej drogi do niej. Jedno jest jednak pewne: nikt nie rodzi się świętym.

Dobry Łotr, człowiek, który został – jak sam podkreślał – słusznie skazany na śmierć przez Rzymian i który niewiele miał czasu, na po ludzku rozumianą świętość, jest doskonałym przykładem świętości. A nawet mocniej – choć jest łotrem i przestępcą, pozostaje wzorem świętości. Jej istotą nie jest bowiem, wbrew temu, co się może wydawać nam, dotkniętym chorobą moralizmu i zeświecczonych kategorii religijnych, moralność i dobre życie (choć pozostają one swoistymi znakami świętości), ale... całkowicie powierzenie się Bogu i Jego miłosierdziu. I to właśnie na krzyżu zrobił Łotr. Taka sama jest droga wszystkich świętych wyniesionych na ołtarze, choć zdecydowana większość z nich podjęła decyzję o oddaniu swojego życia Bogu wcześniej niż wspomniany już Dobry Łotr. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że każdy moment jest dobry na taką decyzję, a w związku z tym każdy może zostać świętym, i to nawet jeśli nic go do tego, na pierwszy rzut oka, nie predestynuje.

► Czarna owca w świętej rodzinie

Tak było w przypadku jednej z siostr św. Tereski od Dzieciątka Jezus, Leonii, która nigdy nie uchodziła za kandydatkę na ołtarze. Rodzice uznawali ją za kłębnią i nieposłuszną, była uparta, niespecjalnie chętna do nauki i nawet jej święta matka nie była w stanie zrobić wiele więcej, niż tylko polecić ją opiece Matki Bożej. Leonia też, inaczej niż jej siostry, trzykrotnie wstępowała do zakonów (różnych), by trzykrotnie z nich wystąpić. I dopiero po wielu latach starań, prób, błędów, ciężkiej pracy nad sobą, nie tylko udało jej się osiągnąć szczęście w życiu zakonnym (ostatecznie u wizytek), lecz także prawdziwą świętość, której potwierdzeniem jest obecnie toczący się proces beatyfikacyjny, a także kult żywy szczególnie wśród rodziców, którzy mają problemy wychowawcze ze swoimi dziećmi.

Leonia Martin daje nadzieję nie tylko rodzicom, lecz także „trudnym przypadkom” wśród katolików. Jej życie pokazuje bowiem, że cierpliwe budowanie cnót pomaga w przezwyciężaniu własnych wad, i że Bóg nie skąpi łaski tym, którzy Go o nie proszą i którzy cierpliwie i z pokorą wykorzystują to, co otrzymują. Nie ma też wątpliwości, że jej losy pokazują, że – nawet w tej samej rodzinie, bardzo świętej i oddanej Panu Bogu – różne są drogi do świętości i nikt nie jest i nie może być spisany na straty.

Mocnym przypomnieniem tej prawdy są również losy trzech braci Kolbe. Wszyscy oni wstąpili do zakonu franciszkańskiego. Dwóch w nim wytrwało (jeden z nich, męczennik Maksymilian Maria, jest wyniesiony na ołtarze, drugi, Alfons, zmarł w opinii świętości), a trzeci – najstarszy Franciszek, zawsze przez rodziców

uznawany za głównego kandydata do kapłaństwa – z niego wystąpił, by walczyć w Legionach. I do zakonu już nie wrócił, bowiem poznał swoją żonę, z którą zresztą później się rozstawał, by do niej wracać. Ani Maksymilian, ani jego matka nigdy nie zaakceptowali tych decyzji i trudno się im nawet specjalnie dziwić. Jednak to właśnie Franciszek tuż po męczeńskiej śmierci Maksymiliana pocieszał mamę, podkreślając, że Mundek osiągnął już cel swojego życia, i prosząc, by i on mógł oddać swoje życie w ręce Pana. Tak się zresztą stało – również zginął w obozie koncentracyjnym, wcześniej pojedypany z Bogiem. O taką śmierć i takie pojednanie modlił się dla niego przez całe życie młodszy brat.

► Durna młodość, święta starość

O wiele częstszym „modelem” drogi do świętości jest jednak nawrócenie „niebieskich ptaków”. Tak było i ze św. Augustynem (za którego matka modliła się przez wiele lat), i ze św. Franciszkiem, i wreszcie ze św. Ignacym Loyolą. Każdy z panów, choć w różnym wieku i w różnych sytuacjach, w młodości przeżył czas – łagodnie ujmując – niespecjalnej pobożności, szaleństw (w przypadku przynajmniej niektórych także seksualnych) i świetnej zabawy. I każdy z nich w pewnym momencie odkrył iluzoryczność tego typu życia i zwrócił się do Boga. Święty Augustyn, jak sam wspomina, odkrył, że serce człowieka pozostaje niespokojne, dopóki nie spocznie w Panu; św. Franciszek usłyszał głos, który wzywał go do odbudowania kościołka; a św. Ignacego tak wciągnęła lektura żywotów świętych, że postanowił ich naśladować. Tak zaczęło się ich nawrócenie. Błędem byłoby jednak skupianie się na tym, co było przed nawróceniem. O wiele istotniejsze są wybory, które podjęli oni później, radykalizm życia Ewangelii, porzucenie wszystkiego i decyzja, by w pełni iść za Panem. To one są świętością, a nie to, co było przed. Oczywiście zarówno św. Augustyn, jak i św. Ignacy, opisali, i to dość szczegółowo, swój stan sprzed nawrócenia, ale bynajmniej nie po to, by nas nim porywać, ale by uświadomić nam, jak wielkie rzeczy uczynił Bóg w ich życiu.

Nie brak jednak także świętych, którzy – już po nawróceniu – nie wykazywali się specjalną, przynajmniej egzystencjalną, konsekwencją. Świętym przykładem jest tu św. Grzegorz z Nazjanzu (zwany przez chrześcijan wschodnich Grzegorzem Teologiem). Ten wybitny teolog, o niewątpliwych zasługach dla ukształtowania się dogmatu chalcedońskiego, był człowiekiem niezwykle kapryśnym i niezdecydowanym. Gdy jego ojciec chciał go wyświęcić na kapłana, on początkowo uciekał i dopiero po jakimś czasie zdecydował się wspomóc starego ojca. Gdy św. Bazyli Wielki wyświęcił go na biskupa Sazimy, on dość szybko opuścił swoje miejsce duszpa-

sterzowania, i podobnie uczynił ze stolicą biskupią swego ojca, którą także porzucił. Zmiana w jego życiu nastąpiła dopiero wówczas, gdy został patriarchą Konstantynopola. To łaska stanu związana z tym stanowiskiem mocno go zmieniła i niewątpliwie doprowadziła do duszpasterskiej świętości.

Kłopoty z charakterem miał także inny starożytny święty, czyli św. Hieronim. Jego współcześni wskazują, że był on apodyktycznym cholerykiem, który z trudem radził sobie w kontaktach z ludźmi. I choć starał się to zmienić, niespecjalnie mu to wychodziło. Jako pokutę zadał więc sobie... naukę języków. Choć niekoniecznie wpłynęło to na zmianę jego charakteru, to przyczyniło się do tego, że dzięki dobremu opanowaniu języków biblijnych przełożył na łacinę Pismo Święte. I za to, po-

nietrudno się więc domysleć, że chłopak został alkoholikiem (gdy miał 13 lat). Od tego momentu pił codziennie, aż do 28. roku życia. To wtedy, bez grosza przy duszy, stanął przed pubem i zaczął prosić kolegów o szklaneczkę whiskey. Nikt nie był skory do pomocy, aż wreszcie jeden z nich rzucił mu krótko: „Ty świnię”. Matt wrócił do domu trzeźwy i załamany i obiecał matce, że złoży ślub abstynencji. I zrobił to. Po spowiedzi złożył trzymiesięczne zobowiązanie do abstynencji na ręce miejscowego duchownego. Nie były to jednak dla niego miesiące łatwe. On sam wspominał, że przedzej wskrzesi się zmarłego niż przestanie pić, gdy jest się alkoholikiem. Po trzech miesiącach jednak zdecydował się na ponowienie ślubu. I tak wytrwał w abstynencji przez 41 lat.

ŚWIĘTY ALBERT CHMIELOWSKI Z NOWICJATU OD JEZUITÓW WYSTĄPIŁ W STANIE SILNEJ DEPRESJI I PÓŹNIEJ LECZYŁ SIĘ W ZAKŁADZIE DLA NERWOWO CHORYCH W KULPARKOWIE NIEOPODAŁ LWOWA, A DO PEŁNEJ RÓWNOWAGI PSYCHICZNEJ WRACAŁ U BRATA NA PODOLU. A JEDNAK TO WŁAŚNIE ON JEST JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH ŚWIĘTYCH POLSKICH I NADAŁ PRZYCIĄGA DO SIEBIE LUDZI.

dobnie jak za wspaniałe dzieła apologetyczne, został kanonizowany przez starożytny Kościół. Taką pokutę, która służy innym i Kościołowi, może także obecnie zadać sobie każdy z nas.

► Wciąż potrzebni jurodwi

Nie ma też najmniejszych wątpliwości, że to nie zdrowie (także równowaga psychiczna) jest podstawą świętości. Wielu z wielkich świętych miało problemy z depresją, inni – z punktu widzenia świeckich standardów – zupełnie zdrowi nie byli. Święty Albert Chmielowski z nowicjatu od jezuitów wystąpił w stanie silnej depresji i później leczył się w zakładzie dla nerwowo chorych w Kulparkowie nieopodał Lwowa, a do pełnej równowagi psychicznej wracał u brata na Podolu. A jednak to właśnie on jest jednym z najważniejszych świętych polskich i nadal przyciąga do siebie ludzi.

Innym przykładem człowieka chorego, który dzięki Bożej łasce osiągnął świętość, jest Matt Talbot. Ten irlandzki doker był w istocie skazany na alkoholizm, bowiem pochodził z rodziny, w której choroba ta była dziedziczna, a jego ojciec nieustannie był pijany. Chłopak zakończył edukację po dwóch latach nauki, a potem, jako 12-latek, został gońcem w składzie win. Część pensji pracodawca wypłacał w alkoholu,

Pomocą była mu codzienna msza święta, różaniec i lektura mistyków. Ten z trudem łączący litery w zdania człowiek zaczął bowiem czytać św. Teresę z Avila i św. Augustyna, a gdy czegoś nie rozumiał, pytał znajomych księży. Jego życie stało się jedną wielką pokutą za grzechy młodości. Nie oznaczało to jednak, że był człowiekiem ponurym. W pamięci przyjaciół zapisał się jako człowiek wesoły i świetnie bawiący się w towarzystwie.

Jego śmierć była cicha jak jego życie. 7 czerwca 1925 r. zasnął w drodze na niedzielną mszę świętą. Umierającego rozgrzeszył kapłan, wezwany z pobliskiego kościoła, a ciało przewieziono do kostnicy. Z braku dokumentów mężczyznę zidentyfikowano dopiero po kilku dniach. A jego działanie zaczęło się dopiero po śmierci, gdy Joseph Glynn napisał o nim niewielką broszurkę. Od tego momentu wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Talbott stał się patronem alkoholików. Jego życie jest zaś doskonałym przypomnieniem, że – jak to ujmował ks. dr Ferdynand Machay w 1934 r. – „poziom życia nadprzyrodzonego zależny jest w wielkiej mierze i od naszej pracy. Łaska Boża bowiem bez naszej współpracy z nikogo nie uczyni dobrego chrześcijanina, a już tym mniej – świętego”. Warto o tym pamiętać, tak jak warto pamiętać o tym, że nie istnieją ludzie w oczach Bożych straceni. ■

Szczyt, który w lipcu odbył się na Stadionie Narodowym w Warszawie, nie bez powodu został określony mianem jednego z najważniejszych wydarzeń politycznych w Polsce po 1989 r. Uczestniczyło w nim 61 zagranicznych delegacji, 21 premierów, 18 prezydentów, 39 ministrów obrony oraz 2,5 tys. dyplomatów. Relacjonowało go niemal 2 tys. dziennikarzy z całego świata. Po jego zakończeniu przedstawiciele polskich władz prześcigali się w sformułowaniach podsumowujących przebieg i ustalenia spotkania na Stadionie Narodowym. Ale jedno z nich padało i wciąż pada bardzo często: „przełom”. Ustalenia szczytu NATO są przełomem nie tylko w wymiarze symbolicznym – zapadły w mieście, w którym w 1955 r. zostały podpisane dokumenty powołujące do istnienia Układ Warszawski – lecz także w sferze faktycznej i spowodują konkretne konsekwencje polityczne.

► Przełomowy szczyt w Warszawie

Spośród szeregu ustaleń podjętych podczas szczytu w Warszawie dla Polski najważniejsza jest decyzja o wzmocnieniu Wschodniej Flanki Sojuszu. Zgodnie z nią w Polsce, na Litwie, Łotwie oraz w Estonii NATO rozmieści 4 grupy batalionowe liczące po około tysiąc żołnierzy. Ich dowództwo ma zostać zlokalizowane w Polsce. Ponadto w naszym kraju ma zostać umieszczone dowództwo brygady pancernej armii Stanów Zjednoczonych. Czy to wystarczy, żeby skutecznie odstraszyć potencjalnego agresora? Trafnie wagę tych ustaleń ocenił Marek A. Cichocki, pisząc w jednym z felietonów: „Z militarnego punktu widzenia to nie jest dużo, ale politycznie oznacza przełom w dotychczasowej interpretacji aktu z 1997 roku ustanawiającego relacje między NATO i Rosją. Przypomnijmy: Rosja konsekwentnie traktowała ten akt jako zobowiązanie do nie-stacjonowania sił NATO na terytorium państw przyjętych do Sojuszu w 1999 i 2004 roku. W praktyce oznacza to, że nowi członkowie mieli inny status bezpieczeństwa niż pozostali. Ten pozimnowojenny relikw slusznie odchodzi teraz do przeszłości”. Na tym właśnie polega przełomowość szczytu. Polska jest członkiem Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego od 1999 r. i przez 17 lat wielokrotnie dawała wyraz lojalności sojuszniczej, wysyłając żołnierzy i sprzęt wojskowy na misje zagraniczne, jednak dopiero teraz wojska NATO realnie będą stacjonować na terenie Rzeczypospolitej.

Kołowy Transporter Opancerzony Rosomak, fot. PGZ

Bezzałogowy statek powietrzny na błoniach stadionu PGE Narodowy podczas szczytu NATO, fot. MON





Zgodnie z wielokrotnie powtarzanymi zapowiedziami polityków podczas szczytu NATO w Warszawie zapadła historyczna decyzja: żołnierze Sojuszu będą stacjonować w Polsce oraz w krajach bałtyckich. Oznacza to, że NATO inaczej niż jeszcze kilka lat temu postrzega sytuację geopolityczną w Europie, a bezpieczeństwo Polski zostało podniesione.

Konferencja prasowa podczas szczytu NATO w Warszawie, fot. MON

Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz stwierdził jeszcze przed rozpoczęciem szczytu w Warszawie, że od II wojny światowej głównym narzędziem, za pomocą którego Rosja starała się zdominować Europę, było wyeliminowanie wojsk USA i Wielkiej Brytanii z naszego kontynentu oraz rozbięcie NATO. „Dotychczas byliśmy w NATO, ale NATO nie było w Polsce. Teraz wszystko się zmienia. Dlatego ten szczyt ma większe nawet znaczenie niż wejście Polski do NATO w 1999 r. Tamta decyzja miała charakter polityczny, ta – wojskowy, militarny, decydujący o naszym bezpieczeństwie” – podkreślił Antoni Macierewicz.

► Bezpieczeństwo na Wschodniej Flance

Rozmieszczenie wojsk NATO na terenie państw Wschodniej Flanki Sojuszu oprócz tego, że ma znaczenie symboliczne oraz stanowi demonstrację jedności i solidarności państw Paktu, jest odpowiedzią na postępującą destabilizację sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej. To nie tylko reakcja na konflikt zbrojny, który wciąż toczy się na Ukrainie, czy też zabezpiecze-



Pamiątkowe zdjęcie delegatów obecnych na szczycie NATO w Warszawie, fot. MON

nie przed wystąpieniem symptomów wojny hybrydowej na obszarze Polski i państw bałtyckich. Wojska NATO w Polsce oraz u naszych sąsiadów to także reakcja na działania Rosji, która przy granicy z państwami bałtyckimi oraz w Kaliningradzie i na Morzu Bałtyckim wzmacnia swoje siły zbrojne. Analitycy zachodnich ośrodków sądzą jednak, że Federacja Rosyjska nie szykuje się do wojny, ale używa argumentów militarnych, żeby zachować inicjatywę w relacjach politycznych z Zachodem. W obliczu tej sytuacji wzmocnienie Wschodniej Flanki spotkało się ze zrozumieniem nawet wśród polityków z Niemiec, gdzie opinia publiczna jest niechętna angażowaniu wojsk NATO w tym rejonie. „Z Rosją musimy rozmawiać i nie możemy ograniczać się tylko do polityki odstraszenia. Ale musimy też zrozumieć obawy republik bałtyckich, które mają u siebie duże mniejszości rosyjskie. W czasie zimnej wojny chcieliśmy mieć ochronę ze strony stacjonujących u nas wojsk NATO. Mają do tego prawo też Polacy i Łotwowie” – w wywiadzie dla niemieckiej gazety „Bild” powiedział przewodniczący Monachijskiej Konferencji Polityki Bezpieczeństwa Wolfgang Ischinger.

Kilka tysięcy żołnierzy NATO na Wschodniej Flance nie stanowi poważnej siły militarnej. W jednym z wywiadów prasowych po szczycie Sojuszu w Warszawie Szef Komitetu Wojskowego NATO gen. Petr Pavel stwierdził, że wojska, które NATO rozmieści w Polsce, na Litwie i Łotwie oraz w Estonii, „mają stawić czoło

ROZWÓJ KRAJOWEGO
PRZEMYSŁU OBRONNEGO,
WYPOSAŻENIE GO
W INNOWACYJNE TECHNOLOGIE
ORAZ ZDOLNOŚCI
PRODUKCYJNE I SERWISOWE
W ZAKRESIE NAJBARDZIEJ
ZAAWANSOWANEGO, A PRZED
WSZYSTKIM NIEZBĘDNEGO
Z PUNKTU WIDZENIA
BEZPIECZEŃSTWA KRAJU,
SPRZĘTU TO KONIECZNOŚĆ.

zagrożeniu hybrydowemu w stylu krymskim, a nie powstrzymać zagrożenie na wielką skalę. Mają dać trochę czasu na wzmocnienie". I chociaż Prezydent RP Andrzej Duda powiedział, że NATO pokazuje jedność oraz że zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” obowiązuje, a politycy wielokrotnie powtarzali, że ustalenia szczytu dowodzą jedności i solidarności – wartości, które Sojusz uznaje za podstawowe – trzeba pamiętać, że geopolityka i stosunki międzynarodowe to gra, w której stawką nie są wartości, a na pewno nie tylko one, ale przede wszystkim interesy.

Silnym podmiotem w polityce międzynarodowej jest państwo, które skutecznie zabezpiecza i realizuje swoje interesy. Ustalenia szczytu NATO bezsprzecznie oznaczają uzyskanie przez Polskę pełnej podmiotowości jako członka Sojuszu, ale zabezpieczenie naszych interesów wymaga czegoś więcej niż opierania się na obietnicach i zapewnieniach potężniejszych partnerów. Polska, żeby utrzymać pozycję pełnoprawnego podmiotu w stosunkach międzynarodowych dotyczących Europy Środkowo-Wschodniej, musi konsekwentnie realizować swoją *Realpolitik*, nie zapominając oczywiście o wartościach. A uwzględniając sytuację geopolityczną w regionie, za jeden z podstawowych interesów Rzeczypospolitej należy uznać bezpieczeństwo kraju, które musi opierać się nie tylko na sile odstraszania i reagowania NATO, lecz także na własnym potencjale obronnym. Na ten zaś składają się dwa podstawowe elementy: siły zbrojne i przemysł; jednak siły zbrojne nie będą w pełni sprawne bez zapewnienia bezpieczeństwa dostaw uzbrojenia i sprzętu ze strony przemysłu.

► Nowoczesny przemysł zapewni wojsku niezależność

Do zwiększenia potencjału obronnego polskiej armii ma przyczynić się m.in. Plan Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP na lata 2013–2022, który obejmuje unowocześnienie uzbrojenia i sprzętu wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Po objęciu rządów przez obecny gabinet polityczny doszło do redefinicji sposobu jego realizacji. Po jesiennych wyborach parlamentarnych nastąpił istotny zwrot w relacjach Polskiej Grupy Zbrojeniowej – największego w kraju koncernu obronnego, skupiającego ponad 60 spółek przemysłu zbrojeniowego – z partnerami zagranicznymi, którzy dysponują najnowocześniejszymi technologiami. Prezes Zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej Arkadiusz Siwko wielokrotnie powtarzał, że modernizacja nie może być realizowana przez prosty zakup sprzętu i uzbrojenia, bez dostępu do technologii. PGZ nawiązuje takie relacje z partnerami, które skutkować będą transferem nowoczesnych technologii do zakładów Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Przykładem takiego działania jest podpi-

sanie przez PGZ listu intencyjnego z amerykańskim koncernem Raytheon, który zadeklarował, że umieści w zakładach Polskiej Grupy Zbrojeniowej 50 proc. produkcji systemu Patriot, jeżeli ten zostanie wybrany przez Ministerstwo Obrony Narodowej w programie obrony powietrznej „Wisła”. Zarząd PGZ deklaruje, że przy nawiązywaniu wszystkich aliansów strategicznych dotyczących współpracy przemysłowej transfer technologii jest aspektem priorytetowym. I dotyczy to także innych partnerów zagranicznych, z którymi Polska Grupa Zbrojeniowa rozpoczęła lub zacieśniła w ostatnim czasie współpracę, np. firm Elbit Systems, Kongsberg, SAAB czy Boeing.

Polska musi dysponować odpowiednim potencjałem technologicznym, który umożliwi krajowym zakładom skonsolidowanym w Polskiej Grupie Zbrojeniowej samodzielną produkcję i serwisowanie sprzętu wojskowego, a tym samym zabezpieczenie dostaw dla Sił Zbrojnych RP. Równoległe z pozyskiwaniem technologii drogą transferu PGZ będzie prowadzić prace badawczo-rozwojowe, w które włączy środowiska naukowe, żeby wypracować polską innowacyjną myśl techniczną, która zostanie wykorzystana do produkcji w krajowych zakładach. Taka filozofia modernizacji polskiej armii jest spójna ze stanowiskiem Ministerstwa Obrony Narodowej, które chce, żeby jak najwięcej zamówień w ramach planu modernizacji trafiło do zakładów przemysłowych skonsolidowanych w Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Podejście to jest korzystne dla Polski z gospodarczego i społecznego punktu widzenia, a ponadto wzmacnia pozycję naszego kraju na arenie międzynarodowej i uniezależnia polskie wojsko od zagranicznych dostawców. Samodzielny, innowacyjny i dobrze zarządzany przemysł zbrojeniowy to jeden z elementów konstytuujących suwerenność Polski.

Rozwój krajowego przemysłu obronnego, wyposażenie go w innowacyjne technologie oraz zdolności produkcyjne i serwisowe w zakresie najbardziej zaawansowanego, a przede wszystkim niezbędnego z punktu widzenia bezpieczeństwa kraju sprzętu – to konieczność. Po szczycie NATO, który odbył się w Warszawie, możemy mówić, że Polska stała się realnym członkiem Sojuszu. Tym bardziej więc powinniśmy pamiętać o treści art. 3 Traktatu Północnoatlantyckiego, który stanowi: „Dla skutecznego osiągnięcia celów niniejszego Traktatu Strony, każda z osobna i wszystkie razem, przez stałą i skuteczną samopomoc i pomoc wzajemną będą utrzymywały i rozwijały swoją indywidualną i zbiorową zdolność do odparcia zbrojnej napaści”. Wypełnienie tego zapisu stanowi dziś jeden z najważniejszych aspektów polskiej *Realpolitik*. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję przy współpracy z PGZ S.A.



Piotr Lisiewicz

Pochwała mądrości polskiego szaleństwa

„Komunizm polski mniej
wygląda na zjawisko
socjalne niż na objaw
patologiczny... Jak
gdyby nadmiar miłości
do Polski wyzwalał
w chorych duszach
nienawiść do Polski.
Jak gdyby polskiemu
prawu poświęcenia dla
ojczyzny odpowiadał
bunt lękających się
tego prawa – hasłem
poświęcenia ojczyzny.
»Polski« komunizm
wydaje się niemal
całkowicie mieścić
w zakresie psychiatrii...
antypolskie nastawienie
»polskich« komunistów
stało się całym ich
programem” – pisał
Ignacy Matuszewski. Jak
zapowiedzieli Antoni
Macierewicz i Sławomir
Cenckiewicz, prochy
płk. Matuszewskiego
wrócą do Polski. Jeśli
wraz z nimi wróci
do Polski jego myśl
polityczna, może to
być gwóźdź do trumny
postkomunistycznych elit

16 listopada 2015 r. Sławomir Cenckiewicz napisał na Facebooku: „Odwiedziłem w Nowym Jorku grób płk. Ignacego Matuszewskiego i mjr. Henryka Floyar-Rajchmana – naszych zapomnianych bohaterów!

Skoro koledzy i dobrzy znajomi znaleźli się niemal we wszystkich resortach nowego rządu, to myślę, że najdalej za rok, kiedy ukaże się już biografia płk. Matuszewskiego mojego autorstwa, przeniesiemy obu ministrów do kraju i złożymy ich na Powązkach!

Obaj służyli w armii, pracowali w służbach specjalnych, dyplomacji i ministerstwie skarbu, więc siłą tyłu resortów i służb uda się nam ich przenieść z Nowego Jorku do Polski! Tu nie pamięta o nich przysłowiowy »pies z kulawą nogą«, nie odwiedza konsul i ambasador RP, nie mówiąc już o delegacjach z Polski”.

► Najwybitniejszy publicysta w historii Polski

Skąd ta cisza? Dlaczego postać Ignacego Matuszewskiego została w III RP zamilczana? Przecież to o nim, jako szefie polskiego wywiadu w czasie wojny polsko-bolszewickiej Józef Piłsudski powiedział: „Była to pierwsza wojna, którą Polska prowadziła od wielu stuleci, w czasie której mieliśmy więcej informacji o nieprzyjacielu niż on o nas”.

Do tego Matuszewski to postać barwna, człowiek skazany na karę śmierci zarówno przez bolszewików, jak i Niemców, poza tym mąż pierwszej polskiej mistrzyni olimpijskiej Haliny Konopackiej...

Czy nie jest tak dlatego, że przywrócenie pamięci Matuszewskiego może być dla III RP nie mniej niewygodne, jak przywrócenie Polsce twórczości Józefa Mackiewicza, o które obóz niepodległościowy musiał stoczyć ze środowiskiem „Gazety Wyborczej” wieloletnią batalię?

Wojciech Wencel nazwał Matuszewskiego „najwybitniejszym publicystą politycznym w historii Polski”. Rzecz w tym, że w swej publicystyce przedstawiał on tezy, za które w III RP mógłby zostać skazany przez sąd, jak stało się w przypadku poety Jarosława Marka Rymkiewicza.

► Naród niegodny samodzielnego istnienia

Rozpocząłem niniejszy szkic od słów Matuszewskiego o „polskich” komunistach napisanych w amerykańskim Detroit w 1946 r. W opublikowanym wówczas artykule w „Dzienniku Polskim” z 3 czerwca 1946 r. Matuszewski postawił tezę, że komuniści „polscy” tym różnią się od pozostałych, że nieporów-

nywalnie bardziej nienawidzą własny naród i państwo.

Porównując ich z komunistami rosyjskimi, stwierdzał: „Komunizm »polski« nigdy nie był polski – zawsze był antypolski. Komunizm rosyjski był antycarski, antydemokratyczny, nie był jednak antyrosyjski”.

Pokazywał też, jak wygląda działanie komunistów gdzie indziej: „[...] kiedy antypaństwowość i antynarodowość komunistów niemieckich jest wstrząsliwa, a może nawet niszcząca, kiedy antypaństwowość komunistów francuskich, hiszpańskich czy włoskich napotyka wewnętrzne opory, czego dowodem liczne nawrócenia z komunizmu, antypaństwowość i antynarodowość komunistów polskich jest dominującą dla nich cechą”.

Przypominał haniebne korzenie komunistów znad Wisły, którzy walczyli z państwem polskim, którego... jeszcze nie było: „Wołali głośno, że naród polski niezdolny jest i niegodny samodzielnego istnienia. Nienawidzili samej myśli o możliwości zmartwychwstania Polski niepodległej. Róża Luksemburg polemizowała przed pierwszą wojną światową z Leninem, dowodząc, jako »Polka«, że niepodległościowe dążenia polskie są »reakcyjne«”.

Matuszewski starał się zrozumieć przyczyny tego fenomenu i postawił następującą hipotezę: „Komunizm polski mniej wygląda na zjawisko socjalne, niż na objaw patologiczny... Jak gdyby nadmiar miłości do Polski wyzwał w chorych duszach nienawiść do Polski. Jak gdyby polskiemu prawu poświęcenia dla ojczyzny odpowiadał bunt lękających się tego prawa – hasłem poświęcenia ojczyzny”.

Próbował opisać, jak poszczególne części układanki składały się na ów fenomen. I jakie były jego skutki: „Prawdopodobnie inne były źródła nienawiści do Polski u Feliksa Kona, inne zaś u Feliksa Dzierżyńskiego. Różne mogły być motywy nienawiści do Polski Radka, Marchlewskiego, Unszycha, Wasilewskiej, Żymierskiego, Bieruta... Jedno zdaje się pewne: że antypolskie nastawienie »polskich« komunistów stało się całym ich programem. W ciągu 20 lat niepodległości byli przeciwni Polsce w każdej sprawie: w sprawie Wilna i Śląska, Lwowa, Gdańska, Cieszyńska i Pomorza, granic traktatu ryskiego, granic traktatu wersalskiego. Byli wreszcie przeciw Polsce napadniętej przez Hitlera”.

Stwierdzał, że nawet „dygnitarze rosyjscy patrzyli na nienawidzących własnego państwa komunistów »polskich« jak na psychopatów, którym można powierzyć dzieło zniszczenia, ale których się nie traktuje jak równych”.

Prorokował więc – przypomnijmy – w 1946 r.: „władza w ręku »polskich« komunistów jest nie tylko władzą posłusznych obcych agentów, lecz także wła-

dzą psychopatów, gotowych niszczyć nie tylko z rozkazu, ale z własnego porywu, burzyć nie tylko teraźniejszość, ale i całą przeszłość”.

► Niebezpieczne analogie

Nie ukrywajmy, że czytając te słowa w 2016 r., nie myślimy tylko o rozprawie komunistów z polskością w latach 40. i 50. W nieunikniony sposób myślimy o tuszowaniu Smoleńska i paroksyzmach nienawiści wobec domagających się prawdy o nim ze strony środowisk „Gazety Wyborczej” czy tygodnika „Polityka”. Myślimy też o braku skrupułów targowiczana z KOD-u, by szkalować własne państwo na całym świecie, skoro władzę przejął w nim znienawidzony obóz niepodległościowy.

Publicystyka Matuszewskiego jest niebezpieczna, bo nasuwa cały szereg podobnych interpretacji i analogii, a ta dotycząca „polskich” komunistów jest tylko jednym z wycinków, składających się na jego koncepcję myślenia o Polsce, jej historii i współczesności. Koncepcję, która – możemy powiedzieć to 70 lat po jego śmierci – znakomicie przetrwała próbę czasu.

► Chrześnik Bolesława Prusa

Ignacy Matuszewski urodził się 1 września 1891 r. w Warszawie w rodzinie krytyka literackiego Ignacego Erazma Matuszewskiego i Anieli z domu Bein. Mimo żydowskiego pochodzenia matki, Matuszewscy byli katolikami.

Dziadek Ignacego walczył w Powstaniu Styczniowym, zaś ojciec był kierownikiem literackim „Tygodnika Ilustrowanego” (przez dwa „l”), który był najpopularniejszym piśmie ilustrowanym w Polsce w czasach pozytywizmu. Drukowali na jego łamach m.in. Eliza Orzeszkowa, Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus.

Ten ostatni został ojcem chrzestnym małego Ignacego. Matuszewski studiował kolejno filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, architekturę w Mediolanie, prawo w Dorpacie oraz nauki rolnicze w Warszawie.

Jak pisze Sławomir Cenckiewicz w artykule „Plk Ignacy Matuszewski 1891–1946”, Matuszewski podczas I wojny światowej należał do realizatorów koncepcji Piłsudskiego w Rosji.

Od grudnia 1914 r. służył w armii rosyjskiej, będąc m.in. dowódcą oddziału wywiadowczego. W 1917 r. organizował Zjazd Wojskowych Polaków w Petersburgu. Uczestniczył w formowaniu Korpusów Polskich w Rosji, a w grudniu 1917 r. wstąpił do I Korpusu gen. Dowbora-Muśnickiego.

„Na początku 1918 roku został Matuszewski zaocznie skazany na śmierć przez bolszewików – w od-

powiedzi na wyrok, 18 lutego tegoż roku, na czele polskiego oddziału wojska zajął on Mińsk Litewski, przepędzając z miasta 25-tysięczny garnizon bolszewicki” – pisze Cenckiewicz.

Jakby tego było mało, na karę śmierci skazali go też Niemcy, przez co musiał uciekać do Kijowa. W kwietniu 1918 r. Matuszewski złożył przysięgę POW. Wspominał ten czas: „Nie zapomnę nigdy nocy, spędzonej 8 listopada 1918 roku w Puławach, w jakiejś pustej szkole, gdzie odbywała się mobilizacja... co sprowadzało tam tych chłopców, których nie zbierała żadna władza, żadna egzekutywa, żaden policjant? Co kazało im przychodzić tam w ciemną jesienną noc [...] Dłaczego przychodzili po karabin i naboje, rany i śmierć? Ciemna noc stała za oknami, waliły się w oddali światy całe, wiatr jesienny grał w nagich gałęziach i niósł od wschodu do zachodu nawoływanie do krwawego porachunku między nędzą a bogactwem”.

Ta scenka była dla niego pretekstem do stwierdzenia odmienności losów polskich od krajów, gdzie bardziej liczą się dobra materialne: „[...] tu, w małym kręgu światła lampki naftowej, jedne ręce po drugich brały broń, zrastały się plutony, ruszały w noc wychodzące spod ziemi kompanie i wśród świata, zapadającego w otchłań innych namiętności – naród polski powstawał i szedł walczyć o swoją namiętność, o coś droższego niż wszystko inne, szedł walczyć o wolność”.

O tej naturze Polaków napisze potem: „Jeśli potrzeba wolności jest szaleństwem, w takim razie naród polski jest szalony. Naród polski niekiedy sam tak sądził i próbował się z szaleństwa uleczyć. Po katastrofach legionowych czy powstań przychodziły okresy, kiedy szukano jakiegoś sposobu, aby ułożyć się z musem życia; po Dąbrowskim przychodził Lubiecki, po romantyzmie – pozytywizm. Daremnie. W ciągu jednej nocy Mochnacki obalał dzieło Lubieckiego – i Polska szła za nim. Jedynym realistą w pokoleniu pozytywizmu okazał się »romantyk« Piłsudski, odrzucający kompromis”.

► Ślub z mistrzynią olimpijską

Matuszewski został skierowany do Oddziału II Naczelnego Dowództwa WP, czyli wywiadu, nazywanego popularnie Dwójką. Podczas wojny z bolszewikami w lipcu 1920 r. został jego szefem. Po zwycięskiej wojnie z bolszewikami Piłsudski wypowiedział słowa pochwały pod adresem kierowanej przez niego instytucji, która znacząco przyczyniła się do zwycięstwa nad bolszewikami.

Po zwycięstwie nad bolszewikami Matuszewski dalej pracował w „Dwójce”. Ukończył w międzyczasie Wyższą Szkołę Wojenną i awansował do stopnia pułkownika dyplomowanego.

W 1921 r. objął funkcję attaché wojskowego w Rzymie, gdzie pracował do 1926 r. W grudniu 1928 r. Matuszewski ożenił się z Haliną Konopacką, pierwszą polską mistrzynią olimpijską w lekkoatletyce. Ślub młodej pary odbył się 28 grudnia 1928 r. w Rzymie. Warto odnotować, że Matuszewski był także publicystą sportowym, zamieszczającym artykuły w „Przeglądzie Sportowym” i „Stadionie”.

W latach 1928–1929 był z kolei posłem polskim w Budapeszcie. A w latach 1929–1931 ministrem skarbu w rządzie Kazimierza Świątalskiego.

W 1932 r. został redaktorem naczelnym pilsudczykowskiej „Gazety Polskiej”. Jak duże było znaczenie jego publicystyki, pokazuje fakt, że gdy z niej odszedł, jej sprzedaż spadła o połowę.

W jednym ze swoich najważniejszych esejów, o ile nie najważniejszym, pt. „Wola Polski”, opublikowanym w 1941 r. w londyńskich „Wiadomościach”, wspominał swoją rozmowę z Hamiltonem Armstrongiem, redaktorem naczelnym nowojorskich „Foreign Affairs”, która odbyła się niespełna dziesięć lat wcześniej. Matuszewski rekonstruował w niej swoje ówczesne myślenie o Polsce.

Tłumaczył w niej Amerykaninowi, że postawa Zachodu, biernego wobec nadchodzących zagrożeń, jest nieracjonalna: „Zrozumiałe jest stanowisko Rosji – Sowietów chcą rozpętania wojny i wiedzą, że osłabienie Polski jest pierwszym krokiem do tego. Można zrozumieć stanowisko Włoch – bo Włochy same boją się nacisku niemieckiego i pragną go skanalizować w kierunku wschodnim. Stanowisko rosyjskie może być określone jako nieetyczne, jako demagogiczne – jeśli kto woli – ale daje się ono pojąć. Stanowisko włoskie jest krótkowzroczne, jest tchórzliwe, jest obliczone na krótką metę, ale jest w swojej słabości ludzkiej po ludzku logiczne. Natomiast nielogiczne jest w tej sprawie stanowisko tych, co naprawdę chcą zachowania pokoju – i oto pragną go wzmacniać przez podkopywanie fundamentów”.

Matuszewski próbował wytłumaczyć amerykańskiemu rozmówcy, na czym polega oryginalność polskiego doświadczenia: „Polska leży bowiem między dwoma olbrzymimi ludami, opętanymi przez demony. I Polska – samym swym istnieniem paraliżuje dwa imperializmy, których siły z daleka ocenić nie można”.

Stała się, by Amerykanin rozumiał, że jego słowa nie są efektem jakiegoś nieracjonalnego mesjanizmu: „To nie jest nasza megalomania – to jest nasze nieszczęście. Nieszczęściem jest, że żyjemy na otwartym gościńcu historii, na wielkim rozdrożu dziejów. Ani to nasza wina, ani to nasza zasługa – to los nasz tylko. Ale przez krwawe próby, nauczył on nas rozumieć to, czego inni jeszcze nie rozumieją. Widzieliśmy z bliska, w ciągu stuleci, jak rodziły się, rosły, potworniały te dwa polityczne uniwersalizmy. Bo to są

dzis uniwersalizmy, tzn. są to imperializmy, dążące do ukształtowania na swoją modłę całego świata”.

► Przeciwno „rozdwójniu” patriotów

Droga polityczna, jaką w dwudziestolecu przeszedł Matuszewski, jest niewątpliwie oryginalna. Jako minister skarbu na początku lat 30. spierał się z Piłsudskim. Po jego śmierci w 1935 r. na trwałe przeszedł do opozycji.

„Nie zgadzał się zarówno z polityką gospodarczą Kwiatkowskiego, jak i z całym systemem rządów po 1935 r.” – pisze Cenckiewicz. Był krytykiem sanacyjnej lewicy, zwolennikiem amerykańskiego liberalizmu gospodarczego oraz kary śmierci, co zbliżyło go do niektórych narodowców. „Mimo swojego pochodzenia nie potępiał radykalizmu ONR-u. Był realistą – doceniał siłę ideową młodzieży oenerowskiej, uważając, że trzeba się z nią dogadać” – pisze Cenckiewicz.

Inaczej niż ci piłsudczykowscy publicyści, którzy w zbliżeniu z narodowcami w drugiej połowie lat 30. widzieli coś „nieestetycznego”, twierdził, że to zakończenie „rozdwójnia” wśród polskich patriotów, inspirowanego przez Rosję, którą uważał za wroga numer jeden. Pisał: „Polska oparła się politycznym rachubom tych Polaków, którzy próbowali jakąś wspólnotę polsko-rosyjską zorganizować. Oparła się wiedzona tym samym instynktem samozachowawczym. Tragiczny los Stanisława Augusta, spotykającego smutną śmierć w lichu pozłacanym więzieniu Petersburga [...] los Wielopolskiego [...] odepchniętego przez własny naród [...] przykłady, że nie ma najmańszej rachuby politycznej, którą można by prowadzić wbrew instynktom narodu. A wreszcie – tak niedawno – życie Dmowskiego, odsuniętego aż do śmierci, mimo wszystkich wartości i atutów, od realnej władzy w Polsce zmartwychwstał – czyż nie jest ponownym świadectwem, że nawet niezrealizowanym programem zbliżenia z Rosją nie można grać w Polsce? Rozdwójnienie prądu narodowego i tyś się słabości, jakie stąd dla nas wynikły z tego właśnie źródła bierze swój początek. Ostateczne wyzwolenie z tej antynomii wymagało całego pokolenia”.

Zbliżył się w tym czasie do Stanisława Cata-Maciekiewicza, redaktora wileńskiego „Słowa”, na łamach którego zaczął publikować. Przewidując wybuch wojny, rozpoczął kampanię na rzecz zwiększenia budżetu wojskowego. Jak pisze Cenckiewicz, prorokował też „rozstrzelanie” Rzeczypospolitej przez dwóch agresorów – Niemcy i Sowiety.

► Ucieczka z polskim złotem

W nocy z 17 na 18 września 1939 r. granicę polsko-rumuńską przekracza dziwny konwój. Według

oficjalnych papierów ciężarówki wiozą „przedmioty kultu i przedmioty artystyczne”. W rzeczywistości w skrzyniach znajduje się polski skarb narodowy – rezerwy złota. Za kierownicą jednej z ciężarówek, brawurowo wymykających się obławie, siedzi Halina Konopacka.

Jak doszło do tej spektakularnej akcji? Już po kilku dniach września zorientowani mogli obawiać się polskiej klęski. Rozpoczęła się akcja, której celem było uratowanie polskiego skarbu narodowego: złota Banku Polskiego i walorów Funduszu Obrony Narodowej.

Akcję tę opisał Cenckiewicz na łamach „Uważam Rze. Historia” w tekście „Ocalić polskie złoto!”. Kierował nią płk Adam Koc, były oficer wywiadu i prezes Banku Polskiego. Ale w czasie akcji otrzymał on rozkaz wyjazdu na Zachód, gdzie miał negocjować pomoc finansową i wojskową dla Polski. W Łucku spotkał dawnych przyjaciół Ignacego Matuszewskiego i Henryka Floyara-Rajchmana. Powierzył im ewakuację złota.

Przydało się doświadczenie Matuszewskiego z czasów pracy w wywiadzie. Po niezliczonych perypetiach udało im się dostarczyć skarb poprzez Rumunię, Turcję i Syrię do polskiego rządu Francji.

Niestety, we Francji polskie władze pod przewodnictwem Władysława Sikorskiego nie powitały Matuszewskiego z wdzięcznością. „Na byłego ministra RP czekały przygotowane już przez ekipę gen. Sikorskiego nieudokumentowane oskarżenia o nadużycia finansowe... Zarzucali oni Matuszewskiemu »zbyt hojne wydawanie pieniędzy« w trakcie transportowania złota oraz »przewiezienie na koszt Banku wielu osób postronnych«” – pisze Cenckiewicz.

► Pochwała polskiego szaleństwa

Matuszewski, odsunięty od służby państwowej przez rząd Sikorskiego, po kapitulacji Francji wyjechał przez Hiszpanię, Portugalię i Brazylię do Stanów Zjednoczonych, gdzie dotarł we wrześniu 1941 r.

W 1941 r. ukazał się w londyńskich „Wiadomościach” jego cytowany już esej „Wola Polski”. Pisał w nim: „Jeśli Polska w ciągu tylu wieków nie weszła ani do wspólnoty rosyjskiej, ani do wspólnoty niemieckiej – to dlatego, że wejść do nich nie mogła. Nie mogła zaś dlatego, że od początku swego historycznego istnienia Polska należy do innej wspólnoty. Polska należy do wspólnoty zachodnioeuropejskiej, mimo że znajduje się na wschodzie. Kto wie, czy ta antynomia nie jest główną przyczyną tragizmu jej losów”.

Podkreślał historyczną przynależność Polski do Zachodu: „Polska żyła – z daleka – tym samym życiem,

jakim żyła Anglia, Francja, Włochy; Polska kształciła się na tych samych księgach, tych samych wzorach, tej samej Biblii i tym samym Plutarchu. To nie jest przypadek, że Uniwersytet Krakowski powstał w tym samym okresie, kiedy powstały Sorbona, Oxford, Padwa – i o tyle stuleci wcześniej niż Uniwersytet Petersburski”.

Padły tu niewątpliwie jedne z najważniejszych słów w jego publicystyce: „Są ludy, których poczucie wolności jest zaspokojone, kiedy posiadają wolność kulturalną czy wolność gospodarczą. I być może, że takie odczuwanie w ich warunkach jest słuszne. Natomiast w warunkach polskich słuszne jest odczuwanie polskie. Bowiem tylko wolność polityczna, tylko niepodległość zabezpiecza Polaków przed zalaniem przez barbarzyństwo”.

Pisał to, co dla niego było jasne zawsze, a teraz stało się widoczne dla innych: „Polska sąsiaduje z dwoma sąsiadami o całkowicie odmiennych od naszej kultury – kulturach, które my Polacy mamy prawo określić jako barbarzyńskie, bowiem znamy je dokładnie z zadawanych nam cierpień. Państwa te są olbrzymimi i zaborczymi systemami niewoli, czemu nikt zaprzeczyć nie może. To zaś, że są tym, to nie jest przypadek, lecz wynik długiego (i trudnego albo zgoła niemożliwego do odwrócenia) procesu dziejowego. Jakiegokolwiek więc uszczuplenie wolności politycznej Polski, jakiegokolwiek ograniczenie jej niepodległości jest dla nas prostą drogą do całkowitej utraty wolności w ogóle. Tę prawdę Polacy odczuwają mocno i powszechnie”.

Matuszewski zauważał, że z takiej perspektywy polskie „szaleństwo” jawi się jako jedyna dla Polski możliwa droga, by barbarzyństwu nie ulec.

► 200 lat propagandy antypolskiej

Z pasją pisał o kampaniach niszczących wizerunek Polski na świecie: „Przecież propaganda antypolska trwa nieprzerwanie od lat niemal dwustu. Przecież zaczyna się od Katarzyny II i Fryderyka II – a kończy się na III Międzynarodowce i wszystkich piątach kolumnach narodo-socjalistycznych świata. Kogóż tam nie ma wśród tych kupionych albo ideowych oszczerców? Od genialnego nieuka, jakim był J.J. Rousseau, poprzez złośliwe kłamstwa Bakunina... poprzez naukowe wywody Kautsky’ego i kobiecą histerię Róży Luksemburg [...] aż do codziennego paszkwilu w »Humanité« albo periodycznego paszkwilu w »Daily Worker«, ciągnie się – zrodzone w budarach najcyniczniejszej autorki świata – oskarżenie Polski o obskurantyzm, malowanie jej jako zacofanego państwa jezuitów, jako siedziby papi-

stowskiej inkwizycji, znęcającej się nad każdym, kto myśli lub pracuje.

A równolegle biegnie inna, nie mniej konsekwentna niż propagandy. Z Rousseau sąsiaduje Metternich, z [...] Różą Luksemburg – Alfred Rosenberg, z »Humanité« – »Völkischer Beobachter«. Bo choć Bismarck dowodzi czegoś wprost przeciwnego niż Bakunin – cel jego jest ten sam: przekonanie opinii świata, że Polska istnieć nie może i nie powinna”.

Za prostaczką uznawał logikę, zgodnie z którą Polska musi iść „skoro nie z Rosją to z Niemcami”: „Oczywiście, Niemcy należą do wspólnoty zachodnioeuropejskiej. Oczywiście, są jej współtwórcami. Ale nie chcą do niej należeć”.

W Ameryce współorganizował wraz z Wacławem Jędrzejewiczem i Henrykiem Floyar-Rajchmanem Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP) i Instytut Józefa Piłsudskiego.

W artykule „Ostatni krąg piekła” pisał o tragedii polskich Żydów z getta: „Te ulice zamienione dzisiaj w ostatni krąg piekła na ziemi – Krochmalna, Żelazna, Srebrna, Grzybowska – są ulicami naszego miasta, ścieżkami, po których biegło kiedyś i nasze życie. [...] Nie ma także Polaka, który by nie szukał tam myśłą kogoś, zetknął go los, a związała przyjaźń. [...] Po trzykroć odpowiadamy żalobie narodu żydowskiego: jako ludzie – współczuciem, jako walczący – walką z wrogiem, jako Polacy – wolą opieki nad obywatelami Rzeczypospolitej”.

We wrześniu 1944 r. Matuszewski dostał potężny cios – Niemcy rozstrzelali jego córkę Ewę, sanitariuszkę w pułku Baszta.

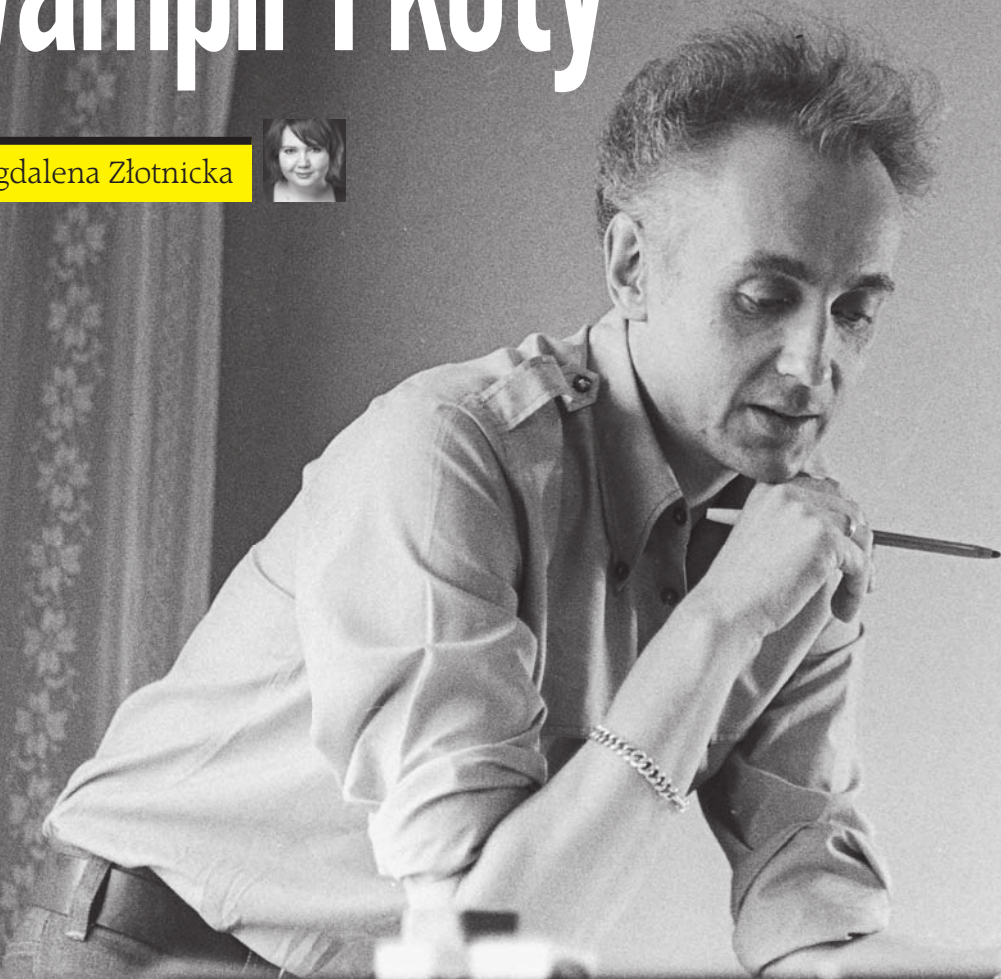
► „Nie postradamy jego idei”

Do końca przeciwstawiał się polityce kapitulacji, porównując politykę carycy Katarzyny i Stalina: „To Kościuszko Polskę ocalił. Gdyby nie jego krwawy protest, co błyskiem szabli i ostrzem kosy przekreślił zgodę legalnego przedstawicielstwa Polski na pójście w jarzmo, Polska byłaby zapewne upadła na zawsze. [...] Do czego zmierza dzisiaj Stalin? Do tego samego. Przez użycie małej grupki zdrajców, przez mamienie obietnicami o straszenie groźbą, Sowiety zmierzają do uzyskania zgody Polaków na niewolę Polski”.

Ignacy Matuszewski zmarł nagle na atak serca 3 sierpnia 1946 r. Jego ciało spoczęło na cmentarzu Calvary w Nowym Jorku. Poeta Kazimierz Wierzyński powiedział nad jego grobem: „Straciłmy człowieka, ale nie postradamy jego idei. Minęło życie ludzkie, ale nie przemienie jego dzieło”. Czy po powrocie do Polski prochów pułkownika słowa te staną się wreszcie prawdziwe? ■

Różaniec, wampir i koty

Magdalena Złotnicka



Łobuz ze Lwowa, bon vivant, który szlajał się po knajpach dniami i nocami, by nad ranem jako ostatni opuścić restaurację – tak zapamiętali Wojciecha Kilara przyjaciele z młodości. To z tego łobuza wyrósł wielki kompozytor, podziwiany przez Jana Pawła II. A także artysta, którego wrażliwość nie potrafiła zaakceptować pogardy, z jaką elity III RP traktują szarych Polaków.

Wojciech Artur Kilar, wsławiony nie tylko muzyką filmową, lecz – może przede wszystkim – także kompozycjami, które zrewolucjonizowały muzykę klasyczną, urodził się 17 lipca 1932 r. we Lwowie. Jak podaje Maria Wilczek-Krupa, autorka biografii Kilara zatytułowanej „Kilar. Geniusz o dwóch twarzach”, matka kompozytora, Aniela Neonilla Batik, pochodziła z Podola, z miasteczka o nazwie Bóbrka. Na świat przyszła w 1906 r. w rodzinie chłopskiej. Mimo to miała spore ambicje. Po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego im. Adama Asnyka we Lwowie, postanowiła zostać aktorką. W tym celu rozpoczęła kursy aktorskie w lwowskim studiu Wandy Siemaszkowej. Z kolei ojciec kompozytora, pochodzący z Żółkwi Franciszek Kilar, był cenionym we Lwowie lekarzem-ginekologiem. Para pobrała się na trzy lata przed pojawieniem się na świecie Wojciecha. Małżeństwo Kilarów było dziwne. Ojciec wiecznie się zakochiwał. Matka zaś nie zwracała na te miłości uwagi. Ostatecznie jednak to w jej życiu pojawił się inny mężczyzna. Ale po kolei.

W 1937 r., kiedy Wojciecha, wykazującego od najmłodszych lat talent muzyczny, zapisano na lekcje gry na fortepianie, małżeństwo wciąż było razem. W tym samym roku przyszły kompozytor rozpoczął naukę w jednej z lwowskich szkół. Jaki był Kilar jako dziecko? Z tym okresem życia kompozytora, stałego bywalca Jasnej Góry, wiąże się zgola nieświète anegdota. Wilczek-Krupa podaje, że młody Wojciech tak mocno przesiał klimat lwowskiej ulicy, trochę cwaniackiej, a trochę łobuzerskiej, że pewnego dnia wpadł do domu i w drzwiach triumfalnie zakrzyknął „Co jest, kurwa!?”. Matka strzeliła go w twarz. Więcej, zapowiedziała, że poinformuje o karygodnym zachowaniu Wojciecha jego ojca. Teraz już młody przeraził się nie na żarty. „Trzeba było coś wymyślić. Dziecięca główka pracowała na najwyższych obrotach, w końcu Wojtek poszedł do kuchni i wykradł kuchenny nóż. Gdy ojciec rozpoczął kazanie, wyjął nóż z kieszeni i dźgnął ojca w rękę” – pisze biografka Kilara.

Z kolei Barbara Gruszka-Zych w poświęconej kompozytorowi książce „Takie piękne życie” wspomina, że kompozytor opowiadał jej, że jako chłopiec, dla zabawy, jeździł z kolegami uczepiony lwowskich tramwajów. – Kiedyś o mało przez to nie straciłem życia, bo byłem taką fizyczną fujarą. Pierwszy raz pechowo wyskoczyłem z tramwaju twarzą przeciwnie do kierunku jazdy. To było na ulicy, gdzie gęsto stały latarnie. Cudem uniknąłem wypadku – opowiadał kompozytor. Owo bycie „fujarą” zapewne miało związek z tym, że młody Wojciech cierpiał na namiętą miłość do słodczy. Ale także do klusek, pierogów i innych kalorycznych dań.

Co ciekawe, Wilczek-Krupa zaznacza, że w dzieciństwie kompozytor uważał chodzenie do kościoła za torturę. „Niepokój wzrastał wiosną każdego roku, kiedy wraz z babcią odwiedzał świątynię codziennie, w ramach nabożeństw majowych. Co to była za tortura! Trzydziestominutowe nabożeństwo, a po nim jeszcze ponadgodzinna msza, z której niewiele rozumiał. Razem z modlitwami – mniej więcej dwie godziny spędzone w kościelnej ławce” – pisze.

Łobuzerskie dzieciństwo zostało przerwane przez II wojnę światową. „Wtedy we Lwowie panował ogromny bałagan – raz się chodziło do szkoły, raz nie. Najpierw miasto było pod okupacją rosyjską, potem niemiecką. Pamiętam te stłoczone klasy po stu uczniów. Czasem przychodziliśmy, a tu nie ma profesora, bo został aresztowany przez Rosjan albo Niemców. Na Wschodzie wcześniej niż reszta kraju uczylimy się, czym jest totalitaryzm. Niemcy po wkroczeniu otworzyli lwowskie więzienie na Łackiego i Brygidki niedaleko nas – to straszne słowo – do zwiędzenia. Z chłopcami nalataliśmy po mieście i zaglądaliśmy tam. Widziałem rozbryzganą krew w tamtych celach” – opowiadał kompozytor Gruszka-Zych.

► „Nie” dla grania

Jesienią 1944 r. doktor Kilar postanowił wysłać żonę wraz z synem w bezpieczniejsze według niego miejsce. W efekcie do Krosna matka z synem trafili

w czasie, w którym było ono objęte walkami, jakie toczyły się w ramach bitwy o Przełęcz Dukielską. Stamtąd trafili do Rzeszowa, gdzie ona występowała w teatrze, a on chodził do Gimnazjum im. ks. Konarskiego i zarazem do rzeszowskiej szkoły muzycznej. Mniej więcej w tym czasie, w latach 1946–1947, miały miejsce pierwsze próby kompozytorskie młodego Kilara. Mimo to pedagogowie konsekwentnie chcieli z niego zrobić pianistę. „W Rzeszowie kontynuował naukę gry na fortepianie w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej nr 2. Trafił tam do cenionego pedagoga Kazimierza Mirskiego, który obudził w nim miłość do grania. Pod jego kierunkiem poznawał nie tylko klasyczny repertuar, ale również muzykę dwudziestego wieku. Zainspirowany Ravelem, Debussym i Szymanowskim, podjął pierwsze próby kompozytorskie. Jako piętnastolatek zdobył drugą nagrodę w Konkursie Młodych Talentów za wykonanie swoich Dwóch miniatur dziecięcych” – pisze Barbara Gruszka-Zych.

W tym samym roku przeprowadził się do Krakowa. Tam uczęszczał do Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego oraz na lekcje muzyki do Marii Bielińskiej-Regier (u jej męża prof. Regiera zresztą mieszkał) i do Artura Malawskiego.

Atmosfera Krakowa nie zadziałała dobrze na młodego człowieka. Knajpy, świat bohemy, znajomi. Uczył się fatalnie. Jego zmorą były zwłaszcza przedmioty ściśle. Wykazywał za to nieprawdopodobny talent do języków.

W 1948 r. przeprowadził się do Katowic, które pozostały jego domem do końca życia. Mieszkał u profesora Woytowicza, a naukę pobierał w Liceum Muzycznym. „W szkole próbował się uczyć, ale właściwie tylko na niby. Od razu w pierwszych dniach nauki w liceum nawiązał doskonały kontakt ze Zdzisławem Szostakiem, wówczas także pianistą. Każdą przerwę między lekcjami spędzali, improwizując na fortepianie na cztery ręce albo – gdy była taka możliwość – na dwa instrumenty. W wolnej chwili schodzili do sutereny, gdzie było coś w rodzaju uczniowskiego klubu. Można było tam poczytać książkę, pograć w karty albo w cymbergaja i oczywiście grać na instrumentach. Były to jedyne w swoim rodzaju klasyczno-współczesne jam sessions duetu Kilar-Szostak. [...] Zaczynało się zawsze tak samo – jeden z nich podchodził do fortepianu i intonował wymyślony temat. Drugi podchwytывał melodię i zaczynał improwizację. W miarę rozwoju akcji temat przerabiali na sto różnych sposobów” – pisze Wilczek-Krupa.

Chociaż przyszły autor „Krzesanego” w czasach szkolnych nade wszystko miłował wolność od edukacji, podobnego buntu u nastolatka nie można było zauważyć względem komunistycznego systemu. Raczej nie chciał z nim zadzierać. Kiedy takie było żądanie

dyrekcji, obaj z Szostakiem zapisali się do Związku Młodzieży Polskiej, śpiewali w chórze komunistyczne piosenki. „Wojtek poszedł nawet dalej – napisał fraszkę potępiającą programy Głosu Ameryki i wysłał ją do łódzkiego czasopisma »Mucha«. Utwór ukazał się drukiem, a Wojtek omaal nie pękł z dumy. W późniejszym, dorosłym już życiu – ze wstydu” – pisze Wilczek-Krupa.

► W obronie Kisiela

Mimo tego bumelanctwa maturę zdał Kilar tak, że na studia dostał się bez egzaminów. Jesienią 1950 r. rozpoczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w klasie fortepianu i kompozycji. Studia to także czas, w którym definitywnie rozstał się z ZMP. Ze związku wyrzucono go po tym, jak ostro i zaciekle bronił Stefana Kisielewskiego, którego zresztą uwielbiał, a którego działalność ostro skrytykował ówczesny wiceminister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski. Kilar nazwał wypowiedzi wiceministra „skandalem”.

Wiele wydarzyło się także w życiu prywatnym Kilarów. 1 kwietnia 1950 r. zmarł ojciec kompozytora, a rok później jego matka poślubiła Antoniego Grazia, który był jej partnerem już od jakiegoś czasu. A dwa lata później Kilar podjął jedną z najważniejszych decyzji w swoim życiu. Zdecydował, że zarzuci grę na pianinie, której zresztą szczerze nie znośił, i poświęci się tylko komponowaniu. Drugie wydarzenie, które zmieniło jego życie, miało miejsce w roku 1955.

► Baśka

„Pewnego dnia, pędząc jak zwykle na swoje zajęcia, zobaczył na schodach dawną profesorkę Władysławę Markiewiczównę. Schodziła powoli na parter w towarzystwie dziewczyny, z którą prowadziła ożywiony dialog. Jej rozmówczyni była wysoka, ciemnowłosa i niewiarygodnie zgrabna. Regularne rysy, łagodne spojrzenie, wewnętrzna klasa – wszystko to każało Kilarowi zatrzymać się w miejscu i chłonąć ten widok z podziwem. Koniecznie chciał wiedzieć, jak to zjawisko się nazywa. Brakło mu jednak śmiałości, by podejść” – tak pierwsze spotkanie Barbary Pomianowskiej i Wojciecha Kilara opisuje Maria Wilczek-Krupa.

Pochodząca z rodziny o długiej genealogii Barbara (gniazdem rodzinnym Pomianowskich był Teneczynek, ten sam, w którym dzieciństwo spędził Bogumił Kobiela, zresztą matka Barbary i matka Kobieli były siostrami), była światłem życia kompozytora. Chociaż sama także miała wykształcenie muzyczne, poświęciła karierę zawodową, by zajmować się mężem. Nie tylko łagodziła jego spory z przyjaciółmi, lecz także pilnowała terminarza.

I przede wszystkim – nawracała go swoim przykładem. To dzięki jej postawie w ogóle przestał pić alkohol. To ona nauczyła go prawdziwej, zaangażowanej wiary. To ona stworzyła mu dom.

Kilar miał bardzo dobre relacje z Bogumiłem Kobielą. W Tenczynku często palili ogniska, śpiewali piosenki. Wilczek-Krupa przytacza jedną z nich, zaznaczając, że jest prawdopodobnie autorstwa właśnie Kobieli:

*Siedziałem pod filarem,
Bawiłem się z Kilarzem.
A Kilar – jak to Kilar,
Obrzygał cały filar.*

Przed ślubem Barbara i Wojciech byli narzeczeństwem przez 12 lat. W tym czasie wielokrotnie rozchodzili się i wracali. Kłócili i godzili. Przyczyna burzliwości związku leżała raczej po stronie Wojciecha. Jak pisze Wilczek-Krupa, „zaczął dokazywać po swojemu – zakrapiane imprezy, częste towarzystwo dam, wreszcie roczny wyjazd do Paryża, o którym lepiej nie mówić zbyt głośno. Po powrocie było jeszcze gorzej: pobyty w Halamie – domu pracy twórczej w Zakopanem, praca w ekipie filmowej, nagrania trwające do rana i libacje, po których w żaden sposób nie nadawał się do życia. Znowu był gruby, ponieważ alkohol wymagał częstego zakąszania – potrafił wsunąć osiem porcji zrazików do wódki albo kilka różnych dań w krakowskim Wierzyńku. W szczytowym okresie hulanki jego waga zbliżała się do setki. Pił i jadł, jadł i pił, i ogromnie mu się takie życie podobało. Niestety, Basi nie”.

Wyjazd do Paryża, o którym wspomina biografka kompozytora, to roczne stypendium u legendarnej Nadii Boulanger w Paryżu. Po powrocie z Paryża odbyły się premiery pierwszych filmów z jego muzyką, m.in. „Nikt nie woła” Kazimierza Kutza. Dwa lata później odniósł znaczący sukces na Warszawskiej Jesieni. Jego kompozycja Riff 62 odniosła sukces.

6 sierpnia 1966 r. Kilarowie wzięli ślub cywilny, a 23 kwietnia 1967 r. kościelny. Początkowo mieszkali w północnej dzielnicy Katowic, Koszutce. Rok po ślubie Kilar raz na zawsze przestał pić. „To był bon vivant, który szlażał się po knajpach dniami i nocami” – przytacza słowa reżysera Krzysztofa Zanussiego Barbara Gruska-Zych. „Tłusty, z wielkim brzuchem, który wytaczał się przed nim, kiedy nad ranem jako ostatni opuszczał restaurację. Aż nagle znalazł się na krawędzi życia i śmierci. Powodem tego był jakiś pęknięty wrzód żołądka, potem zaczęły się poważne kłopoty z jelitami. Basia zawiozła go w ostatniej chwili do szpitala i lekarzom udało się go uratować. Jeszcze przez rok po tym zajściu prowadził dawne życie, żeby poka-

zać, że nie wystraszył się śmierci. Potem pod wpływem kochającej żony, ale też z troski o zdrowie, zrezygnował z picia alkoholu” – mówił jeden z najlepszych przyjaciół Kilara.

► Góry i papier

Twórczość Kilara dzieli się na dwa nurty: muzykę klasyczną, którą traktował jako sztukę, niemniej jednak przez dłuższy czas był przez znaczną część środowiska traktowany niepoważnie, i muzykę, którą pisał do filmów. Jeśli chodzi o ten pierwszy nurt, to wśród ważnych utworów trzeba wymienić bez wątpienia „Kzesanego” (1974). Utwór nawiązywał do tradycji ludowych, do muzyki góralskiej. Ewidentnie Kilar dał tu wyraz swojej miłości do gór, które podziwiał od zawsze, ale dopiero właśnie od roku 1974 zaczął się na nie wspinać.

„Wszystko się zmieniło, kiedy w 1974 r. syn przyjaciół namówił go na wejście na Kościelec. Na wysokości musiał odkryć inną perspektywę, która tak go urzekła, że następnego dnia wyruszył na Czerwone Wierchy. Odtąd co roku obowiązkowo wychodził na górskie szlaki. Z tych wędrówek brały się kolejne inspirowane Tatrami utwory. Zafascynowany postacią Mieczysława Karłowicza, kompozytora i dyrygenta, który zginął pod lawiną, skomponował poświęcony mu »Kościelec 1909«. Podobno fotografował się w tych samych miejscach, co on” – pisze Gruska-Zych.

Później były „Bogurodzica” (1975) na chór mieszany i orkiestrę, wspomniany „Kościelec 1909” (1976), poemat nawiązujący do tragicznej śmierci Mieczysława Karłowicza, „Siwa mgła” (1979) na baryton i orkiestrę, „Exodus” (1980) (przez wielu traktowany jako dzieło zapowiadające wyjście Polaków z czerwonego morza komuny), „Angelus” (1984) na sopran, chór mieszany i orkiestrę symfoniczną, „Orawa” (1986) na orkiestrę kameralną.

Wśród wartych wymienienia utworów klasycznych Kilara znajduje się bez wątpienia także „Missa pro pace”, czyli „Msza dla pokoju” na sopran, alt, tenor, bas, chór mieszany i orkiestrę symfoniczną. Szczególnie ważne było dla Kilara to, że utworu tego służył papież Jan Paweł II. I napisał w tej sprawie list do kompozytora. „Podczas koncertu w Watykanie wrzucił mnie moment, kiedy zobaczyłem, jak w czasie słuchania fragmentu Glorii ze Mszy, w której słycać echa góralszczyzny, Janowi Pawłowi II zmieniła się twarz. Msza zaprowadziła mnie najwyżej, jak tylko można, bo do Watykanu, do Ojca Świętego. Podczas jej wykonania przed Janem Pawłem II przeżywałem najszczęśliwsze chwile mojego życia” – cytuje słowa Kilara Gruska-Zych.

► Kompozytor, który nie jest Chopinem

Jeśli chodzi o dokonania Kilara na gruncie muzyki filmowej, także nie sposób wymienić wszystkich, jego dzieła ilustrowały bowiem ponad 130 filmów. Współpracował m.in. z Andrzejem Wajdą, Kazimierzem Kutzem, Krzysztofem Zanussim, Krzysztofem Kieślowskim, Stanisławem Różewiczem, Wojciechem Hasem, Tadeuszem Konwickim, Markiem Piwowskim, Romanem Polańskim, Francisem Fordem Coppolą, Jane Campion.

Z Krzysztofem Zanussim łączyła go prawdziwa przyjaźń. Ilustrował muzycznie prawie wszystkie jego filmy. Zarazem była to znajomość bardzo burzliwa, bo panowie mieli zupełnie odmienne poglądy polityczne i temperamenty. Łączyła ich jednak sztuka.

Kilar potrafił niekiedy wywinąć przyjacielowi tęgi dowcip. „Ciągnąłem go ze sobą na moje realizacje, najczęściej do Niemiec. Raz moi producenci zaprosili go na przesłuchanie, żeby zagrał coś dla niemieckiej telewizji. Wtedy Wojtek dał prawdziwy popis – zaczął udawać klezmera z taką wprawą, jakby od lat grywał w knajpach. Usiadł przy pianinie i zaimprovizował jakiś modny wtedy utwór dodekafoniczny, śpiewając do tego po niemiecku łzawy tekst, co w tłumaczeniu na polski brzmiało: »Ja szukam swojej duszy«. O mało nie udusiłem się ze śmiechu, ale producenci wzięli to za dobrą monetę i padli przed tą drwiną na kolana” – przytacza opowieść Zanussiego Gruszka-Zych.

Zaś Maria Wilczek-Krupa opisuje ciąg dalszy tej historii. Otóż gdy już Niemcy zaczęli się zachwycać, wtedy Kilar zapytał wprost: „Wiecie, że to jest gówno?”. A następnie wyjaśnił zamurowanemu producentowi: „U nas już się tak nie pisze, to przeszłość. Zagrałem tak dla zgrywy...”.

Nie sposób nie wspomnieć także o muzyce do „Draculi”. Telefon od agenta Coppoli odezwał się w domu Kilarów któregoś dnia około północy. „Reżyser zaproponował mi skomponowanie muzyki do filmu »Dracula« na podstawie powieści Brama Stokera. Pan Wojciech się zgodził i poleciał do Stanów. Jak głosiły plotki, mógł się spodziewać jak najlepszego przyjęcia, bo Coppola już od jakiegoś czasu zachwycał się jego muzyką. Podobno, kiedy nie mógł zapamiętać jego nazwiska, pytał współpracowników: »Jak nazywa się kompozytor znad Wisły, który nie jest Chopinem?« – pisze Gruszka-Zych.

Inna dość zaskakująca historia związana z tą współpracą wiąże się z tym, że Coppola nie znał polskiego. Gruszka-Zych opisuje, że w Hollywood normalną procedurą było, że pod zmontowany film podkłada się początkowo jakąkolwiek muzykę, a dopiero później zastępowana jest tą właściwą. Coppola, chcąc zrobić dobre wrażenie na Kilarze, podłożył do takiego roboczego pokazu „Angelusa”. Wyszło co najmniej niezręcznie. Trzeba wy-

obrazić sobie minę Kilara, kiedy oglądał scenę, w której po szyi jednego z bohaterów błędą usta wampiryzcy, a w tle słychać „Zdrowaś Mario”, bo „Angelus” rozpoczyna się właśnie różańcem. Muzykę do „Draculi” skomponował po zawale serca, który dopadł go w Stanach i po operacji wszczepienia by-passów.

► Jasna Góra

Ojciec Nikodem Kilnar, paulin, krajowy duszpasterz muzyków kościelnych, opowiadał mi tuż po śmierci Kilara, że pierwsze kontakty kompozytora z Jasną Górą były takie, jak większości Polaków: przychodził tu po prostu jako pielgrzym. Związki te przybrały szczególnie charakter w okresie stanu wojennego. – Wojciech Kilar zaczął wówczas pojawiać się na Jasnej Górze częściej. Sam wspominał, że miało to związek z plenerem malarskim, na który przyjeżdżał wraz z Jerzym Dudą-Graczem [malarzem i scenografem – przyp. M.Z.]. Wtedy też dokładniej poznał sanktuarium. Początkowo zostawał tu na kilka dni, potem na tydzień lub dwa. Chociaż był zaangażowany w działalność opozycyjną, nie odgrywał tam – jak sam później pisał – roli na tyle znaczącej, by mieć się czego bać. Na Jasnej Górze chronił się raczej przed przygnębieniem i utratą nadziei. Cudowny Obraz Matki Bożej sprawił, że poczuł się wolny – opowiadał znajomy Kilara w wywiadzie dla „Gazety Polskiej”. Dodał, że Kilar sam wspominał, że jego kontakty z jasnogórskim sanktuarium miały kilka wymiarów. – W tym duchowym najistotniejsze było chyba to, że na nowo odkrył potrzebę bycia we wspólnocie i radość, jaką to daje. Pojął, że „wiera się pełna dopiero wtedy, kiedy dzieli się ją z innymi”. Wielokrotnie też opowiadał o swojej relacji z Matką Boską. Na przykład w wywiadzie udzielonym o Robertowi Łukaszkowi zwierzał się, że jego „Zdrowaś Mario” jest dramatyczne, odzwierciedla los Polaków i stanowi wołanie do Matki Przenajświętszej o pomoc w najważniejszych sprawach narodowych – mówił paulin. Dodawał także, że kompozytor był głębokim patriotą, kochał ojczyznę: – Nie akceptował zbrodniczych działań komunizmu i zniewolenia, jakie przyniósł on Polsce. Sam doświadczył niesprawiedliwości. Kiedy najemnicy z PZPR próbowali zrobić go w konszachty z partią i „wpisali” na listę popierających system, domagał się sprostowania i jednocześnie odwołania tej informacji w prasie. W konsekwencji utracił „dochody” z instytucji państwowych.

Kiedy Polska Ludowa przekształcała się w III RP, Kilar wystąpił w spocie wyborczym, w którym wspierał kandydatów Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Odchodząca do lamusa cenzura wycięła prawie całą jego wypowiedź. „Na ekranie telewizora wi- dać było, jak porusza ustami, ale nie było słychać ani

jego głosu, ani jego muzyki jako podkładu, na który cenzorzy mogliby się przecież zgodzić. Na dolnym pasku ekranu pojawiła się tłumacząca wszystko informacja: »Ustawa o cenzurze z dnia [...]«. Z pojawiających się tam paragrafów wynikało, że kompozytor naruszył sojusze” – pisze Gruszka-Zych.

► Osierocone koty

Po 1989 r. Kilar zwolnił nieco tempo. Wynikało to głównie z tego, że musiał opiekować się żoną. U Barbary wykryto postępującą chorobę autoagresywną. Zamknęli się więc w domu w Brynowie, gdzie spędzili wiele lat życia. Tam zajmowali się przede wszystkim kotami, które całkowicie zawładnęły ich życiem. Było ich kilka, ich zdjęcia małżeństwo nosiło w portfelach. Był więc niepokorny kot Bambik, którego bali się wszyscy znajomi, bo rzucał się na nogi i gryzł. Była kotka, której śmierć straszliwie przeżyli. Kocia obsesja była u Kilarów tak daleko posunięta, że kiedy 15 sierpnia 1996 r. ufundowali dla kościoła parafialnego pod wezwaniem Najświętszych Imion Jezusa i Maryi w Katowicach-Brynowie trzy dzwony, i nazwali je Barbara, Wojciech i Franciszek, to oficjalne tłumaczenie było takie, że to trzecie imię to na cześć świętego od braci mniejszych. Jednak jak podaje Wilczek-Krupa, wszyscy i tak świetnie wiedzieli, że na Brynowie dzwoni kompozytor, jego żona i ich kot.

„Z ożywieniem opowiadał o nieżyjącej już kotce kochającej swoich państwa, czyli jego i żonę, miłością bezinteresowną i pełną ekspresji. Kiedy siedząc na dachu, widziała, że wracają z kościoła, ekspresowo, czepiając się ściany jak wirtuoz klawiszy pianina, zbiegała na dół, żeby powitać ich pod drzwiami. Jej fotkę miał ustawioną na biurku w pracowni i widać było, że kiedy zatrzymuje na niej spojrzenie, momentalnie rozpromienia mu się twarz. Koty były stałymi domownikami Kilarów” – pisała Gruszka-Zych.

Gdy w III RP media rozpętywały seanse nienawiści wobec braci Kaczyńskich, Kilar nie wahał się ostro postawić się „warszawce”. O przyczynach swego sprzeciwu mówił w 2007 r. w „Rzeczpospolitej”: „Niezrozumiały jest dla mnie podział, jaki się dokonał na elity z jej autorytetami, swoimi telewizjami i sejmami i oderwaniu od nich szary tłum ludzi, traktowanych, bez względu na ich poglądy, tak pogardliwie jak właśnie pogardliwe jest określenie »moherowe berety«. Tak jakby świat elit politycznych, medialnych, biznesowych należał do zupełnie innego narodu”.

W 2005 r. został członkiem Honorowego Komitetu Poparcia Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, następnie podczas kampanii przed wyborami do parlamentu w 2007 r. udzielił wsparcia Prawu i Sprawiedliwości. Oceniał: „To co robią Kaczyńscy, jeśli już mamy

nawiazywać do zwierząt, czego nie lubię, bo świat zwierząt wydaje mi się lepiej zorganizowany, przypomina mi raczej pracę bobrów. Piękne to, przeurocze zwierzęta, ale wywołują swymi działaniami wiele zamieszania w przyrodzie. W tym wypadku jednak wykonują dobrą pracę, bo podgryzają drzewo, które jest spróchniałe, zgniłe, przerosnięte jakimiś pasożytami. I robią to po to, by – przepraszam za patos – odsłonić zdrowe głębokie korzenie. Ja w istnienie tych korzeni wierzę. Patriotyzmu, chrześcijańskiej tradycji, niepodległości i tego, co tak się w słowach nadużywa, solidarności. Kaczyńscy też w to wierzą i to jest mi szalenie bliskie”.

Także po śmierci ukochanej żony (27 listopada 2007 r.) zabierał głos w sprawach publicznych. W 2010 r., już po katastrofie smoleńskiej, został Honorowym Przewodniczącym Śląskiego Społecznego Komitetu Poparcia Jarosława Kaczyńskiego w przedterminowych wyborach prezydenckich.

Smoleńsk przeżył bardzo mocno. Jaki pisze Gruszka-Zych, „W 2011 wyjątkowo bez żadnego zamówienia skomponował Koncert fortepianowy II. Nie chciał zdradzić, jakie wydarzenie było jego inspiracją, ale dał odbiorcom wskazówkę, zwracając uwagę na jego tempo – largo funebre, przypominające żałobne bicie dzwonu. Słuchając go, można się domyśleć, że odnosi się do katastrofy smoleńskiej, która nim wstrząsnęła”.

Bez ukochanej Barbary kompozytor przeżył sześć lat. We wrześniu 2013 r. zdiagnozowano u niego glejaka mózgu. Chociaż główny guz dał się wyciąć, zdążył zostawić dwie nieoperacyjne wypustki. Kompozytor zmarł 29 grudnia 2013 r.

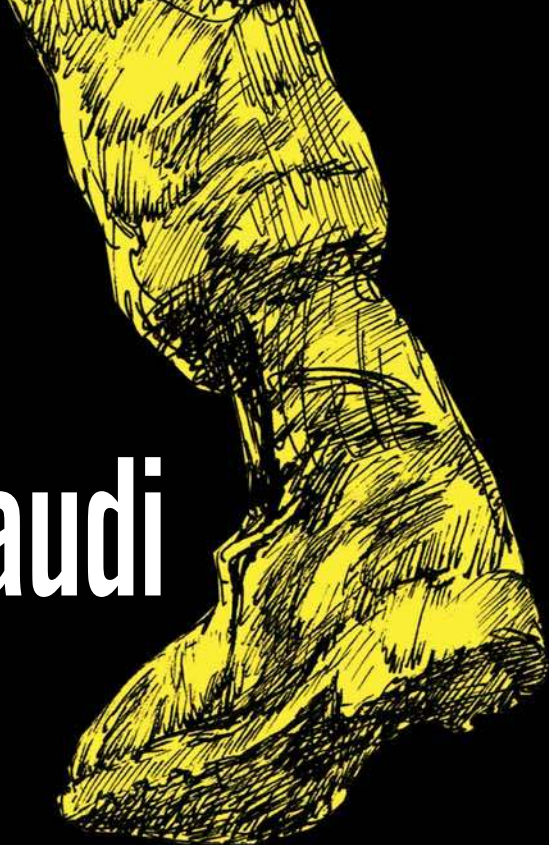
Zostały po nim tysiące utworów, ale przede wszystkim zostawił po sobie swoją historię, historię dynamicznego życia, w którym było wszystko: talent, miłość, huczne imprezy i pijackie anegdoty. Powrót do Boga i głęboka religijność. Hedonizm i zamięłowanie do drogich kosztów i dobrego jedzenia, lecz także cicha dobroczynność. Bo Kilar nigdy nie trąbił o tym, że komukolwiek pomaga. „Nie wspominał choćby jednym słowem o pomocy, jakiej udzielił dziesiątkom znanych i nieznanym osób będących w potrzebie. O chorej dziewczynce z Ośrodka Dzieci Niewidomych w Łaskach, której ufundował leczenie. O staruszce z Ukrainy, która leżała w szpitalu wraz z Basią i której zapłacił za rehabilitację i sprzęt. [...] O przypadkowo spotkanych w aptece ludziach, którym zapłacił rachunek, widząc, że nie mogą sobie pozwolić na zbyt drogi lek” – pisze Maria Krupa-Wilczek.

Wojciech Kilar był człowiekiem nie tylko dobrym, co przecież samo w sobie nie jest tak częste, lecz także postacią niebanalną. Dobroć bowiem łączyła się u niego z jakąś niedoskonałością, z cechami, które czyniły tę postać na wskroś ludzką. A przez to jeszcze bardziej fascynującą. ■



Piotr Lisiewicz

Esbek z audi spogląda na klasę robotniczą



Ustrój III RP był zemstą na robotnikach za Solidarność. Były esbek z lat 90. w wypasionym audi czuł złośliwą satysfakcję, widząc, jak „robole” wyrzucani są z zamykanego zakładu.

Skoro proletariusze nie docenili awansu społecznego i prestiżowego, jaki dał im komunizm, i obalili go (nas!), to teraz mają za swoje. Znowu my, komuniści-kapitaliści, jesteśmy górą. Niech się płaszczą, to może damy im robotę. Ale szanse mają niewielkie.

Bo my oceniamy ich merytorycznie, profesjonalnie, bezstronnie. Dzisiejsze pomstowanie mediów, że Polacy przepiją „500 plus”, to kontynuacja tamtej nienawiści.

Z jedną różnicą: tym razem oni nie potrafią jej ukryć, bo przegrywają.

Tytuł w mediach Adama Michnika: „Efekt »500 plus? Rodzice namawiają dzieci w sięrocińcach, by pisały, że »chcą wrócić do domu«. Magdalena Środa na tych samych łamach: „Te pieniądze będą w większości przepijane”. Nagłówkę na portalu Tomasza Lisa: „Afera z 500 plus. We Włodawku rodzice – alkoholicy przepijają pieniądze”. Posłanka Nowoczesnej, Katarzyna Lubnauer, córka małżeństwa działaczy PZPR: „wzrosła znacząco sprzedaż starych aut używanych z Niemiec. W związku z tym trudno wtedy powiedzieć, że te pieniądze idą na dzieci”.

Absurd tej kampanii poraża. Posługując się podobną logiką, media establishmentu mogłyby postulować likwidację emerytur i rent, wykazawszy uprzednio, że pan Zenek z Włodawka oraz trzech jego kolegów z dzielnicy regularnie przepijają swoją rentę.

► Krótki byście pasali

Jednym z najważniejszych przekazów propagandy po 1989 r., słabo zauważanych przez jej przeciwników, była teza: nie wolno rozmawiać ze zwykłymi ludźmi, bo to brzydki populizm i żerowanie na najniższych instynktach. W myśl tej retoryki Jarosław Kaczyński stoczył się, bo jako inteligent z Żoliborza zaczął rozmawiać z tymi, którzy inteligentami z Żoliborza nie są.

Robienie ludziom wody z mózgu za pomocą spotów wyborczych, przekazów dnia, talk-show i seriali, wyzwalanie z nich najniższych instynktów, dołowanie ich, robienie z nich debili – jest dopuszczalne. Wiadomo, PR. Natomiast traktowanie ich poważnie, uczciwa rozmowa zrozumiałym dla nich językiem, pomaganie im w przekroczeniu ograniczeń, tłumaczenie, kto robi z nich idiotów i dlaczego – to niegodny inteligenta populizm.

Ten przekaz propagandy ubekistanu był bezpośrednim efektem traumy, jaką był dla komunistów Sierpień 1980. Oto bydlę, robole bez wyższego wykształcenia, którzy mieli być mięsem armatnim w jakiejś rozgrywce towarzyszy sekretarzy, zbuntowali się, upodmiotowili, zadali cios z ekstremistami i „reakcyjnym klerem”. Nie dopuścić do powtórki tej sytuacji – to był najważniejszy cel propagandy III RP.

Nienawiść do niewdzięcznych robotników, którzy obalili ustrój, w którym komuniści uczynili „klasę robotniczą” panującą, a sami ogłosili się jej „awangardą”, była w elitach PZPR bardzo silna. Nie jest przypadkiem, że to Mieczysław Rakowski, redaktor naczelny „reformatorskiego” pisma inteligencji, czyli tygodnika „Polityka”, zasłynął z najostrzejszego antyrobotniczego wystąpienia w Stoczni Gdańskiej. Wykrzykiwał: „Niejeden z was by tu w ogóle nie pracował w tej stoczni, gdyby nie ten system. Niejeden by nie ukończył żadnej szkoły. Krótki by pasali!”.

Dalej było tak: „A ci, którzy trwają w uporze, i ci, którzy dzisiaj tak wykrzykiwali, to po prostu po pewnym czasie się zmęczą. Taaak. Wy już teraz jesteście bardziej zmęczeni niż kiedyś. [...] Co, wy jesteście Polską, tylko wy jesteście Polską? Polska to jest 36 milionów ludzi. Chciałem powiedzieć – znajdziemy dość Polaków, którzy poprą ten kierunek, i popierają, i bez was również. Bez tych demagogów, bez krzykaczy, zbudujemy w Polsce lepszy socjalizm. Zobaczycie to! Tak to będzie”.

► Biedny, bo z patologii

A w III RP była kontynuacja obietnic Rakowskiego. Szczytem propagandy nowobogackich była piosenka Kabaretu Olgi Lipińskiej „A Balcerowicz wyciął nam numer” z czasów rządu Mazowieckiego. Jej refren tak skarykatyzował myślenie zswietyzowanych „roboi”, niedoceniających świątłych reform: „A Balcerowicz wyciął nam numer i różnicować dochody chce./ Prywaciarz może robić fortunę, a ten państwowy, porządny nie./ Jasne, że musi być kapitalizm, ale nasz zakład schodzi na psy./ Zabrać bogatym, domiar dowalić! I rozdać ludziom!/ Kto ludzie? Kto ludzie? My!!!”.

Wersja, że owi „robole” mogą lepiej rozumieć absurdury księżycowej gospodarki od panów profesorów z Warszawy, bo mieli z nią do czynienia przez lata na co dzień, nie przyszła jakoś establishmentowi do głowy. Także myślenie, że wiele zakładów nie musi „schodzić na psy”, rozkradanych przez sitwy, a korzystać ze zniesienia komunistycznych ograniczeń, nie było brane pod uwagę.

W publicznym dyskursie w III RP obowiązywały więc następujące narracje na temat zwykłych Polaków: „biedny, bo głupi”, „biedny, bo z patologii”, „biedny, bo niewykształcony”, „biedny, bo leniwy”, „biedny, bo nieudacznik”. Oraz zalecenie: „jeśli sam chcesz być postrzegany jako ktoś z wyższej półki, nie możesz zadawać się z biednymi”.

W ten sposób stygmatyzowano ludzi, do których pasowały niewyдуманym narracjom, a nie prawdziwym, autentycznym opisom ich życia: „biedny, bo uczciwy”, „biedny, bo mający zahamowania przed wykorzystywaniem innych”, „biedny, bo nie potrafił rozpychać się łokciami”, „biedny, bo jego rodzice za komunę nie zapisali się do partii”, „biedny, bo był zawsze patriotą”, „biedny, bo ubek nie wziął go do rady nadzorczej”.

Każdy głos obozu niepodległościowego w obronie zwykłych ludzi kończył się wrzaskiem o populizmie. Populizm był, owszem, dozwolony, ale pod naszą kontrolą.

Kto pamięta dziś, że hasło „Balcerowicz musi odejść” wymyśliła antyokragłostołowa „Solidarność

Walcząca”? Wyczuwając jego przekorną moc, system wygenerował pełną komunistycznych powiązań, wspierając Putina Samoobronę.

Postkomunistyczna oligarchia dopisała sobie „populizm” do działek, które musi zagospodarować obok tabelki „lewica”, „centrum”, „prawica” itp.

► Rap, dziecko Sierpnia '80

Efektem nieobecności w dyskursie publicznym uczciwej rozmowy o biedzie i barierach awansu zwykłych ludzi było naturalne podjęcie jej przez najróżniejsze nurty alternatywne, w tym muzyków, przeważnie tych, których nie było w telewizji i radiu.

Rap i hip-hop nie stałyby się w pewnym momencie tak modne wśród młodych Polaków, gdyby nie to, że podjęły ów temat tabu. Trudno było nie zauważyć autentyzmu i szczerości w słowach, które rapował Peja: „Szacunek dla tych ludzi, którzy musieli się trudzić/ żeby wyjść na powierzchnię, poczuć powietrze rześkie/ spokojny sen, rodzinne życie bez scen i przyjaźnie bez ściem/ to sobie wszystko ceń”. Rap stworzyły dzieci robotników z Sierpnia 1980 r. – rzecz jasna, ta teza to uproszczenie, ale w dużym stopniu oddające rzeczywistość.

Hip-hop został już w tej kwestii doceniony, ale kompletnie pomijany jest nurt o! zwany przez niektórych street punkiem, który mówił o losach robotników jeszcze przed rapem, z charakterystycznym dla gatunku znakomitą szorstkim autentyzmem, oddającym realia lepiej od analiz ekonomistów i egzaltacji pseudospołecznych działaczy. Ten opis brzmi autentycznie w piosence „Pracownik” zespołu Lumpex 75: „Fundament socjalizmu, polski budowniczy/ Ważny jest twój kraj, człowiek się nie liczy/ Nigdy się nie spóźniał, przykład solidności/ Ciekawe, skąd miał wiedzieć, że nie miał przyszłości”.

Wypchnięcie rozmowy o losie zwykłych Polaków w przestrzeń alternatywy, w której nie brak najróżniejszych ideologicznych skrajności, powodowało, że w jednym tonie – w obu przypadkach trudno artystom odmówić autentyczności – śpiewały o nich anarchistyczna Nauka o Gównie, jak i neonazistowska Konkwiata 88.

To najpierw NoG: „Jak wygląda dzisiaj mój kraj/ W kilka lat po upadku komunizmu/ Janek Wiśniewski zginął na darmo/ Władza skorumpowana/ Za kogo ginęli stoczniovcy/ Ich własne dzieci są dziś bez pracy/ I gdy spoglądam na ludzi/ Po twarzy mej płynie łza/ Komu szaraki są winne/ Że tak ucieka ich czas”.

I Konkwiata: „Obudził go jak o dzień błąd świt/ Porannej zmiany przyszła kolej/ Następny szary dzień/ Zmęczone oczy, zniszczone dłonie/ Na twarzy piętno przeżytych lat/ W uśpionym mieście z ciem-

nymi ulicami/ Podążał jak człowieka cień/ [...] Prywatyzacji przyszła pora/ Masowych zwolnień nadszedł czas/ Na bruku znalazł się w jednej chwili/ Pozostawiony bez żadnych szans”.

Wstyd cytować skrajności, mniej i bardziej bulwersujące? Wstyd znać te utwory? Nie, wstydem jest, że tych zjawisk nie chcieli dostrzegać światli polscy inteligenci, zajęci kombinowaniem pieniędzy na rezydencję na Mazurach.

► Wózkowe, najgorszy gatunek matek

Wygrana PiS nie byłaby aż tak straszna dla establishmentu III RP, gdyby nie dostrzegł on, że stoją za nią zmiany, których nie da się łatwo odkręcić, sięgające myślenia zwykłych Polaków. Dlatego wywiad z prof. Zbigniewem Mikołajko w dziale „Temat dnia” na stronie internetowej „Gazety Wyborczej” to prawdziwy seans nienawiści wobec zwykłych Polaków.

„Ktoś napisał gdzieś bardzo ładnie, że sukces Jarosława Kaczyńskiego polega na tym, że on zawarł sojusz z chamem, czyli właśnie z Edkiem” – mówi profesor, przywołując figurę z „Tanga” Mrożka. „Ja świadomie używam lekceważącej formuły, ponieważ Edek nie zasługuje na szacunek” – zastrzega.

Te zdania wzięte pojedynczo nie byłyby specjalnie drastyczne. Edek z „Tanga” faktycznie nie zasługuje na szacunek. Tyle że Mikołajko twierdzi, że Edków jest w Polsce tak dużo, że gwarantują sukces polityczny. Czytaj: miliony Polaków to ludzie niegodni szacunku.

Autorka wywiadu Aleksandra Klich pyta profesora o jego tekst sprzed trzech lat, o „wózkowych”. Trzy lata temu „Gazeta Wyborcza” zatytułowała zachowawczo ów artykuł: „Wózkowe – najgorszy gatunek matki”. Ale dziś jest inny czas i profesor nie udaje, że jego krytyka dotyczy tylko mniejszości matek z wózkiem.

On – jasno wynika to z tekstu – nie znosi większości polskich matek. „One stały się zresztą częścią armii Kaczyńskiego, co statystyka pokazuje, bo 54 procent kobiet w wieku rozrodczym poparło, mówią o tym statystyki, właśnie PiS. Zostały kupione za te 500 złotych oczywiście kosztem... Mają w nosie one naszą wolność” – stwierdza zadowolony z siebie.

Dalej w tym samym stylu, a wózkowa nie jest nic lepsza od niezasługującego na szacunek chama Edka. „Różni nieudacznicy, z których są Edkowie, wózkowe, kibole właśnie” – tak profesor charakteryzuje masę ludzi, która „subiektywnie” uważa się za pokrzywdzoną i której użył Kaczyński. Zdaje się, że nie jest to narracja, która mogłaby zaszkodzić obozowi niepodległościowemu. ■



fot. arch.

Od lewej: mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”, por. Wiktor Wiącek „Rakoczy”, Regina Mordas Żylińska „Regina”, Sergiusz Sprudin. Wileńszczyzna 1944 r. Fot. Mikołaj Sprudin „Szerszeń”

Dariusz Jarosiński



Gorsza niż Judasz

Była żołnierzem AK, łączniczką. Nieprzeciętnie odważną dziewczyną. Wielokrotnie ryzykowała życiem, przenosząc broń, pieniądze, meldunki, wykonując niezwykle trudne zadania. Cieszyła się niezwykle dużym zaufaniem zarówno koleżanek i kolegów z oddziału, jak i dowództwa. Jednak podczas dwumiesięcznego pobytu w więzieniu z bohaterskiej łączniczki zmieniła się w zdrajczynię, która bez najmniejszych skrupów wysyłała na śmierć najbliższe jej osoby z konspiracji. Zachowywała się tak, jakby amputowano jej sumienie.

W 1944 r. otrzymała Krzyż Walecznych. Znacznie większym jednak wyróżnieniem był złoty sygnet 5. Brygady Wileńskiej AK z wygrawerowaną dedykacją „Żołnierzowi – Przyjacielowi »Łupaszka« 1943”. Miało go dostać dziesięciu najbardziej zasłużonych żołnierzy komendanta – dostało ośmiu. Regina Mordas Żylińska „Regina” była jedyną dziewczyną w tym gronie. Na przełomie 1945 i 1946 r., kiedy komendant „Łupaszka” zaczął odtwarzać 5. Brygadę, dołączyła do oddziału. Obok Wacława Beynara „Orszaka” stała się najważniejszą łączniczką mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Utrzymywała łączność między patrolami, знаła punkty kontaktowe. 20 kwietnia 1946 r. została aresztowana w Gdańsku w punkcie kontaktowym przy ulicy Jesionowej. To wtedy poszła na współpracę z ubekami.

Szybko zaczęła sypać – a miała o czym i o kim mówić, bo wiedziała bardzo dużo. Już w pierwszych dniach opisała prawie 70 osób. Mówiła o powiązaniach organizacyjnych, charakterze konspiracyjnej działalności oraz o szczegółach zachowania, ubioru, mówiła, kogo lubi, a kogo nie. Nie miała zahamowań, by opowiadać o sprawach bardzo osobistych, wręcz intymnych, dotychczasowych przyjaciół. Z ubckiego więzienia wyszła 26 czerwca jako tajny współpracownik o pseudonimie „Gina”.

Jej pierwszymi ofiarami byli Danusia Siedzikówna „Inka”, niespełna 18-letnia sanitariuszka, oraz dowodzący patroliem specjalnym operującym na terenie Trójmiasta ppor. Feliks Selmanowicz „Zagończyk”. Późniejsze ofiary trudno nawet zliczyć. Ujawniła 120 punktów kontaktowych, co doprowadziło do dużej dezorganizacji w funkcjonowaniu 5. Brygady oraz do aresztowań osób udostępniających swoje domy i mieszkania żołnierzom majora. „Regina” długo uchodziła za bohaterkę – w jej zdradę nikt, włącznie z majorem „Łupaszka”, nie chciał wierzyć. Donosiła z własnej inicjatywy jeszcze w połowie lat 50. ubiegłego wieku, gdy już nie bardzo miała kogo wydawać. Kiedy stała się nieprzydatna, bezpieka pozbyła się jej tak, jak wyrzuca się do kosza na śmieci starą, zużytą szmatę.

► Byłam łączniczką

W czasie śledztwa wiosną 1946 r. zeznała: „Urodziłam się w Wilnie 24 lipca 1924 r., ojciec był strażnikiem więziennym. Szkołę powszechną i gimnazjum ukończy-

łam w Wilnie, w 1941 r. zdałam na kompletach małą maturę. Wiosną 1942 r. wstąpiłam do organizacji konspiracyjnej na terenie Wileńszczyzny, do partyzantki AK, oddział »Kmicica« [por. Antoni Burzyński „Kmicic” – przyp. D.J.]. W moim mieszkaniu był punkt spotkań przyjeżdżających na odpawy, magazyn broni, amunicji i lekarstw. Podlegałam bezpośrednio »Ostrogowi« [ppor. Józef Wiśniewski], zastępcy »Kmicica«. Jesienią 1943 r., po rozbiciu brygady »Kmicica«, wstąpiłam do organizowanej przez »Łupaszke« 5. Brygady i byłam łączniczką między Brygadą a sztabem Okręgu Wileńskiego AK – przenosiłam broń, amunicję, rozkazy. W trakcie wykonywania zadań zostałam aresztowana przez Armię Czerwoną, ale zbiegłam. Na krótko przed wkroczeniem wojsk radzieckich poszłam w teren.



Regina Mordas Żylińska „Regina” i ppor. Jerzy Lejkowski „Szpagat”, 1945 r.

W sierpniu 1944 r. nastąpiło rozbrojenie, część oddziału małymi grupkami postanowiła przedostać się do Warszawy i podporządkować tam dowództwu AK. [...] W tym roku przesłam na współpracę z delegaturą Rządu Londyńskiego [...]. Wróciłam do Wilna i w grudniu [1944 r.] zostałam ponownie aresztowana przez Sowietów. Z więzienia wyszłam z amnestii 1 maja 1945 r., 15 maja z rodziną wyjechałam transportem do Polski. Osiedliłam się w Toruniu, ale mniej więcej po miesiącu wyjechałam do Koszalina, gdzie objęłam posadę w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym. Dzięki tej posadzie zarejestrowałam i osadziłam na tamtym terenie ludzi z grupy białostockiej [żołnierzy Bojowego Oddziału Armii]. Przed świętami Bożego Narodzenia [1945 r.] przyjechał do nas »Zagończyk«, który w Brygadzie pełnił funkcję dowódcy plutonu, i osadziłam go w Głębokiem pod Szczecinem, gdzie otrzymałam posadę w Tymczasowym Urzędzie Ziemskim. W tym czasie »Zagończyk« i ja dostaliśmy przez gońca »Łupaszki« (kwaterował w Zajezierzu koło Sztumu) wezwanie do natychmiasto-

wego stawienia się w Brygadzie. Tam na kolonii wiejskiej zastałam »Łupaszkę«, który powiedział mi, że będę pracowała jako łączniczka po wyjściu Brygady w teren [...]. W tym czasie był projektowany przez »Łupaszkę« mój wyjazd za granicę celem nawiązania bezpośredniego kontaktu z gen. Maczkiem, jednak do tego nie doszło. [Jakiś czas potem] Komendant »Łupaszka«, ja i sanitariuszka »Lala« osiedliliśmy się na majątku Jodłówka. [...] W połowie marca 1946 r. wyjechałam z rozkazu »Łupaszki« z patrolem dywersyjnym »Żelaznego« do Gdańska [...], a potem do Koszalina. W Gdańsku miałam nawiązać kontakt z Komendą (punkty spotkań były spalone). Kontakt nawiązałam, [m.in.] przez teściową »Łupaszki« z »Pohoreckim« (znałam go jeszcze z Wileńszczyzny) [ppłk Antoni Olechnowicz »Pohorecki«, komendant Ośrodka Mobilizacyjnego Okręgu Wileńskiego AK]. Spotkałam się z nim 18 kwietnia [1946] o godz. 10 i kazał mi powiedzieć »Łupaszce«, że [...] teraz niech każdy robi na swoją rękę [...]. Potem poszłam na meliny i tam zostałam aresztowana».

Warto uzupełnić ten życiorys. Kiedy »Regina« pracowała w koszańskim Państwowym Urzędzie Reparatywnym, miała kontrolę nad ludźmi przyjeżdżającymi z Kresów. To ona werbowała chłopców do 5. Brygady Wileńskiej AK »Łupaszki« i do Bojowego Oddziału Armii (BOA) dowodzonego przez por. Stefana Pabisia »Stefana«. Posiadała dużą wiedzę o żołnierzach podziemia. Chłopcy z BOA pochodzili z powiatu wołkowyskiego, współpracowali z patrolem bojowym 5. Brygady Wileńskiej AK dowodzonym przez ppor. Zdzisława Badochę »Żelaznego«, wspólnie prowadzili działalność propagandową i dywersyjną.

O jednej z takich wspólnych akcji żołnierzy mjr. »Łupaszki« i por. »Stefana«, »Regina« zeznała w śledztwie: »[18 marca 1946 r.] dokonaliśmy napadu na Bank Rolny w Koszalinie. Przedstawiało się to następująco: ja weszłam do banku rozmiąć 1000 zł, aby stwierdzić, ilu jest obecnych urzędników i strażników. Wyszłam i zostałam wraz z szoferem w aucie. Do banku weszli »Żelazny«, »Zeus« i »Szpagat« [...]. Wyszli, niosąc w pokrowcu maszyny do pisania, pieniądze zrabowane, w sumie około miliona zł [800 tys. zł]. Ja z pieniędzmi wróciłam do Gdyni i dalej do Jodłówki do »Łupaszki«, któremu je oddałam».

W czasie śledztwa »Regina« ujawniła, że w Bobolicach koło Koszalina mieszkają członkowie organizacji BOA, największej i najbardziej aktywnej organizacji podziemia antykomunistycznego na Pomorzu Zachodnim. To ona ich tam osiedliła, kiedy była zatrudniona w koszańskim PUR. W Bobolicach żołnierze »Stefana« pracowali w założonej przez siebie spółdzielni rzemieślniczej. W charakterystyce napisała o żołnierzach BOA, iż są to »młodzi chłopcy o dzikich instynktach«. Wskazała ubekom w terenie ich partyzanckie meliny,

magazyny broni. 18 maja 1946 r. grupy operacyjne UB i MO przeprowadziły wielką obławę na oddział BOA. Całe szczęście, że w porę zostali oni ostrzeżeni przez swego informatora z UB. Jednak i tak obława zakończyła się aresztowaniem kilku partyzantów i współpracowników BOA. Jeden z partyzantów, Stanisław Mińcewicz »Sówka«, został skazany na karę śmierci, a drugi otrzymał osiem lat więzienia, na wieloletnie kary więzienia zostało skazanych sześciu współpracowników BOA. W wyniku długotrwałych działań śledczych 4 grudnia 1948 r. po godzinie piątej rano w piwnicach ubeckiego więzienia przy ulicy Kaszubskiej w Szczecinie zamordowani zostali: Zenon Łozicki, lat 20; Wacław Borodziuk, lat 23; Edward Kokotko, lat 29; Edward Kosieradzki, lat 20; Waldemar Klimczewski, lat 20.

► TW »Gina«

Ubey po przesłuchaniu, śledztwie, wypuścili »Reginę« z zadaniem dekonspirowania żołnierzy »Łupaszki«. Aktywną robotę na rzecz Urzędu Bezpieczeństwa »Regina« zaczęła już pierwszego dnia po wyjściu z więzienia. Nawiązała m.in. kontakt z por. Feliksem Selmanowiczem »Zagończykiem«. Doświadczony oficer wywiadu AK, niezwykle ważna postać w 5. Brygadzie, dał się nabrać na bajki »Reginy« o tym, że ubey wypuścili ją na wolność, niczego w zamian nie oczekując. Oboje odwiedzili punkt kontaktowy 5. Brygady w Olsztynie przy ulicy Moniuszki u rodziny partyzanta Norberta Symonowicza »Stopki«. Bywali tutaj wachm. Jerzy Lejkowski »Szpagat«, wachm. Leon Smoleński »Zeus«, wachm. Wacław Beynar »Orszak«, ppor. Zdzisław Badocha »Żelazny«, wachm. Henryk Wieliczko »Lufa«, a także łączniczka mjr. Zygmunta Szendzielarza »Łupaszki« Regina Mordas Żylińska »Regina«.

– To było na początku lipca – wspominała Bogusława Symonowicz (później po mężu Czerwińska), siostra »Stopki«. – Zdaje się, że najpierw zjawiła się u nas »Regina«, a później doszedł »Zagończyk«. Utkwiła mi w pamięci taka scena: »Zagończyk« opowiadał, jak zginął »Żelazny«. »Regina« płakała, chłapała, wycierała łzy chusteczką. Już później, kiedy siedziałam w więzieniu, przypominałam sobie tę sytuację. »Zagończyk« chyba musiał ją podejrzewać, bo dziwnie przyglądał się »Reginie«. Tak na nią patrzył, jakby ją badał wzrokiem. »Zagończyk« powiedział też, że »Regina« nie może opuszczać naszego domu. Na jakieś dwa dni przed feralnym dniem szłam z koleżankami do kina Polonia. Ni stąd ni zowąd pojawiła się »Regina«, powiedziała, że idzie po papierosy. Zdziwiło mnie to, bo przecież »Zagończyk« nie pozwolił jej wychodzić z domu. Później dołączyła do nas, obejrzała z nami film. Razem wróciliśmy do domu.

Ubey weszli do mieszkania Symonowiczów 6 lipca. Przyszli wcześniej rano, w niedługim czasie po Jerzym



Żołnierze 5. Brygady Wileńskiej AK i Bojowego Batalionu Armii. W środku Regina Mordas Żylińska „Regina”. Marzec 1946 r., przed wykonaniem wspólnej akcji na Bank Rolny w Koszalinie

Lejkowskim „Szpagacie”. Musieli obserwować go już od dworca kolejowego. Przyjechał rannym pociągiem z Morąga od państwa Czyzewskich, gdzie był punkt kontaktowy 5. Brygady „Łupaszki”. W Morągu „Szpagat” kurował chorą rękę u Wandy Czyzewskiej „Basi”. „Regina” cały czas przebywała w olsztyńskim mieszkaniu rodziny Symonowiczów i obserwowała, co się dzieje. Aresztowani zostali: „Szpagat”, siostry Symonowiczówny, a także w Morągu Wanda Czyzewska „Basia”. Szczęśliwie uniknął aresztowania Norbert Symonowicz „Stopka”, kiedy zorientował się, że doszło do wyspy, wyjechał na Dolny Śląsk.

Jerzy Lejkowski „Szpagat”, jeden z najbardziej zasłużonych dowódców 5. Brygady, został skazany przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Olsztynie na karę śmierci zamienioną na 15 lat więzienia.

► Niech żyje Polska

Danusia Siedzikówna była młodsza od „Reginy” o cztery lata, chociaż staż w AK miały podobny. Danusia została przysiężona do Armii Krajowej w grud-

niu 1943 r. i przyjęła pseudonim „Inka”. Pochodziła z niewielkiej wioski Głuszczerwina, położonej na skraju Puszczy Białowieskiej, gdzie jej ojciec był leśniczym. Wcześniej straciła rodziców – ojca Sowieci wywieźli na Syberię i choć udało mu się przedostać do armii gen. Władysława Andersa, to wkrótce zmarł z wycieńczenia. Matka zginęła z rąk gestapo za współpracę z podziemiem niepodległościowym. Danusia wstąpiła do AK trzy miesiące po śmierci matki. Miała wówczas 15 lat. W czerwcu 1945 r., aresztowana przez grupę operacyjną NKWD i UB, została odbita z transportu przez żołnierzy mjr. Szendzielarza „Łupaszki”. Pozostała już z nimi do końca swoich dni. Po rozformowaniu Brygady we wrześniu 1945 r., trafiła na lewych papierach jako Danuta Obuchowicz do pracy w nadleśnictwie Miłomłyn koło Ostródy. Na początku 1946 r. wróciła do oddziału, do szwadronu dowodzonego przez Zdzisława Badochę „Żelaznego”, gdzie znowu, jak na Białostocczyźnie, pełniła funkcję łączniczki i sanitariuszki. Zdarzało się, że opatrywała nie tylko rannych partyzantów, lecz także milicjantów. 13 lipca 1946 r. została wysłana przez ppor. Olgierda Chrystę „Leszka” z zadaniem nawiązania kontaktu z „Żelaznym” oraz przywiezienia leków i środków opatrunkowych z Gdańska. Z uwagi na szwankującą łączność, „Leszek” nie wiedział, że „Żelazny” zginął 28 czerwca w majątku Czernin koło Sztumu zaatakowany przez grupę operacyjną UB i MO. „Żelazny” leczył w Czerninie rany odniesione w potyczce z ubekami we wsi Tulice, stoczonej 10 czerwca. To „Regina” ujawniła ubekom miejsce pobytu „Żelaznego”. Miejsce pochówku tego wybitnego oficera, dowódcy, jest nieznane.

19 lipca „Inka” dotarła do punktu kontaktowego w Gdańsku Wrzeszczu, znajdującym się przy ulicy Wróblewskiego 7. Nie miała pojęcia, że adres ten ujawniła ubekom „Regina”. Nad ranem 20 lipca „Inka” oraz jej koleżanki, właścicielki mieszkania, siostry Mikołajewskie pochodzące z Wilna, niewiele starsze od „Inki”, zostały przewiezione do więzienia przy ulicy Kurkowej. Mimo brutalnego śledztwa, Danusia nie zdradziła ubekom żadnych informacji, a była pytana przede wszystkim o „Łupaszkę”. Dzisiaj wiemy, że siłę czerpała przede wszystkim z wiary w Boga.

Danusia Siedzikówna „Inka” i por. Feliks Selmano-wicz „Zagończyk”, żołnierze mjr. „Łupaszki”, zostali rozstrzelani dokładnie 70 lat temu, wczesnym rankiem 28 sierpnia 1946 r. O ostatnich chwilach ich życia możemy dowiedzieć się z relacji księdza Mariana Prusaka, który spowiadał oboje skazańców i był przy nich do końca: „[...] Ubecy zachowywali się grubiańsko. Nie chciałbym przytaczać tu wyzisk, które sypały się na dziewczynę i tego pana [chodzi o por. „Zagończyka”]. Ustawiono ich pod słupkami przy ścianie. Przed rozstrzelaniem dałem im krzyż do pocałowania. Prokura-

tor siedział za małym stolikiem okrytym czerwonym sukniem. Odczytał wyrok [...]. Potem padła komenda »po zdrajcach narodu polskiego ognia«. W tym momencie oni krzyknęli »Niech żyje Polska«, tak jakby się umówili. Padła salwa i oboje osunęli się na ziemię. Żołnierze strzelali z trzech, może czterech metrów. Nie mogłem na to patrzeć, ale pamiętam, że oni jeszcze żyli. Podszedł oficer i dobijał strzałami w głowę».

We wrześniu 2014 r. w czasie prac ekshumacyjnych prowadzonych przez IPN znaleziono szczątki „Inki” i „Zagończyka”.

► Miała opinię bojowej dziewczyny

Długo by można było ciągnąć historię zdrady „Reginy”. Miała wiele koleżanek – sanitariuszek z oddziału Kmicica, m.in. Wandę Czyżewską „Basię”, Janinę Wasilój Smoleńską „Jachnę” i Lidę Lwow „Lalę”.

Janina Wasilój Smoleńska „Jachna” tak wspominała czas, kiedy po raz pierwszy dotarły do niej wiadomości o zdradzie „Reginy”: „Dostałam list od koleżów z grupy »Zagończyka«, w którym przekazali mi informację, że »Regina« poszła na współpracę z UB. To było na początku czerwca (1946 roku – przyp. D.J.). Przekazałam tę wiadomość »Łupaszce«. Nie mogłam w to uwierzyć. »Regina« była łączniczką jeszcze z czasów okupacji. Była bardzo dzielna, odważna, tak w każdym razie myśleliśmy. Miała opinię niezwykle bojowej dziewczyny i całkowite zaufanie w wielu ludzi. »Łupaszka« również jej ufał. Wypełniała wszystkie powierzone jej zadania. Gdy aresztowano ją w Gdańsku, zdawała sobie sprawę, że czeka ją kara śmierci. Okazało się, że przyjęła zupełnie inną postawę niż »Inka« i podpisała zgodę na współpracę. »Łupaszka« początkowo wierzył, że jej decyzja to wybieg, który miał jej pozwolić ocalić życie. Podpisała współpracę, ale potem ucieknie. Tak niektórzy robili, aby wyrwać się z więzienia i wrócić do oddziału. Ona jednak zaczęła współpracować z bezpieką bardzo wydajnie. Przekazała im wszystko, co wiedziała, a wiedziała dużo. Miała kłopoty z komendą, ze sztabem. W zasadzie to ona rozłożyła całą organizację. Bez żadnych skrupułów wydawała UB swoich przyjaciół, z którymi przecież niejedno przeżyła. Przez nią siedziało wiele osób. Zdradzała także tych ludzi, u których nocowaliśmy. Później, już jak się chciała wykazać przed UB, chciała ich przekonać, że jest nadal przydatna, a już nie miała co powiedzieć, to wymyślała, oskarżała niewinnych ludzi. Rzeczywiście stało się z nią coś tak dziwnego, nie miała żadnych zahamowań. Zawsze twierdziła, że ona już potem działała tak, jakby chciała, aby zginęli wszyscy świadkowie jej podłości. Nie wiem, jak skończyła życie. Wiem, że w pewnym momencie już sami ubowcy stwierdzili, że jest zdegene-



Zdjęcie Reginy Mordas Żylińskiej „Reginy” po aresztowaniu w kwietniu 1946 r. Od połowy 1943 r. łączniczka w oddziale „Kmicica”, a później w 5. Brygadzie Wileńskiej AK, z którą przeszła cały szlak bojowy. Doprowadziła do śmierci i aresztowań wielu koleżanek i kolegów

rowana i całkowicie dla nich nieprzydatna. Nie wiem, co się z nią stało, ale na pewno przegrała swoje życie. Miała taką piękną kartę, a potem tak wszystko przekreśliła. Tak wszystkich wydać... Nie wiem, czym się kierowała. To już trzeba całkowicie nie mieć sumienia, aby tak postępować jak »Regina«. My wszyscy nie mogliśmy uwierzyć w tę przemianę. Gdy mnie aresztowano, »Regina« odwiedzała mnie w więzieniu, wydawała się zatroskana o mój los. Jeszcze wtedy wierzyłam, że może ona gra na dwa fronty. Załatwiła mi widzenie z rodzicami bez krat. Z czasem od innych więźniów z naszej sprawy dowiadywałam się o rozmiarach jej współpracy. Zrozumiałam, jaka jest prawda. [...] Kiedy przekazałam mu [»Łupaszce«] o »Reginie«, »Łupaszka« powiedział mi: »A właśnie miałem taki sen. Śniła mi się »Regina«, że siedzi w celi, drzwi są otwarte, a ona nie wychodzi, tylko siedzi i płacze. Ona na pewno coś wykombinuje«. Nie wierzył, że mogła zdradzić. Były przecież wypadki, kiedy ktoś, jak na przykład »Orszak«, podpisywał współpracę, a potem wracał do oddziału».

– „Łupaszko” nie mógł uwierzyć w zdradę „Reginy”, tak jej ufał – mówi Lidia Lwow-Eberle. Nawet kiedy już mieszkaliśmy w Zakopanem i docierały do niego wręcz niezbite dowody jej zdrady. „Regina” odwiedzała mnie dwa razy w Warszawie. Pierwszy raz to było w latach 50. Przyjechała wystrojona, zadbana, zaprosiła mnie do dobrej restauracji przy Nowym Świecie. Pytała, czy wiem, gdzie znajdują się dokumenty 5. Brygady. Powiedziałam, że nawet gdybym wiedziała, to i tak bym nie powiedziała. Kiedy drugi raz przyjechała, pod koniec lat 60., była w oplakany stan – biedna, wynędzniała, okropnie wyglądała, powiedziała, że wszyscy ją opuścili, mąż, ponoć oficer UB, ją zostawił. Odeszli od niej

synowie. Nie miała pieniędzy. Pytała znowu o dokumenty. Mówiła: „Jeżeli im nie powiem, to mnie zabiją”. Przenocowała u mnie nawet. Wiem, że wkrótce po wyjeździe ode mnie zmarła. Nie wiem, dlaczego z „Reginą” tak się stało. Nie potrafię tego zrozumieć.

► Dlaczego?

Symbolem zdrady w naszej śródziemnomorskiej kulturze chrześcijańskiej jest Judasz Iskariota. Do dziś teolodzy zastanawiają się nad motywami, przyczynami jego zdrady. Jedni uważają, że był już od dzieciństwa człowiekiem naznaczonym złem, posiadającym diaboliczną naturę, od początku zatem pełnił rolę agenta w gronie apostołów. Na dowód tego przytaczane są słowa Jezusa, który jeszcze na długo przed samą zdradą swojego ucznia powiedział: „Czyż nie wybrałem z was dwunastu? A jeden z was jest diablem” (J 6, 70). Inni sądzą, że opętanie Judasza nastąpiło później, przed zbliżającym się świętem Paschy, o czym świadczą by miały słowa Łukasza: „Wtedy szatan wszedł w Judasza, zwanego Iskariotą, który był jednym z Dwunastu” (Łk 22, 3).

„Regina” przerosła Judasza. Uczyniła ze zdrady sposób na życie i czerpała z niej satysfakcję. To nie była krótkotrwała słabość, która mogła przydarzyć się każdemu, najbardziej dzielnemu człowiekowi, w obliczu tortur. Pisane przez nią donosy są świadectwem niezwyklej wprost demoralizacji – jeszcze niedawnych przyjaciół nazywa bandytami, wykolejeńcami. Nigdy nie próbowała naprawić szkód, jakie wyrządziła koleżankom, kolegom. Jej późniejsze tłumaczenia ubekom motywów zdrady mogą dowodzić zaburzeń osobowości – mówiła na przykład, że pierwszy raz sypała za „porcję lodów”, na które miała akurat wielką ochotę; innym razem, że zakochała się w śledczym ubeku.

W 1948 r. „Regina” przeniosła się z Koszalina do Szczecina. Była niezwykle aktywna podczas Akcji X, wielkiej operacji bezpieki, w czasie której aresztowano ponad 6 tys. ludzi pochodzących z Wileńszczyzny, co samo w sobie było już podejrzane i miało świadczyć o ich wrogim nastawieniu do komunizmu. TW „Gina” była w swoim żywiole. To wówczas padł jej ofiarą m.in. Czesław Mackiewicz – ojciec pani prezydentowej, śp. Marii Kaczyńskiej. Był on żołnierzem 4. Brygady Wileńskiej AK por. Longina Wojciechowskiego „Ronina”, a jego troje kuzynów, Wila, Mieczysław i Kazimierz, walczyło pod komendą mjr. „Łupaszki”. W lutym 1948 r. ich dom w Człuchowie odwiedziła „Regina”. Nie wiedzieli, że mają już do czynienia z inną „Reginą” niż ta z Wileńszczyzny, a z zaprzędaną diabłu i ubekom zdrażczynią. Czesław Mackiewicz w niedługim czasie został skazany na pięć lat więzienia, a ro-

dzinę, po ograbieniu majątku, zmuszono do opuszczenia leśniczówki, w której mieszkali.

Po zakończeniu Akcji X ubecy zrezygnowali ze współpracy z TW „Giną”. Notabene Regina Mordas Żylińska też została na krótko aresztowana w 1948 r., aby uwiarygodnić jej osobę, ale wówczas już nikt ze ścisłego dowództwa 5. Brygady nie miał złudzeń co do jej roli. Ci, którzy przeżyli, siedzieli w więzieniu. W 1950 r. stała się dla bezpieki bezużyteczna, o czym można znaleźć notatkę w jej aktach. TW „Gina” była jednak nieustrascona – obiecała ubekom dotarcie do archiwum 5. Brygady Wileńskiej AK. Konfabulowała, że jest na tropie nowych sensacyjnych informacji.

W drugiej połowie lat 50. TW „Gina” wspólnie z rodzicami zaczęła prowadzić sklep sieci MHD. Wyszła za mąż za działacza komunistycznego o nazwisku Perliński. Z tego związku urodziła troje dzieci – dwóch synów i córkę. Kiedy TW „Gina” spowodowała w sklepie wysokie manko, pisała do Komendy Wojewódzkiej MO i do SB, że dawni żołnierze AK przychodzą do niej i żądają od niej pieniędzy, że musi im płacić haracz i prosi w związku z tym o pomoc. Oskarżała o szantaż Bogu winne osoby, m.in. rodziców „Jachny”, Mieczysława Potockiego „Węgielnego”. Zarówno milicjanci, jak i esbecy musieli mieć dość jej telefonów, pism, bo sprawa manka w sklepie została skierowana do prokuratury. Pieniądze potrzebne były jej na alkohol, zabawę w nocnych lokalach Szczecina. Od „Reginy” odszedł mąż z dziećmi. Została sama. Nie zmarła w sposób naturalny – zginęła 2 lipca 1970 r. w wypadku samochodowym w Szczecinie. Na temat okoliczności jej śmierci istnieje kilka wersji. Należy wątpić, że była to egzekucja dokonana przez któregoś z kolegów z wileńskiej AK. Nikt nie chciał się podjąć tego zadania, bo była matką trojga dzieci.

Wiele faktów jest zastanawiających. Dlaczego żołnierze „Łupaszki” i on sam, komendant, tak długo dawali wiarę bajkom „Reginy” o jej niewinności? Dlaczego „Regina”, która z ogromnym poświęceniem pracowała na Wileńszczyźnie w oddziałach „Kmicica” i „Łupaszki”, równie łatwo zaangażowała się na rzecz ubeków i z zimną krwią wydawała na śmierć swoich bliskich? Dlaczego „Regina” z dnia na dzień z bohaterkiej dziewczyny stała się zdrażczynią winną śmierci najbliższych przyjaciół, winną wielu tragedii? Dlaczego nigdy nie przyszło opamiętanie, dlaczego tak raptownie zostało wyłączone sumienie? Dlaczego? ■

Przy pisaniu korzystałem z książki Marzeny Kruk i Edyty Wnuk „Nie było czasu na strach...”, IPN, Szczecin 2009. Wykorzystałem także materiały archiwalne IPN w Szczecinie, Bydgoszczy i Gdańsku.

A detailed oil painting of Izabela Czartoryska, a Polish noblewoman and cultural patron. She is depicted from the chest up, wearing an elaborate 18th-century dress with a large, ruffled white collar and a blue sash. Her hair is styled in loose, wavy curls, adorned with a white ribbon. She has a gentle smile and is looking slightly to the right of the viewer. The background is a dark, muted green.

Agnieszka Kowalczyk

Ogród polskości Izabeli Czartoryskiej

Izabela z Flemmingów Czartoryska to jedna z najbardziej fascynujących kobiet epoki oświecenia – twórczyni puławskiego centrum polskości. W pamięci potomnych zapisała się jako założycielka pierwszego muzeum narodowego oraz kreatorka „ojczystych ogrodów”, prawdziwie polskich „ogrodów wolności” w kraju pod zaborami.

Urodzona w 1747 r. w Warszawie Izabela była jedyną córką podskarbiego wielkiego litewskiego Jerzego Flemminga i Antoniny z Czartoryskich, przedstawicielki starego rodu wodzącego się jeszcze od księcia Olgierda. Wcześniej osierocona przez matkę wychowywała się w pałacu swej babki Eleonory Czartoryskiej, ale już jako 15-letnia panna, dziedziczka olbrzymiej fortuny, wydana została za Adama Kazimierza Czartoryskiego, swego ciotecznego wuja. A był to człowiek wielkiego formatu – z jednej strony polityk, przywódca Stronnictwa Patriotycznego podczas Sejmu Wielkiego, z drugiej zaś znawca kultury, mecenas sztuki, dramatopisarz, poliglota (znał nawet arabski, turecki i perski). Księżna u jego boku przeistoczyła się w światową damę, znawczynię najnowszych prądów literackich i artystycznych, ciekawą świata wojażerkę, która, czerpiąc z doświadczeń podróżniczych, nieustannie przeobrażała swe Puławy.

Podczas dalekich wypraw poznawała najwybitniejsze osobistości epoki na czele z Janem Jakubem Rousseau, Benjaminem Franklinem czy Johannem Kasparem Lavaterem (twórcą frenologii, ciekawej teorii pozwalającej wnioskować o właściwościach umysłowych i duchowych człowieka z kształtu ludzkiej czaszki). Zwiedzała znane europejskie rezydencje z modnymi wówczas ogrodami w stylu angielskim (jak posiadłość Horacego Wolpole'a w Strawberry Hill). Pod wpływem oglądanych w Anglii zabytków – katedr w Salisbury i Yorku, ruin średniowiecznego opactwa w Laeds czy zamku w Harward – zrodziła się u niej fascynacja gotykiem. Podróżowała szlakiem celtyckiego barda Osjana, legendarnego Wilhelma Tella, wielkiego Williama Szekspira. Urzeczona pierwotną i dziką naturą krain Północy szukała w nich pamiątek po słynnych bohaterach historycznych i literackich, pisarzach, poetach, uczonych. Osobliwości, które udało jej się zgromadzić, przywoziła ze sobą do Puław, tworząc oryginalną i nigdzie indziej niespotykaną kolekcję, w której znalazły się m.in. pamiątki po Rousseau (rysunek ukazujący domek filozofa w Szwajcarii, ziola i mech z jego zbiorów botanicznych, widok Chillon z „Nowej Heloizy”), krzesło Szekspira, strzała i portret Wilhelma Tella, trawy z legendarnej mogiły Fingala.

► „Matka Spartanka” – wielka patriotka

Księżna Czartoryska była przede wszystkim wielką patriotką, o której mówiono „Matka Spartanka”. Taki właśnie tytuł nosiła opera powstała z jej inicjatywy, dzieło Franciszka Dionizego Książnika wymierzone w prorosyjską politykę króla, a przedstawiające heroiczną walkę Spartan z wrogimi Tebańczykami. Premiera „Matki Spartanki”, w której postać wcieliła się sama księżna w czerwcu 1786 r.,

zyskała, jak pisze Alina Aleksandrowicz, „rangę podwójnego ewenementu – literackiego i politycznego, a jej rozgłos przeszedł nawet oczekiwania Czartoryskiej”. Poprzez tworzenie sztuki zaangażowanej w życie narodu arystokratka włączała się w sferę działalności politycznej i wywierała wpływ na poglądy swoich współczesnych. Potrzebę powrotu do narodowych korzeni zmanifestowała podczas Sejmu Czteroletniego, nawołując do zrzucenia francuskiego fraka i przywdziania szlacheckiego kontusza, bo przywracało to więź z tradycją przodków i wartościami dawnej rycerskiej Polski. Księżna dokonała nawet publicznych „postrzyżyn” marszałka konfederacji litewskiej Kazimierza Nestora Sapiehy. Przy dźwiękach trąb i kotłów obcięła mu francuskie loki, a w dniu następnym, za jej namową, przybył on na obrady sejmu w stroju narodowym i zażądał rodzimego umundurowania dla wojska polskiego.

Tymczasem nad Rzeczpospolitą zbierały się czarne chmury. Haniebny akt konfederacji targowickiej, do której przystąpił ostatecznie monarcha, okazał się dla Izabeli prawdziwym wstrząsem. „Co to za dzień był okropny – pisała – w którym ja dostałam wiadomość, że król przystaje na tę infamię. Bóg widzi, że kiedy miałam rzucać Puławy w tej myśli, że je spalą i zrujnują, to nie tak gorzko płakałam”. Drugi rozbiór Polski przeżyła jeszcze bardziej, bo wieszczęł on niechybny upadek ojczyzny. Gdy w 1794 r. Polacy chwycili za szablę i kosa, by walczyć o niezależny byt państwa, Czartoryscy wspierali duchowo i materialnie powstańców, a Izabela została wielką orędowniczką Naczelnika Insurekcji – Tadeusza Kościuszki. W akcie zemsty wojska rosyjskie pod dowództwem generała Otto Wilhelma von Derfelden zrównały Puławy z ziemią. Rozbestwieni moskiewscy żołdacy zamierzali zniszczyć tu wszystko, nawet wyrębać stare drzewa w parku.

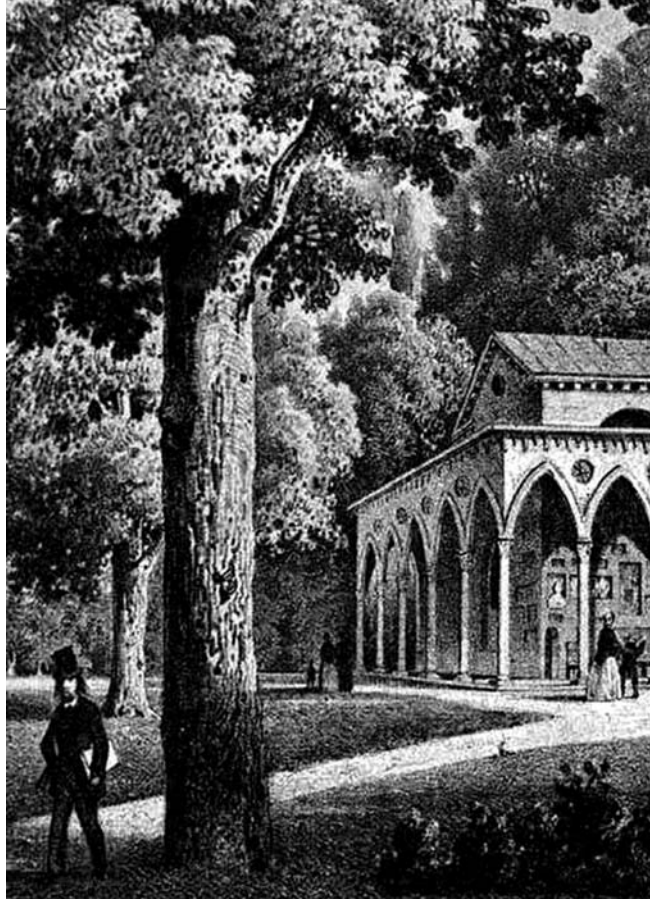
Gdy księżna powracała w 1796 r. do Puław, jej oczom ukazał się przerażający widok: „Na środku dziedzińca wznosiła się dziwnego kształtu góra usypana z kawałków najrozmaitszych sprzętów, których zabrać nie mogąc, Moskale potłukli, a moi ludzie na kupę zgarnęli. Głowy, ręce, nogi marmurowych posągów, kawałki porcelany, kryształów, obrazów, mozaik, zwierciadeł, mebli mahoniowych i hebanowych, rozbite klawiemybały, poszarpane książki, pornięte w pasy malowidła – wszystko to razem leżało w gruzach”. Ujrzała więc Puławy zdewastowane, opuszczone i pogrążone w mrokach nocy. „Rzadko w życiu miałam tak smutny widok – rozpamiętywała – miesiąc w pełni roztoczył swe światło, wjechawszy w czwororzędne lipy, serce mi się ścisnęło na wspomnienie wszystkich klęsk, rabunków, którym Puławy były podległe. Wjechawszy na podwórze cichość, samotność

i milczenie zupełnie mnie naprzód przeraziły. Spojrzawszy na pałac bez drzwi i okien pustkami stojący, nie mogłam się od płaczu powstrzymać [...]. Łóżka ani materaca, ani kanapy w całych Puławach nie było. Spaliśmy na sianie, znużeni drogą, kontenci, że w domu”.

► Świątynia Pamięci – „Przeszłość przyszłości”

Puławy przetrwały jednak i tę burzę dziejową. Za sprawą Izabeli Czartoryskiej odradziły się jak feniks z popiołów. Decyzja powrotu do rodzowego siedliska miała też swój głęboko patriotyczny wymiar. Księżna pragnęła odbudować swe rodzinne gniazdo i uczynić je bastionem polskości zaświadcającym, że póki trwa naród świadomy swej tożsamości, trwa i Polska. Izabela, jak pisał Ludwik Dębicki, „odczuła mowę przeszłości, tradycji i rodzinnej natury, jaką wszystko w Puławach przemawiało i ulegało wewnętrznym przemianom, odrywając się od kosmopolitycznego świata, a wracając się do rzeczy ojczystych...”. Najwspanialszą zaś manifestacją idei ocalenia narodu w warunkach niewoli stał się puławski ogród – prawdziwy „ogród polskości” – w którym ojczysta natura zespała się nierozdzielnie z ojczystą historią. Księżna tak oto nakreśliła ideę swego dzieła: „W tych latach, w których tyle klęsk nas przycisnęło, kiedy nas z rzędu narodów wymazano, mówiłam sobie ze łzami: Ojczyzno, nie mogłam ciebie obrońić, niechaj cię przynajmniej uwiecznę. Ta chęć, to uczucie przywiązywało mnie do życia. Wystawiłam wówczas Świątynię Pamięci, zebrałam tam pamiątki tej Polski niegdyś tak świetnej, a wtenczas tak nieszczęśliwej. Tam żyłam w przeszłości, a czasem w moich dumaniach tchnęłam nadzieję szczęśliwej przyszłości”.

Mowa tu o sercu puławskiego ogrodu – Świątyni Sybilli – pierwszym narodowym muzeum. To godne podziwu dzieło Chrystiana Piotra Aignera miało swój pierwowzór w świątyni Sybilli z Tivoli, która zyskała nowe wcielenie nad brzegami Wisły. Muzeum kryło w sobie bogatą spuściznę narodowych wartości, którą przekazywało następnym pokoleniom. „Przeszłość przyszłości” – tak głosił napis u wejścia do puławskiego sanktuarium polskości. Miał on uświadomić współczesnym Polakom, że naród o tak wielkiej historii i tradycji nie może zginąć, lecz przetrwać i odrodzić się w przyszłości. Nieprzypadkowo przeciw księżnej uczyniła patronką i opiekunką świątyni Sybillę – wieszczkę i starożytną kapłankę znad Tybru. Sama zaś angażowała się w prace budowlane, stając do wznoszenia murów w roboczym fartuchu i z kielnią w ręku. Powstały gmach składał się z dwóch kondygnacji – górnej i dolnej. Pierwsza, nadziemna, przybrała postać rotundy otoczonej kolumnadą, w której mieściła się sala ekspozycyjna z pamiątkami przeszłości.



Dom Gotycki w Puławach

Dolna natomiast kryła w sobie kryptę wspartą na dziewięciu filarach, a jej centrum wyznaczał obelisk na cześć księcia Józefa Poniatowskiego. W tym bohaterze bitwy narodów pod Lipskiem, który zginął za ojczyznę w nurtach Elstery, Izabela widziała niezłomnego rycerza Polski współczesnej, godnego kontynuatora Batorów, Sobieskich, Czarnieckich.

Naprzeciwko olbrzymich wrót otwierających Świątynię Sybilli usytuowana została szkatuła królewska z napisem ułożonym z brylantów: „Pamiątki polskie zebrała Izabela Czartoryska w roku 1800”. Stanowiła ona ołtarz świątyni i namiastkę skarbcza koronnego z najcenniejszymi relikwiami po polskich władcach. Poeta Puław, Julian Ursyn Niemcewicz, porównał ją nawet do Arki Przymierza, przedstawiając w swym poemacie „Puławy” (powst. 1802–1804) akt złożenia ojczystych świętości w nadwiślańskiej siedzibie Sybilli:

To te pamiątki dni niegdyś szczęśliwych,
Drogie ostatki dla umysłów tkliwych,
Niesiem ze łzami pod twe święte szczyty
Zbiór znakomity.



Tak w dawnych wiekach naród Izraela,
Ciężko gnębiony od nieprzyjaciela,
Przed zajadłością uchodząc pogańską,
Niósł arkę pańską.

Wnętrze świątyni skrywało najdroższe ojczyste pamiątki, a wśród nich trofea wojenne zdobyte pod Wiedniem na Turkach i pod Grunwaldem na Krzyżakach. W specjalnej niszy umieszczony został panoplion królewski z „tarczą wróżebną Sobieskiego”, mieczami Jagielly i Witolda oraz szablą Stefana Batorego. Potęgą rycerskiej Polski odżyła w kulcie militariów wojskowych, wśród których szczególne miejsce zajmowały: buławy Zamoyskiego i Czarnieckiego, pałasze Łokietka i Kościuszki, szpada Ignacego Potockiego. Zgromadzono tu chorągwie polskie i zdobyczne (m.in. moskiewską „carów Szujskich” i szwedzką wziętą przez Czarnieckiego), trofea i panopliony największych rodów dawnej Rzeczypospolitej – Tęczyńskich, Lubomirskich i Radziwiłłów. W świątyni umieszczono również urny ze szczątkami i prochami królów, hetmanów i wielkich Polaków, w tym relikwiarze skrywające kości Bolesława Chrobrego i Stefana Czarnieckiego, popioły Mikołaja Kopernika, fragment

czaszki Stefana Żółkiewskiego wyjęty przez Izabelę z jego trumny w Żółkwi. Jednym z najcenniejszych sybillańskich skarbów okazał się marmurowy nagrobek, w którym „złożono głowę Jana Kochanowskiego”, z zamieszczoną na pomniku inskrypcją: „I opatrzył to dawno syn pięknej Latony, że popiół kości moich nie będzie wzgardzony”.

Strażniczką i „arcykapłanką” puławskiej świątyni polskości była oczywiście księżna Izabela, która, jak pięknie napisał o niej Jan Jakub Dreścik, „zakłęła kadyceuszem duchy wielkich Polaków w zgromadzone tam materialne po nich pamiątki”. Latem 1809 r. wydawało się, że dusze wodzów i hetmanów dawnej Rzeczypospolitej wcieliły się we współczesnych rycerzy Księstwa Warszawskiego, którzy stanęli do walki o niepodległość Polski. Wówczas Izabela Czartoryska na czele sybillańskiego orszaku wychodziła naprzeciw wyzwolicielom ojczyzny, a ten uroczysty pochód tak zapamiętał jeden z jego świadków, Leon Potocki: „Przodem jechało dwunastu młodych ludzi na dzielnych koniach, w pancernych i husarskich stalowych zbrojach, z kopią lub proporcem w ręku. Za nimi [...] niesli buławy, pałasze i inne insygnia wojenne Zamoyskich, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Czarnieckich hetmanów, marszałkowskie laski, kanclerskie pieczęcie, biskupie pastorały, zdobyte na Szwedach, Turkach i Tatarach chorągwie, buńczuki i inne łupy zwycięskie. Dalej młode, piękne i całe w bieli ubrane dziewczęce niosły na bogatych wezłowiach pamiątki po panujących u nas Piastach, Jagiellonach, Wazach i obieralnych królach, a na ich czele hrabianki Matuszewiczówna i Mirowska, włosy królowej Jadwigi, wydobyte z jej grobu [...]. O kilka kroków z tyłu szła poważnym krokiem Izabella z Flemingów Czartoryska, miała w ręku złoty klucz od Sybilla”.

► Dom Gotycki – muzeum pamięci świata

W tym samym roku w puławskim ogrodzie wzniesiono drugie muzeum, nazwane Domem Gotyckim, które zgodnie z intencją założycielki poświęcone zostało „pomnikom wszystkich krajów i wszystkich narodów”. „Odkąd podróżuję – pisała księżna francuskiemu poecie Jakubowi Delille owi – zawsze pociągały mnie miejsca historyczne, i zebrałam kawalki murów z wszystkich krajów ziemi. [...] Chcę zbudować mały dom gotycki, gdzie wszystkie te kamienie będą wmurowane z napisami”.

Tak więc obok Świątyni Sybilla – muzeum pamięci narodowej – stanął Dom Gotycki – muzeum pamięci świata inkrustowane kamieniami z Konstantynopola, z rzymskiego Kapitolu, francuskiej Bastylli czy szkockiej Świątyni Druidów. Delille, korespondując z księżną, uznał jej pomysł za wielce oryginalny

i niespotykany dotąd w żadnym innym założeniu parkowym Europy. W istocie Dom Gotycki był symbolicznym obszarem przenikania się historii Polski z dziejami Europy i taką jego ideę sprecyzowała księżna we wstępie otwierającym „Poczet pamiątek Domu Gotyckiego”: „Świątynia Sybilli przeznaczona była wyłącznie na pomniki narodowe. Dom Gotycki miał zamykać same starożytności zagraniczne; zgromadzone więc do niego wszystko, czego częste podróże i [...] liczne dary dostarczały. Było już w nim wiele pamiątek Francji, Niemiec, Anglii, pamiątek wieków starożytnych, wieków rycerskich, czasów późniejszych; przybyły pomniki Egiptu, Azji, Ameryki. Długo jednak w Domu Gotyckim upatrywano jakąś niezupełność, jakiś ważny niedostatek. Jakoż w istocie nie dostawało tam pamiątek najczulszych, najwymowniejszych, polskich. Dlatego nie sama tylko Świątynia Sybilli starożytności nasze zawiera. Znaczną ich część umieszczono w Domu Gotyckim”.

Budowla składała się z dziewięciu ścian biorących swe nazwy od znaczących dla Izabeli miejsc oraz postaci historycznych, legendarnych i literackich – m.in. Kazimierza Wielkiego, Jana Długosza, Tadeusza Kościuszki czy Boguty i Sędziwoja. Tak na przykład ściana Jana Długosza najlepiej wyrażała narodowego ducha, gdyż współtworzyły ją: orzeł polski wykuty z kamienia, herb litewski z zamku wawelskiego, kamień z bramy Krasnostawskiej, przez którą przechodził zwycięski Jan Zamoyski, pamiątki z grobowców Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły i Jana III Sobieskiego oraz fragmenty rzeźbiarskie ze starych kościołów Odechowa i Krakowa, a nawet słynne głowy wawelskie z izby senatorskiej. Na ścianie Gostyńskiej natomiast przeważały pamiątki zagraniczne – historyczne i legendarne związane z dziejami różnych krajów – między innymi z Francją (kawalki gipsu z palacu papieży i ze starodawnej katedry w Awinionie), Niemcami (cegła z zamku Lipspring, dawnej siedziby Karola Wielkiego), Belgią (kamień z zamku brukselskiego), Czechami (szczątki ruin zamku Hummelschloss) i Ukrainą (toporki kamienne).

Księżna Czartoryska, obmyślając założenie ideowe Domu Gotyckiego, pragnęła, aby poprzez swoją strukturę przestrzenną i dobór eksponatów zaświadczał o tym, że Polacy przynależą do wspólnoty europejskiej, wnosząc swój wkład w dorobek ludzkości i współtworząc ducha dziejów, który nie zna granic między państwami.

► Wśród „weteranów puszczy głębokich”

Pani na Puławach tak zaprojektowała swój ogród, by jego natura emanowała polsnością, by stał się on kwintesencją rodzimego pejzażu. Sama była miło-

śniczką wolnej i nieskrępowanej natury, entuzjastką angielskich parków krajobrazowych, propagatorką nowej poetyki ogrodowej w kraju. Potrafiła w sposób niemal literacki, a jednocześnie erudycyjny pisać o ogrodach (jako autorka „Myśli różnych o sposobie zakładania ogrodów”) oraz z równym znanstwem je tworzyć.

Park puławski zajmował olbrzymi obszar przekraczający 600 ha i rozciągał się na wyniosłości Wyżyny Lubelskiej opadającej stromo ku Wiśle. Panoramę od Puław aż po sąsiedni Kazimierz współtworzyły opuszczające się stoki pokryte bogatą roślinnością i poprzecinane głębokimi jarami. Ogród księżnej rozrastał się, harmonijnie wtapiając w okolice i naturalnie zespalać z przyległymi lasami, polami i wioskami. Współtworzyły go kontrastujące ze sobą zakątki: rustykalna Kępa – wiejska samotnia książęcej pary, tajemnicza Parchatka z domkiem pustelnika, uroczę Marynki z pałacem Marii Wirtemberskiej, ferma Żulinki, ogród kwiatowy zwany małym Edenem oraz nadwiślańska „kraina melancholii i wspomnień”. Nawet w naturze kryła się myśl o polskości. Przechodząc przez most wiszący nad przepaścią Parchatki, docierało się do ukrytego w skalnej grocie „grobowca ojczyzny”. Tu nawet ruiny starych zamczysk – Kazimierza Wielkiego i Firlejów w Janowcu – przemawiały własnym głosem, przypominając o potędze dawnej Rzeczypospolitej.

Spośród wszystkich tworów natury szczególne miejsce w Puławach zajmowały drzewa jako najwspanialsze pomniki rodzimej przyrody – rozłożyste lipy, malownicze klony, samotne nadwiślańskie topole, sędziwe świerki. Dlatego ogród księżnej stawał się swoistym parkiem dendrologicznym. Aleja Królewska wysadzana czterema rzędami lip wiodła gością aż na dziedziniec rezydencji. Pomiędzy zakątkiem Sybilli a Głęboką Droga ciągnęła się z kolei Gotycka Aleja – niegdyś regularnie przycinany chłodnik, który z nakazu Izabeli pozostawiony samej naturze, nabrał teraz niepowtarzalnych kształtów. W Puławach mieściło się jedyne w Polsce „halo”, czyli zielony tunel utworzony przez wyniosłe drzewa, a od środka usłany murawą. Zdążając ku Marynkom zachwycaly specjalnie zaprojektowane przez księżną klomby z unikalną roślinnością – rosochatym, kandelabrowanym klonem, starymi sosnami i włoskimi piniami.

W sybillińskim gaju dominują drzewa odwieczne, odporne na działanie czasu i niszczycielską siłę żywiołów. Spośród nich księżna najbardziej upodobała sobie olbrzymie, wielowiekowe dęby, nazwane przez nią „weteranami puszczy głębokich”. W samotnym dębie dostrzegła całą jego potęgę, piękno i królewski majestat. „Dąb szczególny, wyniosły, stary, jest zawsze najpiękniejszym. Dąb w jakimkolwiek bądź kształcie, nie powinien nigdy być obcina-

nym. Tak pięknego dzieła Natury, ręka ludzka nie ma prawa poprawiać. Dąb raz skaleczony, traci na zawsze swą powagę; powoli rosnąc, już nigdy odzyskać jej nie może [...]. Trwałość jego dodaje mu wiele ozdoby. Przez wieki Dąb nabywa piękności i powagi, której nawet ginąc, nie traci zupełnie”.

Puławski park dendrologiczny wpisywał się w czystą, a zarazem słowiańską tradycję kultu drzew – drzew świętych, drzew rodowych, pod którymi odbywały się niegdyś sądy oraz świętych gajów otaczających gontyny – miejsca prastarych obrzędów religijnych. Mimo ekspansji chrześcijaństwa pogański kult drzew przetrwał wśród ludu, a w formie symbolicznej zachował się u szlachty i możnowładztwa. Drzewa nadal towarzyszyły miejscom o wymiarze religijnym, sadzono je w pobliżu przydrożnych krzyży, polnych kapliczek, cmentarzy i świątyń. Znakiem rozpoznawczym parku Jana Kochanowskiego była czarnoleska lipa, a Jan III Sobieski słynął z zamięłowania do drzew, które własnoręcznie sadził w Wilanowie i Podhorcach. Księżna Czartoryska, kontynuując tę prastarą tradycję, wystawiła w swym ogrodzie pomnik na cześć puławskiego królestwa flory z wyrytą inskrypcją: „Drzewom, krzewom, kwiatom, których hodowanie było zawsze mym ulubionym zatrudnieniem”.

Dla księżnej ogród to przestrzeń, w której człowiek pracując i kontemplując, odzyskuje wewnętrzną równowagę i czerpie od natury siły do mierzenia się z dramatem historii. „Ogrody, drzewa, krzewy i sadzenie ich wiele dni moich osładzały. Nieraz pod ich cieniem chodząc, żal i troski zmniejszone były; a między kwitnącymi roślinami chwile zdawały się pogodniejsze. Straciwszy nawet Ojczyznę i Nadzieję, inne zabawy i rozrywki straciły dla mnie wszelkie wdzięki i powaby; ta jedna nieustannie była mi miła i przerywała smutne wspomnienia. Nieraz stare drzewa przypominały mej pamięci szczęśliwsze czasy; młode sadząc, upatrywałam w przyszłości pogodniejsze Nieba”. Dla księżnej ogród pełnił więc funkcję terapeutyczną, stawał się „ogrodem wolności”, w którym doświadczony historią Polak wśród drzew, krzewów i kwiatów mógł zapomnieć choć na chwilę o trudnej rzeczywistości porozbiorowej.

► „Łzę skropiłem, bom Polak, te drogie pamiątki”

W 1795 r. Polska zniknęła z mapy Europy, ale „puławskie ogrody wolności” stały się jej namiastką. Pielgrzymowali do nich Polacy ze wszystkich stron dawnej Rzeczypospolitej. Księgi muzealne utrwały tysiące ich nazwisk, w tym podpisy znanych osobistości: Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, Kazimierza Brodzińskiego, Antoniego Edwarda Odyńca, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Jana Skrzyneckiego,

Józefa Bema, Józefa Poniatowskiego, Józefa Dwernickiego. Do „puławskiej krynicy polskości” przybywali ziemianie, duchowni, mieszczenie, urzędnicy, uczniowie, nauczyciele, studenci, rodziny z dziećmi. Wśród pamiątkowych wpisów znajdziemy laudacje na cześć „ogrodu polskości” i jego twórczyni w rodzaju: „Jak to wszystko przemawia do serca Polaka, tu szczęśliwym zobaczyć by można żebraka” bądź: „Łzę skropiłem, bom Polak, te drogie pamiątki. Z rozbitego okrętu, całe to [są] szczątki”. Wejście do puławskiego przybytku Sybilli stanowiło podniosły akt tajemniczenia w duchowe życie narodu, swoisty rytuał nawiązywania kontaktu z duchami wielkich przodków, rodzaj patriotycznej inicjacji, o którym tak pisała Sabina Grzegorzewska, pamiątnikarka epoki: „Serce biło we mnie gwałtownie, nogi pode mną drżały, doznawałam zapewne tego samego uczucia, jakiego doświadczały podróżni, gdy po raz pierwszy Bazylikę Św. Piotra w Rzymie zwiedzać mają [...] tu miałam dotykać własnymi rękami naszej dziejowej przeszłości, miałam oglądać drogie pamiątki wielkości i sławy naszego narodu, jedynej już pozostałej nam po przodkach spuścizny”.

Puławom przeobrażonym w centrum polskości przez księżną Czartoryską przypadła dziejowa misja ocalenia i zachowania tożsamości narodowej. Stały się miejscem pamięci o heroicznej przeszłości Polaków, obszarem duchowej terapii i źródłem nadziei na odzyskanie wolności.

Kłęska powstania listopadowego zmusiła Czartoryskich do opuszczenia na zawsze swej posiadłości. Ich dobra zostały skonfiskowane. Bezcenne zbiory ze Świątyni Sybilli i Domu Gotyckiego ukryto w lochach muzeum, w piwnicach i grotach, we włostowickim kościele i klasztorze Reformatorów w Kazimierzu Dolnym. Potem, od lat 40. do 60. XIX wieku przemycane do Francji, znów trafiły do rąk właścicieli, by w przyszłości powrócić do ojczyzny i znaleźć swoje stałe miejsce w Muzeum Czartoryskich w Krakowie. W ten sposób sprawdziła się przepowiednia dawnego bibliotekarza Puław, Łukasza Gołębiowskiego, dotycząca zarówno losów puławskiego muzeum polskości, jak i przyszłości ojczyzny: „I srogi wichur spustoszenia wydmuchną [ze świątyni] tak drogie, tak przemawiające do duszy pamiątki: wymiottł je, rozproszył, zasypał [...]. I wszystko uciхло! Gmachy kszujące inne otrzymały przeznaczenie: ta kształtna, wysmukła, zachwycająca budowa, rozsypie się może w gruzy... Ale nie! jest Bóg, który czuwa i nad przybytkami cnoty narodowej. Nie traćmy nadziei! Spokojniejsze, szczęśliwsze nastaną chwile i będzie nam wolno cześć oddawać pamiątkom naszym: [...] a miejsce to, świątynia ta, będzie odwiedzana i uradują się popioły założycielki, ojców naszych, serca potomków”.



Piotr Lisiewicz

Generał Tadeusz Pełczyński był w czasie Powstania Warszawskiego szefem Sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej, a także zastępcą komendanta głównego AK. Podczas powstania został ciężko ranny, a potem trafił do niemieckich obozów. W powstaniu zginął jego syn.

Mimo to w rozmowie z francuskim dziennikarzem mówił: „Nie było takiego momentu, żebym żałował, że byłem w grupie, która decydowała o walce”. Wywiad to zapis rozmów francuskiego dziennikarza z 80-letnim generałem z lat 1972–1973. W Polsce opublikowany został po raz pierwszy w podziemiu w 1984 r. Dziś u nas te fragmenty z rozmowy ze zmarłym w 1985 r. generałem, które uznaliśmy za najważniejsze.

Ale najpierw w numerze poświęconym pogardzie establishmentu wobec zwykłych Polaków przedrukujemy wywiad z błogosławionym ks. Jerzym Popiełuszką, duszpasterzem robotników. Niektórzy, widząc, jak bliskie ma on z nimi kontakty, myśleli, że on sam wywodzi się z robotniczego środowiska, co nie było prawdą. Za to prości ludzie, których nie całe życie było święte, szybko zrozumieli, kim jest ksiądz Jerzy. To rozmowa także o tym, jak „Solidarność” i sprzeciw wobec komunizmu podnosiły robotników na wyższy poziom także w życiu osobistym czy zawodowym. Pouczająca historia dla tych, którzy dziś robią wszystko, by zwykłych Polaków degradować i traktować jak ciemną masę, którą trzeba manipulować i oszukiwać.

Osiadłem wśród robotników

„Myślałem, że Ktoś Ważny idzie za mną. Ale to były oklaski na powitanie pierwszego w historii tego zakładu księdza przekraczającego jego bramę. Tak sobie wtedy pomyślałem – oklaski dla Kościoła, który przez trzydzieści parę lat wytrwale pukał do fabrycznych bram... Trzeba było słyszeć te męskie głosy, które niejednokrotnie przemawiały niewyszukanymi słówkami, a teraz z namaszczeniem czytały święte teksty. A potem z tysięcy ust wyrwało się jak grzmot: »Bogu niech będą dzięki!«”
– z księdzem Jerzym Popiełuską rozmawiał ks. Antoni Poniński.

Opustoszał już maleńki pokój ks. Jerzego. Odeszli ostatni goście. Za kilka godzin znowu przekroczył bramy swoich fabryk. Od dawna już szykowałem się do tej rozmowy z ich księdzem. „Kapelan robotników” – tak go w tym mieście nazywają. Niewielkiego wzrostu, wręcz wątłego wyglądu, o chłopięcej niemal twarzy, po której trudno się domyśleć trawiącej go od lat choroby – robi raczej wrażenie świeżo „upieczonego” kleryka, a nie człowieka, który w ostatnich latach większość swego czasu spędził wśród ludzi ciężkiej, fizycznej pracy.

► **Obserwując cię wśród robotników, można odnieść wrażenie, że sam spośród nich wyszedłeś?**

Właściwie to w ogóle nie znałem tego środowiska. Oczywiście, jako ksiądz w swojej pracy duszpasterskiej spotykałem się ze wszystkimi grupami zawodowymi. Ale tak naprawdę to „osiadłem” wśród robotników od sierpnia 1980 roku. A zaczęło się od tego, że przed ostatnią niedzielą sierpnia delegacja robotników z największego w mieście zakładu zgłosiła się do mojego biskupa z prośbą, aby skierował jakiegoś księdza dla odprawienia Mszy świętej na terenie fabryki. Wybór padł na mnie.

Tego dnia i tej Mszy świętej nie zapomnę do końca życia. Szedłem z ogromną treścią. Już sama sytuacja była zupełnie nowa. Co zastanę? Jak mnie przyjmą? Czy będzie gdzie odprowadzić? Kto będzie czytał teksty, śpiewał? Takie, dziś może naiwnie brzmiące, pytania nurtowały mnie w drodze do fabryki, i wtedy, przy bramie przeży-

lem pierwsze wielkie zdumienie. Gęsty szpaler ludzi – uśmiechniętych i splakanych jednocześnie, i oklaski. Myślałem, że Ktoś Ważny idzie za mną. Ale to były oklaski na powitanie pierwszego w historii tego zakładu księdza przekraczającego jego bramę. Tak sobie wtedy pomyślałem – oklaski dla Kościoła, który przez trzydzieści parę lat wytrwale pukał do fabrycznych bram.

Niepotrzebne były moje obawy – wszystko było przygotowane: i ołtarz na środku placu fabrycznego, i krzyż, który potem został wkopany przy wejściu, przetrwał ciężkie dni i stoi do dzisiaj otoczony ciągle świeżymi kwiatami, i nawet prowizoryczny konfesyjonał. Znaleźli się też lektorzy. Trzeba było słyszeć te męskie głosy, które niejednokrotnie przemawiały niewyszukanymi słówkami, a teraz z namaszczeniem czytały święte teksty. A potem z tysięcy ust wyrwało się jak grzmot: „Bogu niech będą dzięki!”. Okazało się, że potrafią też i śpiewać, o wiele lepiej niż w świątyniach. Przedtem była jeszcze spowiedź. Siedziałem na krześle, plecami niemal opierając się o jakieś żelastwa, a te twarde chłopy w usmarowanych kombinezonach klękali na asfalcie zrudziałym od smarów i rdzy.

► Przyznasz jednak, że te i podobne wydarzenia były czymś odświętnym, niecodziennym. A przecież była i codzienność. Właśnie o tę codzienność mi chodzi.

Dla kogoś patrzącego z zewnątrz mogło to wyglądać na odświętność. A tak naprawdę to było bardzo zwykajne. Stawało się codziennością. Powiem dokładniej, stawało się niezbędne. Przecież to w końcu jest coś normalnego, że człowiek „odkrywa”, widzi Boga także poza świątynią, tam gdzie mieszka, gdzie pracuje, gdzie wypoczywa. O taką świadomość wierzących Kościół zawsze zabiegał. Tyle lat uczyliśmy: módl się w pracy i pracą, niech Chrystus będzie przy twoim warsztacie pracy. A to, o co prosił Papież: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi”? Wszystkie drzwi państw, systemów, ale i urzędów, i fabryk. I to się stało. Przecież to oni, robotnicy, prosili nas o Msze święte w swoich miejscach pracy. Z początku wiązało się to może z poczuciem jakiegoś zagrożenia, szukaniem oparcia w trudnych chwilach strajków.

Ale z biegiem czasu nabrało innego wymiaru: żeby Chrystus, Kościół współtworzył z nimi codzienność pracy, wysiłku, służby dla innych. I to doskonale wyczucie, kiedy Chrystus, modlitwa są szczególnie potrzebne. Pamiętam ich reakcję na wiadomość o zamachu na Ojca Świętego. To była ich inicjatywa, żeby w zakładzie odbyła się Msza święta w intencji Papieża. Nad ołtarzem zawiesili płótno z napisem: „Ojcie Święty, modlimy się za Ciebie”. Chcieli w tym dniu dać od siebie wszystko, na co ich było stać. To było tym

wszystkim. Wielu z nich właśnie w tym dniu po raz pierwszy od lat przystąpiło tam do spowiedzi...

► Ale czy przenosili wartości chrześcijańskie do codziennej pracy i postępowania?

Może zabrzmiało to stereotypowo, ale tym, co mnie najbardziej uderzyło, to było niemal z dnia na dzień odkrywanie i wzrastanie w poczuciu ludzkiej godności swojej i innych. Nie, że są ważni. Nie, że są przodującą klasą, ale że każdy człowiek jest godny szacunku. Tego domagali się nie tylko dla siebie. Jakże to ich zmieniło. A druga sprawa – jakieś poważniejsze traktowanie swojego życia. Mówili nieraz – chodziłem do kościoła, ale nie zawsze rozumiałem, że to zobowiązuje. Zaczęli, po latach, przystępować do sakramentów, i to tacy, których dotychczasowe zapatrywania były zupełnie odmienne od religijnych. Nie, wcale nie dla przypodobania się załodze. Nikt od nich tego nie wymagał. Dochodzili do tego powoli, niektórzy dopiero w stanie wojennym, w czasie internowania, po procesach. Kiedy zobaczyli, że Kościół jest z nimi szczególnie wtedy, gdy zostali sami. Gdy zobaczyli, że Kościół w imię wiary pomaga im, niewierzącym, tak samo jak „swoim”. I wreszcie jeszcze jedno, co dawało się zauważyć: inne traktowanie własności społecznej – dbałość o zakład, o sprzęt, o uczciwą pracę. Pewnie, że nie wszyscy. Takie zmiany nie dokonują się od razu.

► Co dla siebie wyniosłeś z tej pracy?

Zobaczyłem, jak Ewangelia zmienia człowieka. Kiedy zwykle jako księży spotykamy się z ludźmi stale wierzącymi, najczęściej w świątyniach, może mniej to dostrzegamy. A tam byłem i jestem świadkiem „przebudzenia” tych ludzi. Nigdy przedtem nie słuchałem takich spowiedzi. Nigdy przedtem nie ochrzciłem tylu dorosłych ludzi. Czy wiesz, co to za wspaniałe odczucie, kiedy chrzci się trzydziestoletniego człowieka, który nigdy przedtem nie słyszał o Bogu? Nie ma teraz tygodnia bez takiego chrztu. Tak, czasami czuję zmęczenie. Brakuje mi czasu dla wszystkich.

Najmniej mam go dla siebie. Ale nie czuję znużenia. Już nie potrafię zamknąć swojego kapłaństwa w kościele, chociaż tylu różnych „doradców” podpowiada mi, że prawdziwy polski ksiądz nie powinien wychodzić poza kościelne ogrodzenie. Będę wśród swoich robotników, dopóki tylko będę mógł... ■

Rozmawiał ks. Antoni Poniński. Wywiad został opublikowany w: „Ład Boży”, 1 maja 1983 r. (nr 9). Przedruk za: Gabriel Bartoszewski OFMCap., „Zapiski. Listy i wywiady ks. Jerzego Popiełuszki 1967–1984”, Warszawa 2009.

Gdyby nie Powstanie, Stalin byłby wyzwolicielem Warszawy

Gdybyśmy nie zrobili walki w Warszawie, to Stalin byłby wyzwolicielem Warszawy. Ludność byłaby zszokowana: czy AK uciekła, czy przeszła na stronę niemiecką? To co było wyrazem walki o wolność i niepodległość, byłoby zaprzepaszczone. Na Zachodzie wierzyli w propagandę sowiecką. [...] Rozumiałem, że przewraca się karta historii na Wiśle i że albo Stolica wystąpi, albo Polska będzie ziemią niczyją. Przewidywałem, że przychodzi długa, długa noc – z generałem Tadeuszem Pełczyńskim rozmawia Jean François Steiner.

► Dlaczego planowano powstanie?

[...] Idea Powstania, które miało odbyć się w końcowej fazie wojny, zrodziła się od początku konspiracji. Ta idea była naczelnym celem już u gen. Tokarzewskiego, od pierwszej chwili, kiedy on został dla organizowania ruchu podziemnego, po kapitulacji Warszawy. Generał Tokarzewski zebrał szereg ludzi. Nieco później zjawiała się ta sama myśl w Paryżu, gdy uformowany został Rząd gen. Sikorskiego i członkiem tego Rządu był gen. Sosnkowski, który objął sprawy wojskowe w Kraju, z myślą tworzenia organizacji podziemnej, której celem ostatecznym było powstanie w Polsce. Miało ono być przeprowadzone w końcu wojny, kiedy potęga Niemiec będzie obalona przez alianckie siły zbrojne. [...]

► Dlaczego powstanie, a nie inne sposoby, jak np. francuski ruch oporu? [...]

To leży w psychice polskiej, że o wyzwolenie, o niepodległość naród chce sam walczyć. [...] Naród polski wierzył w ostateczne zwycięstwo Zachodu, niezależnie od tego, jak długo wojna będzie trwała. Zachodnia demokracja, choć kiepska, ale jeszcze oparta na wolności i godności człowieka, dawała

nam nadzieję kontra wszystkim faszyzmowi razem wziętym i dlatego od samego początku Polska – w tej nadziei – stawiała na Zachód. I Polacy dążyli na Zachód, aby walczyć na Zachodzie i do dziś to jest w narodzie (nie mówię o władzach, bo one są narzucone) [...]

► Czy Powstanie Warszawskie jest klęską militarną i zwycięstwem historycznym?

To zależy, czy się rozpatruje Powstanie Warszawskie jako zagadnienie tylko wojskowe.

► Dramatem Polski jest, że Polacy muszą umierać, żeby Polska mogła żyć.

Czy pan sądzi, że Powstanie Warszawskie nie ma wpływu na dzisiejszą Polskę? Od Powstania Kościuszkowskiego 1794 – historia Polski nie polega na ugodach, tylko na walce z zaborcami. [...]

► Ta decyzja była tragiczna.

Analizowaliśmy wszystkie możliwości.

► Jakie jest głębokie znaczenie tej walki?

W tych warunkach była konieczność wystąpienia naszego przeciw Niemcom pod względem militarnym, politycznym i ideowym.

► **Wynik walki zależał od dobrej woli zbrodniarza Stalina? Nie byliście ludźmi nieodpowiedzialnymi, gdy rozważaliście wszystkie elementy?**

Uważaliśmy, że ta walka musi być stoczona. [...] byliśmy prawie pewni, że Stalin naszą walkę wykozysta dla swoich celów. Spodziewaliśmy się, że jeśli wejdą do Warszawy, zaczną się z nami rozprawać. Dyskutowaliśmy, gdzie się mamy skupić, żeby nie dać się rozbroić przez Armię Czerwoną. Myśleliśmy, że okupowanie Warszawy będzie w interesie Armii Czerwonej. Gdybyśmy nie zrobili walki w Warszawie, to Stalin byłby wyzwolicielem Warszawy. Ludność byłaby zszokowana: czy AK uciekła, czy przeszła na stronę niemiecką? To co było wyrazem walki o wolność i niepodległość, byłoby zaprzepaszczone. Na Zachodzie wierzyli w propagandę sowiecką. [...]

► **Czy wiedzieliście na początku, że Rosjanie mogą wejść do Warszawy lub mogą nie wejść?**

W tej sytuacji walka w stolicy miała być naszym wyrazem ostatecznym pod względem politycznym i ideowym. Walka z Niemcami dalej trwała, ale Niemcy już byli bliscy klęski. Stolica była symbolem całej Polski. Strata Stolicy była wielką klęską. Front bojowy rosyjsko-niemiecki od września 1944 r. był na Wiśle. Warszawa jako ośrodek ruchu i walki przestała istnieć, stała się frontem.

► **Strategicznie była stracona, ale nie historycznie. Walka z Niemcami była walką militarną.**

Nie tylko, bo byliśmy przeciwnikami hitleryzmu, faszyzmu. Rosję traktowaliśmy jako wroga numer 2. Nasza walka w Warszawie nie tyle była przeciw Rosji politycznie, ile była naszym głosem o wolność. Moskale dotąd nie mogą się wypłatać z tego, dlaczego stanęli pod Warszawą. To Moskale narzucili nam swoim postępowaniem nasze stanowisko. [...]

► **Co wolelibyście?**

Wolelibyśmy załamanie Niemiec i powstanie powszechne. „Burza” była sprawą zastępczą. Przejęcie z powstania do „Burzy” nie było przejawem optymizmu. W kwietniu 1943 odkrycie Katynia. Ghetto Warszawskie walczy. Załamanie Niemiec

w Rosji było dla nas korzystne. Ale jednocześnie narastała groźba sowiecka. Nie chcieliśmy wielkiego zwycięstwa Rosji, chcieliśmy wielkich zwycięstw Zachodu.

► **Skąd wiedzieliście, że Rosja nie jest wyczerpana?**

Z ich aktywności na frontach.

► **Niepokój wasz się zwiększał z chwilą ofensywy sowieckiej. Czy oczekiwaliście uderzenia i pomocy z Zachodu?**

Oczekiwaliśmy otwarcia frontu z Atlantyku. Byliśmy w Warszawie informowani przez Londyn. Nie opieraliśmy się na własnych pomysłach. Sikorski rozmawiał z Churchilllem o uderzeniu z Bałkanów. Churchill – zapewne z zamiarem, aby do Europy nie wpuścić Rosji – rozmawiał o tym z Rooseveltem, ale Amerykanie tego nie aprobowali. Teheran w grudniu 1943 przekreślił ten plan. Zaniechano planów bałkańskich. Droga krzyżowa Polski. A był punkt najwyższej nadziei. To była droga krzyżowa Polski, a pierwszą stacją tej drogi był Katyń [...]

► **Kto był wielkim człowiekiem w Warszawie 1944 roku?**

Ludność Warszawy. [...]

► **Część ludzi w Komendzie Głównej AK była wyczerpana. Czy głównymi motorami byli wtedy pan Generał i Okulicki?**

Sobie nie przypisuję takich specjalnych wartości. Rozumiałem, że przewraca się karta historii na Wiśle i że albo Stolica wystąpi, albo Polska będzie ziemią niczyją. Przewidywałem, że przychodzi długa, długa noc.

► **Więc trzeba zapalić pochodnię.**

Tak, ale kiedy? We mnie było drżenie o to, żeby nie zapalić za późno. Nie widziałem niebezpieczeństwa, że zapali się za wcześniej, ale w żadnym razie nie poszedłbym na to, aby było za późno. 31 VII [1944] rano na odprawie uznaliśmy, że jeszcze jest za wcześniej, a po południu, o godzinie 5, jak przyszedł płk Monter [z informacją], że walka niemiecko-rosyjska dotyka krańców Pragi – Bór powziął decyzję, której ja się nie sprzeciwiałem. [...] gdy Jankowski zapytał, co będzie, gdy Rosjanie nie wejdą, odpowiedziałem: to Niemcy nas zgniotą. To był bardzo ważny moment i bardzo trudny.

► Czy Generał nie przeciwstawiał się, czy zachęcał?

Nie, to była decyzja Bora.

► A gdyby to była decyzja pana Generała, czy byłyby taka sama?

Sądzę, że tak.

► Czy Bór pytał pana o zdanie?

Wtedy nie. Decyzja, że będzie walka, była już połączona wcześniej. Teraz chodziło o termin. Wpływem na decyzję rozpoczęcia 1 VIII była wiadomość Montera. Ta wiadomość była trochę przesadzona, jak się później okazało.

► Czy nie sprawdzaliście tych wiadomości?

Monter musiał być przekonany, że te wiadomości są ścisłe. Nie miał wątpliwości. Pisałem po śmierci Montera o nim i o dwóch momentach, w których Monter przyczynił się do decyzji: 1) 31 VII [1944] na odprawie popołudniowej, 2) żeby godziną „W” była godzina 5 po południu. W tych dwóch wypadkach jego wnioski były decydujące. [...]

► Decyzja została powzięta nieco pośpiesznie.

Dlaczego?

► Bór potrzebował więcej elementów.

Monter był dowódcą Okręgu Warszawskiego, znał sytuację.

► Nie było szefa Oddziału II płk. Iranka.

Iranek był do tego niepotrzebny. Czas biegnie, trzeba było rozprosząć rozkazy przed godziną policyjną. Jeśli w literaturze są argumenty kontra, że Bór nie czekał całej godziny na przyście Iranka i Szostaka – to jest absurd. O 8 była godzina policyjna [...] W podejmowaniu decyzji czekał Bór momentu najodpowiedniejszego i uznał ten moment za konieczny. To nie jest ważne, czy powziął tego dnia, czy następnego: 1, 2 lub 3 sierpnia, ponieważ 4 VIII zaczęła się kończyć bitwa rosyjsko-niemiecka pod murami Warszawy, a sądziliśmy, że będzie ona korzystna dla Rosjan. Nie żyjemy na Księżycu. Jest wojna i wybieramy moment, kiedy w tej sytuacji rozpocząć walkę. [...]

► Monter stracił grunt pod nogami, stracił kontrolę nad sobą.

Monter wierzył w to, co przyniósł. On widział sytuację na swoim terenie i wierzył, że Rosjanie przyjdą. Wierzyliśmy, że w tej walce będą zwycięscy Rosjanie, czy to będzie 3, 4 czy 7 dni. Wiedzieliśmy, że jest reszta armii niemieckiej i że wycofała się pod Modlin, że przychodzą transporty nowych dywizji „Goering”, „Wiking” i że kontratak się już zaczął. To wiedziałem i Iranek nic by nam nowego nie powiedział. Ale byliśmy przekonani, że ta bitwa pod Warszawą będzie dla Rosjan zwycięska.

► Ile dni by to było?

Nie wiem – 2, 3, 4 dni... Koncentracja niemiecka nie była gotowa, a przed nami była cała armia pancerna sowiecka. Sądziłem, że w walce pod Warszawą przewagę będą mieli Rosjanie, mimo kontrataku niemieckiego. [...] Monter nie przyszedł z fałszywym meldunkiem. On wiedział, że tak jest. Sytuację uważał za tak ważną, że jeśli nie zaczniemy walki, to Rosjanie wejdą do Warszawy i Rosjanie nas będą uwalniać. [...]

► Tak obawialiście się wejścia Rosjan do Warszawy, że to zaćmiło rzeczywisty obraz?

Trochę tak, ale raczej, że sytuacja była zmienna. Monter ufał w trwałość tej sytuacji z czołgami, a ona nie była trwała. Sytuacja na polu walki się zmienia, zwłaszcza przy działaniu czołgów. Monter myślał, że ta sytuacja się rozwinie i że zaczął nas wyzwalać, zanim my zaczniemy walkę. Używanie słów „fałszywy meldunek” lub meldunki niesprawdzone jest niewłaściwe. [...] Podejmowaliśmy decyzję, będąc już na barykadzie. [...] Ja myślałem, że rozpoczniemy walkę i Moskale wejdą do Warszawy i dopiero wtedy z nami się rozprawią – Syberia. Gdyby Rosjanie zajęły Warszawę i nas wytaszczyły do Irkucka i głosili, że byliśmy tchórzami, bo nie zaczęliśmy walki – to byłaby dla nas i dla Armii Krajowej klęska, sięgająca w historię. [...] Mogły być robione przez nich różne świństwa. Niech pan weźmie pod uwagę, że oni przez dwadzieścia kilka lat nie mogą się wyłgać z tego, co zrobili. W swojej historii przedstawiają, że chcieli, ale nie mogli wejść do Warszawy. Teraz w różnych wydawnictwach twierdzą, że tylko w złym momencie było powstanie, ale że to była bohaterska walka z Niemcami. Nigdy się nie wypłaczą, aż do momentu, kiedy padną na kolana i powiedzą: Zrobiliśmy Warszawie świństwo. [...] Dopóki Rosjanie nie wezmą na siebie winy za Warszawę, to oni będą kłamcami w opinii polskiej. Katyń

– to jest coś innego – potworność zbrodni. [...] Niech p. Steiner zajrzy do historii rosyjskiej i zobaczy, jak się oni tłumaczą i kręcą.

► **Stalin był policjantem, a nie politykiem, i miał zamiar zniszczyć AK.**

Ale Stalin jednocześnie godził się na wykorzystanie AK na polu walki. I sądziłem, że Stalin i tu wykorzysta naszą walkę dla swoich celów. Oczywiście, w swoich przypuszczeniach mogłem robić omyłki – to jest ludzka rzecz. Gdyby AK nie podjęła walki o Warszawę, to Stalin by to natychmiast wykorzystał przeciw nam i przeciw Polsce: była AK, ale jak przyszedł front do Warszawy, to już jej nie ma. Miałby szlem do wygrania. I wielu Polaków byłoby tego zdania, że AK to gromada tchórz. [...]

► **Czy wolność miała nastąpić zaraz? Czy wiedzieliście, że Polska nie będzie wolna, ale chcieliście umierać jako wolni?**

Nie. Nie chcieliśmy umierać, ale nam kazano. [...] Broniliśmy swoich praw do udziału naszego w przyszłym zwycięstwie aliantów – w decyzjach kongresowych. Chcieliśmy się przyczynić do obrony tego wszystkiego, co się nazywa Polską. Wierzyłem, że Polska będzie miała prawo do egzystencji, i że my się naszą walką do tego przyczyniamy. [...]

► **Jaka była myśl przewodnia planu? Jaki plan polityczny?**

Nieodparta chęć odebrania Warszawy Niemcom wysiłkiem żołnierza polskiego. [...]

► **Sądziлиście, że milion ludności Warszawy powstanie?**

Nie. W AK było w Warszawie 40 tysięcy i liczyliśmy na pomoc.

► **Sądziлиście, że jak długo walka będzie trwała?**

Kilka dni. Wiązaliśmy siły niemieckie. Armia Czerwona mogła wchodzić. Sądziliśmy – najwyżej tydzień. [...] Rosjanie wchodzią, to muszą z naszych rąk odebrać Warszawę. My nie rozpoczynamy z nimi walki, pierwsze strzały padłyby z rąk Rosjan albo zrobiliby jakieś inne świństwo, jakąś pułapkę. Było przemyślane, że zrobimy wtedy koncentrację ciasno w jakiejś jednej dzielnicy...

► **Przed powstaniem czy w czasie powstania był taki plan?**

Przed powstaniem.

► **Gdzie ta reduta miała być?**

W moim pomysle na zachód od Politechniki. [...]

► **A gdyby byli przyjacielscy?**

To byśmy chcieli, aby oddali nam miasto, i wtedy nasza administracja (objęłaby funkcje). [...]

► **Były dwie tendencje: wcześniej i nie za wcześniej.**

Wszyscy byli za tym, aby nie za wcześniej, tylko dla jednych to „za wcześniej” było w innym momencie. Raczej – jak można najpóźniej, ale nie wtedy, kiedy Rosjanie byłiby już na moście. [...]

► **Ostatnia kwestia – kapitulacja, odejście do obozu, Rosjanie stoją u wrót Warszawy. Jaki jest bilans dla Generała? Co Generał myśli o tym?**

Jeśli by miały być wątpliwości, czy żałowałem tego? Nie. Nie było takiego momentu, żebym żałował, że byłem w grupie, która decydowała o walce. Nigdy nie byłem zachwiany w wierze w słuszność walki.

► **Co Generał myślał wtedy, co odczuwał?**

Że walka o wolność Polski jest bardzo kosztowna. Ale ja wszystko apróbowałem do końca.

► **A gdyby trzeba było powtórzyć?**

Powtórzyłbym wszystko, oprócz tego natarcia z Żoliborza. Pewno bym to natarcie trochę zmienił. Powstanie Warszawskie ma ogromne znaczenie dla przyszłości całego narodu i ono nie straci swojej wartości, zwłaszcza gdy Polska znajduje się w niewoli. I kiedy wróg wszystko robi, aby to wydarzenie pomniejszyć. [...]

► **Czy mieliście wrażenie, że osiągnęliście cel?**

Tak.

► **Ten cel – to było światło, które trzeba było zapalić przy wejściu do czarnego tunelu. Zapaliliście stos, którego płomień nigdy nie zgaśnie.** ■



Sylvia Krasnodębska
Polskie Radio



TARZAN: bitwa o lunch

Tajemniczą dżunglę
zamienił na studio
greenbox, upolowaną
zwierzynę na precyzyjnie
przygotowane przez
dietetyków obiady dla
osiłków, a bardziej od
gimnastyki na lianach
ceni sobie spotkania
z osobistym trenerem
crossfitu. I co z tego, że
ma już ponad 100 lat,
skoro dla filmowców
wciąż pozostaje żyłą
złota. Porównujemy
kinowych Tarzanów
– współczesnego z tym
sprzed prawie wieku.

Tarzan na przestrzeni dziejów miał wielu wrogów. Od dzikiej zwierzyny w Kongo przez nowojorską policję po niemieckich spadochroniarzy. Z biegiem lat ma też coraz bardziej wyrafinowaną muskulaturę. I wciąż udowadnia, że choć człowiek nie musi pochodzić od małpy, to niewiele mu do niej brakuje.

► Ile Tarzana w Tarzanie?

Ten najnowszy, z filmu „Tarzan: Legenda” – Alexander Skarsgård – aby uzyskać spektakularne umięśnienie przystające do wyobrażeń o królu dżungli, na cztery miesiące zamieszkał na siłowni, na której, z krótkimi przerwami na sen, intensywnie trenował. Czy jednak bajeczne mięśnie brzucha – bo na nie sztab trenerów położył szczególny nacisk – wystarczą, by mężczyznę zamienić w Tarzana? Być może. Żyjemy bowiem w czasach, w których przebieżka na bosaka po leśnej ścieżce bez pulsometru i odżywek dla biegaczy to szalone ekstreum. Pytanie zatem, ile testosteronu odebrały Tarzanowi zwyczaje, którymi rządzi się świat XXI wieku?

Tarzan A.D. 2016 stracił z pewnością na wodzowskim autorytecie, charyzmie króla lasu, a co gorsza – na dzikości. Jest zamyślony, refleksyjny, a nawet momentami, o zgrozo, romantyczny! Ale wróćmy do początku opowieści reżysera Davida Yatesa w filmie „Tarzan: Legenda”. Tarzan już od wielu lat chadza w butach i jako lord John Clayton III mieszka w Londynie. Do dnia, gdy zostaje wysłany przez rząd z tajną misją do Konga. W nie-

winną podróż, która zamieni się w krwawą jatkę, wybiera się z nim żona. Czasy są bowiem takie, że niewiasty same decydują o swoim losie, więc Tarzan, bez względu na średnicę bicepsa, może jedynie przytaknąć. Okaże się jednak, że na miejscu grasuje chciwy i niebezpieczny kapitan Leon Rom (Christoph Waltz), który zrobi wszystko, by pojąć cennego w tych rejonach Tarzana. O ile nasz bohater będzie trudnym łupem dla złoczyńców, o tyle jego żona już nie... I tak walka o przetrwanie w dżungli nabierze nowego znaczenia.

► W erze kina niemego

Tarzan wyszedł spod pióra Edgara Rice'a Burroughsa w 1912 r. Opowieść o bohaterze spotkała się niemal natychmiast z wielką sympatią czytelników, co sprawiło, że amerykański pisarz wydał jeszcze 26 książek o przygodach Tarzana, w tym trzy dedykowane dzieciom. Pierwsza filmowa adaptacja zachwyciła widzów w 1918 r. Warto wrócić

jak czekać, aż usta pięknych zakochanych zetkną się w malowniczych okolicznościach przyrody. Ale ponieważ to produkcja sprzed 98 lat, kulminacyjnych scen nie będzie. I nie umniejsza to bynajmniej satysfakcji widza.

Bohater wielokrotnie podczas triumfalnego uderzenia się w klatkę piersiową „wydaje” charakterystyczny tylko dla Tarzana okrzyk. I widzowi nie trudno się nim zachwycić, mimo... że jest to film niemy. Oto prawdziwa magia kina.

► Między prawem dżungli a prawami rynku

Wspomniana produkcja sprzed wieku zapoczątkowała serię filmów, które w następnych latach wysypywały się jak z rękawa. Pierwszy film dźwiękowy powstał w 1929 r. i trwał prawie 4,5 godziny (!). Warto wspomnieć, że w 1932 r. wcielił się w niego mistrz olimpijski w pływaniu stylem dowolnym Johnny Weissmuller. Sportowiec odgrywał Tarzana w aż 12 filmach przez 12 kolejnych lat.

ŻYJEMY W CZASACH, W KTÓRYCH PRZEBIEŻKA NA BOSAKA PO LEŚNEJ ŚCIEŻCE BEZ PULSOMETRU I ODŻYWEK DLA BIEGACZY TO SZALEŃCZE EKSTREMUM. PYTANIE ZATEM, ILE TESTOSTERONU ODEBRAŁY TARZANOWI ZWYCZAJE, KTÓRYMI RZĄDZI SIĘ ŚWIAT XXI WIEKU?

do tej produkcji wyreżyserowanej przez Henry'ego MacRae'a. Scena, w której młody Tarzan kryje się przed lwem, albo ten już dorosły wskakuje na słonia, jest dla współczesnego widza doświadczeniem niezwykłym i być może wzbudzającym większe emocje niż potyczki współczesnego Tarzana, zrealizowane dzięki technologiom *motion capture*. Godzinny film niemy „Tarzan of the Apes”, bo o nim mowa, to pierwsza ekranizacja przemiany chłopca we władcę małp. Tarzan jest tu potężnym panem z iście piwnym brzuchem, który nie boi się stanąć do walki o śmierć i życie z lwem. Jego pierwotne instynkty kierują go naturalnie w stronę bezbronnej niewiasty Lady Jane (Natalie Kingston). I tak oto szorstki dzikus rozpoczyna polowanie na wążką kobietę. Przedstawiony tu wątek miłosny ma w sobie ten czar, który dziś w kinie już trudno dostrzec. Magia niemego kina sprawia, że współczesnemu widzowi nie pozostaje nic innego,

W 1984 r. kreację króla dżungli odświeżył Christopher Lambert.

Wśród superbohaterów, takich jak Superman, Iron Man czy Spiderman, Tarzan ma jednak miejsce szczególne. Wzbudza inne emocje od kinowych hero... Można to wytłumaczyć tęsknotą za dziką naturą, której emanacją jest właśnie on. A właściwie John Clayton, syn brytyjskich arystokratów, którzy znaleźli się wraz z dzieckiem na afrykańskim odludziu. Matka chłopca zginęła bardzo szybko. Ojciec został zamordowany przez potężnego goryla. A John, przysparzany przez małpę, wzrastał zgodnie z przyjętymi normami buszu. Stworzony przez Burroughsa tajemniczy gatunek małp posługiwał się swoim, niepowtarzalnym językiem. To z niego właśnie zaczerpnięte było imię dla dziecka – Tarzan. A pochodzenie od małpy jest prywatną sprawą każdego z nas. ■

Arkadiusz Kozłowski

Nowe życie starych brzmień

Prawie 40 albumów w dorobku, z tego przynajmniej 15 genialnych. Pięć dekad na szczycie z wynikiem sprzedaży swoich płyt na poziomie 125 mln. Dla historii muzyki popularnej nazwisko Dylan to słowo klucz, bez którego opowieść o ewolucji rocka, folku czy popu drastycznie błędnie.

Dylan (Robert Allen Zimmerman) obchodzi właśnie 75. urodziny. Mimo wieku pozostaje czynnym muzykiem, wydającym albumy, koncertującym, dającym świadectwo obecności na rynku. Od wielu lat jego muzyczne propozycje ogniskują zainteresowanie tylko wiernych fanów, choć nadal globalnie liczymy ich w milionach. Bob gra swoje, krytycy wciąż grymaszą nad jego wokalem, a stacje radiowe z coraz mniejszym optymizmem prezentują premierowe piosenki mistrza.

Trzeba jednak przyznać, iż wydana w 2015 r. płyta „*Shadows in the Night*” ponownie podniosła temperaturę dyskusji. A zasadniczym problemem była decyzja artysty o nagraniu swojego wariantu „*Great American Songbook*”, czyli zestawu interpretacji amerykańskich klasyków z lat 40. i 50. Sytuacja była nerwowa, bo spora grupa recenzentów nie chciała przyjąć do wiadomości, iż mistrz rockandrollowego słowa, który kolejne dekady był artystycznie samowystarczalny, wciela się w rolę Franka Sinatry. Pomimo tych kontrowersji płyta zaliczyła się do TOP 10 najlepiej sprzedających się płyt w 17 krajach.

Wydany ostatnio album „*Fallen Angels*” to klasyczna „powtórka z rozrywki” z Frankiem Sinatrą w tle. 12 utworów autorstwa m.in. Johnny’ego Mercera, Harolda Arlena i Carolyn Leight, które kiedyś w swoim repertuarze miał Sinatra. Sentymentalna opowieść różniąca się od kilkunastu innych na rynku tym, że Dylan odrzucił brzmienie orkiestrowe przypisane tej estetyce i oparł się na nieograniczonych możliwościach swojego zespołu

koncertowego. Bowiem muzyczne CV muzyków Boba budzi respekt.

Podczas prac nad krążkiem do mediów docierały tylko dobre wieści. Realizujący album Al Schmitt potwierdzał doby nastrój mistrza i wyluzowany klimat w studio nagraniowym. Podsumowując, stwierdził: „Wszystko idzie świetnie. Dylan brzmi fantastycznie. Jesteśmy jak dwa stare, dopasowane buty”.

Płytę rozpoczyna kompozycja „*Young at Heart*”, która już po kilkudziesięciu sekundach potwierdza słowa Ala Schmitta. Słyszymy swingujących po mistrzowsku muzyków i zrelaksowanego Dylana, którego głos brzmi zniewalająco. Kolejne utwory potwierdzają ten wstępny osąd – ze wskazaniem na „*All or Nothing at All*”, „*It Had to be You*” czy też singlowy „*Melancholy Mood*”. Poza konkurencją pozostaje Dylanowska wersja „*That Old Black Magic*”, która swoją wyciszoną witalnością deklaruje inne wykonania tego utworu.

Album w Stanach i Europie zebrał bardzo przychylne recenzje. Podkreślano wokálną formę artysty, swingowanie muzyków oraz delikatną produkcję eksponującą nostalgiczną zwiewność melodii.

Album w Stanach i Europie zebrał bardzo przychylne recenzje. Podkreślano wokálną formę artysty, swingowanie muzyków oraz delikatną produkcję eksponującą nostalgiczną zwiewność melodii.

Sporadycznie pojawiały się opinie, że Dylan stąpa po cienkim lodzie powierzchowności, koncentrując się na odtwarzaniu emocji

z zamierzonych lat i że nie powinien wracać do przeszłości, w dodatku nie swojej. Zawsze nagrywał kompozycje podpisane Dylan – raz genialne, raz tylko przyzwoite, ale zawsze jego. Od człowieka, który dokonał kilku przewrotów estetycznych w muzyce rozrywkowej, który doprowadził słowo pisane do poziomu genialnej poezji, winniśmy wymagać więcej.

Wiekowy Bob Dylan czuje potrzebę śpiewania staroci granych w czasach, gdy był dzieckiem. Może potrzebuje tego, aby odetchnąć, uronić wspomnieniom łzę? Może to już koniec wielkiej kreacji, a może tylko czas na przegrupowanie własnych pomysłów? Będziemy czekać na kolejne płyty z wielkim szacunkiem i spokojem. Jak zawsze. ■



Bob Dylan „*Fallen Angels*”, Columbia Records 2016



fot. mat. pras.

W tym roku festiwal odbył się już po raz szósty. Dwa dni i około 30 zespołów. Cztery tysiące gości, górna granica możliwości tego typu imprezy. Obok młodych punkowych zespołów zagrały także legendy. Ze sceny, jak co roku, usłyszeć można było dużo ważnych słów. Pod nią spotkać ludzi związanych z różnymi subkulturami, którzy już dawno, przynajmniej na oko, z nich wyrosli. To możliwe chyba tylko tam.

Krzysztof Karnkowski



Dźwiękowa pocztówka z Bagien

► Strękowa Góra, czyli jak to się wszystko zaczęło

Czemu się zresztą dziwić, skoro Jarocin swój najlepszy czas przeżywał w połowie lat 80. Ówczesni kilkunasto- i dwudziestolatki zdążyli założyć rodziny, pójść do pracy, pozakładać firmy, wychować dzieci... i wrócić do muzyki swojej młodości, pod sceną albo i na niej. Goniądzki festiwal prawie co roku jest świadkiem spektakularnego powrotu jakiejś kapeli sprzed lat. Warto jednak zacząć od początku.

Najważniejszą postacią jest tu Jacek Żędzian, znany jako Żaba – organizator, dyrektor, główna siła sprawcza festiwalu. Aż trudno uwierzyć dziś, że to nie on był jego pomysłodawcą. Żaba wspomina: „Pomysł na Bagno wziął się od współpracującego z gminą Zawady Piotra Znanieckiego, który pomógł zdobyć ówczesnemu wójtowi gminy, Pawłowi Pogorzelskiemu, środki z UE na dwie edycje polsko-litewskiego festiwalu rockowego. Była kasa, ale nie było wykonawcy. Po pewnym okresie poszukiwań odważnej osoby, która zorganizuje takie przedsięwzięcie, Piotr trafił w Internetcie na reklamę jakiegoś koncertu, który organizowałem w Mońkach. W ten oto sposób wybór padł na mnie”.

Pierwsza edycja odbyła się w innej lokalizacji i odmiennej formule niż późniejsze festiwale. Imprezę gościła Strękowa Góra we wspomnianej gminie Zawady, miejscowość położona tuż obok łatwej do pomylenia z nią Góry Strękowej, w której podczas obrony tego odcinka Wizny walczył w 1939 r. słynny kpt. Raginis. W 2010 r. Rock na Bagnie trwał trzy dni, podczas których na scenie pojawili się muzycy z Polski i Litwy, grający różne odmiany muzyki rockowej. Liczna była reprezentacja sceny metalowej. Przez ten czas na imprezie bawiło się około 1000 osób, dla których zagrało 56 zespołów.

Rok 2011 uznać można za zapowiedź późniejszego kształtu festiwalu. Jeszcze w pierwszej lokalizacji, jeszcze z dużą reprezentacją gości z Litwy, ale już z wyraźnie punkrockowym charakterem, podkreślonym wielkim powrotem zespołu TZN Xenna. Reaktywacja, jak się wówczas wydawało jednorazowa, zelektryzowała fanów i stała się olbrzymim wydarzeniem. Kto dotarł wówczas do Strękowej Góry, festiwalu nie zapomni również z przyczyn pozamuzycznych. Załamanie pogody sprawiło, że nazwa imprezy stała się o wiele bardziej dosłowna. Internet obiegił bardzo widowiskowe zdjęcia pływających w wodzie namiotów. Część terenu festiwalowego stała się prawdziwym bagnem, a droga, którą zespoły docierać miały z szosy na scenę, zamieniła się w wielkie jezioro. Mimo takich okoliczności chyba nikt nie żałował tamtej wyprawy, jak się wówczas wydawało, ostatecznie. Liczba uczestników podwoiła się w stosunku do poprzedniego roku, festiwal zaczął zdobywać sobie pewną rozpoznawalność. Pierwszy raz miałem okazję brać wówczas udział w Rocku na Bagnie. Ujął mnie wtedy specyficzny klimat podróży w czasie, nie tylko muzycznej, lecz także towarzyskiej. Grając ze swoim zespołem Spirit of 84, doceniłem od razu życzliwe

Do Goniądza dojechać i łatwo, i trudno. Teoretycznie jeżdżą tam pociągi z Białegostoku, tyle że jest ich niewiele, do tego zaś dworzec PKP oddalony jest od miasta o 3 kilometry. Najlepiej dojechać więc do Moniek, stamtąd zaś zorganizować sobie dalszą podróż moniecką taksówką. Grunt, że co roku na miejsce udaje się do trzech kilku tysięcy ludzi. Chciałoby się napisać „młodych ludzi”, tyle że festiwal Rock na Bagnie ściąga do Goniądza dwa, a może i trzy pokolenia fanów muzyki o „jarocińskich” korzeniach.

podejście do przewijających się przez scenę muzyków, które w przypadku mniej znanych wykonawców nie jest wcale normą. Bagno wydawało się świętem ludzi, którzy w czasach komercjalizacji muzyki mieli zniknąć wraz z dawnym Jarocinem i wybić kłów subkulturą z lat 80., o którym często wspomina w swojej publicystyce Piotr Lisiewicz. Nie zniknęli, o czym można przekonać się na imprezach, na których wielkie pieniądze zastępuje szczere zaangażowanie uczestników.

► Jesteśmy przecież na Podlasiu

Strękowa Góra okazała się jednak kiepskim miejscem na tego typu wydarzenie. Brak infrastruktury na dużą imprezę plenerową, brak jakiegokolwiek zaplecza i jeden, nienadający się do obsługi klientów festiwalu sklep ze sprzedawcą narzekającym na zbyt duży tłum klientów złożyły się na to, że formuła się wyczerpała. Zawinięcia polityczne, które sprawiły, że dla rocka nie było już dobrego klimatu w gminie Żawady, wyszły chyba wszystkim na dobre. „Zmiana lokalizacji ze Strękowej Góry na Goniądz była konieczna z tego względu, że w Żawadach zmienił się wyjął, który nie był zainteresowany kontynuacją niczego, co stworzył jego poprzednik” – wspomina Jacek Żędziak. Festiwal na rok zniknął z mapy letnich atrakcji koncertowych, by w 2013 r. powrócić, już w Goniądzu, małym, malowniczym miasteczku położonym nad Biebrzą. Niesamowite wschody i zachody słońca nad bagnami Biebrzańskiego Parku Narodowego są dodatkową atrakcją dla co wrażliwszych słuchaczy. Nowym organizatorem została Fundacja na rzecz Rozwoju Powiatu Monieckiego.

Nowego miejsca i warunków Żaba nie może się nachwalać. „Fundacja na rzecz Rozwoju Powiatu Monieckiego stworzyła bardzo dobre warunki i ekipę, z którą organizuję imprezę. Wcześniej sam musiałem pilnować drobiazgów, jak czas pobytu zespołu na scenie, donosić wodę dla kapel, pilnować, aby ochrona nie była nadgorliwa itp. Teraz jest świetnie zgrany zespół, a każdy wie, co do kogo należy – biuro festiwalowe, bramy wjazdowe, osoby pod sceną doglądające, by nic nikomu się nie stało, pilnujące czasu zespołów, wody, cateringu itp. Stała się z tego już dosyć spora machina z wieloma trybikami. Także świetna lokalizacja festiwalu w małym przytulnym miasteczku jest dużą różnicą w porównaniu do Strękowej Góry” – mówi.

Co ważne, udało się wypracować formułę koegzystencji z mieszkańcami, co w przypadku tego typu imprez nie zawsze jest normą. Na festiwal mogą oni wejść taniej (dzieci za darmo), a w trakcie jego trwania mają możliwość darmowego rozstawienia kramów i sprzedaży własnych wyrobów na goniądzkim rynku. Zresztą i na terenie festiwalu pojawiają się stoiska z produkcją regionalną, zaś obok klasycznych imprezowych karkówek, kiebas i frytek, zjeść można kartacze i babkę ziemniaczaną – jesteśmy przecież na Podlasiu. Ta specyfika, razem z muzyką, przekłada się na oficjalne formy uznania: w 2014 r. festiwal dostał na-

grode wojewody podlaskiego za najlepszą inicjatywę na rzecz kultury i dziedzictwa narodowego. W tym samym roku Urząd Marszałkowski wraz z Podlaską Regionalną Organizacją Turystyczną zaliczyli imprezę do grona 10 największych atrakcji turystycznych województwa.

► Tu wszyscy czują się jak w domu

W tym roku festiwal odbył się już po raz szósty. Dwa dni i około 30 zespołów. Cztery tysiące gości, góra granica możliwości tego typu imprezy. Obok młodych punkowych zespołów, do których należą Cygański Wiatr czy Lazy Class, po raz kolejny w Goniądzu zagrały takie legendy, jak Karcer i TZN Xenna, zaś listę reaktywacji (wpisać na nią trzeba też zespół 4 Kopniętych i Fred, grający na Bagnie dwa lata temu) uzupełnił pamiętany z Jarocina 1985 r. Iwo Partizan. Ze sceny, jak co roku, usłyszeć można było dużo ważnych słów. Pod nią spotkać ludzi związanych z różnymi subkulturami, którzy już dawno, przynajmniej na oko, z nich wyrosli. Uderzała symbioza osób, koszulkami deklarujących poglądy od patriotycznych do anarchistycznych – bez żadnych tarć i przepychanek. To możliwe chyba tylko tam.

Zagraniczną gwiazdą był angielski zespół Peter & Test Tube Babies, niestrudzenie grający szczerze, mocno podłanego piwem punk rocka od początku lat 80. Trochę niekoniecznie punkowej publiczności przyciągnęli Maleo Reggae Rockers i Closterkeller. Czy na Bagnie czuć więc ducha starego Jarocina? – pytam Grzegorza Witkowskiego, autora serii książek poświęconych temu festiwalowi i bywalca goniądzkich koncertów. – Czas są inne – mówi Witkowski. – Trudno porównywać, ale na pewno jest na Rocku na Bagnie coś z tamtych czasów. Przede wszystkim tu muzycy i publiczność stanowią jedność. Nie ma podziału. Jemy, pijemy i bawimy się razem. Bagno jest festiwalem stosunkowo niewielkim, ale dla mnie to zaleta. Przypomnę, że uznawany po latach za najlepszy Jarocin '84, zgromadził jedynie 15 tys. słuchaczy, a więc nie był to rekord. Czyli nie liczba widzów stanowi o sukcesie imprezy. Trzeba też wspomnieć, że do Goniądza przyjeżdża w tej chwili większość starej załogi jarocińskiej, dlatego że Jarocin po reaktywacji nie znalazł dla niej oferty... A na Bagnie wszyscy czują się jak w domu. Plusem jest też przepiękne otoczenie, nad Biebrzą. A to wszystko bez wielkich pieniędzy i sponsorów. Na Podlasiu potrafią oszczędzać i liczyć pieniądze i pewnie dlatego udaje się to wszystko zrobić przez tyle lat – dodaje.

Bywalcy festiwalu prawie zawsze zwracają uwagę na te same rzeczy, które powodują, że przyjeżdżają tu co roku – wyjątkowość Goniądza, specyficzny mikroklimat towarzyski i geograficzny. Muzyka też jest oczywiście ważna, ale nie chodzi tylko o nią. Na festiwal przekazać można 1 proc. podatku i co roku decyduje się na to coraz więcej osób – w tym było ich co najmniej 200, czyli 5 proc. wszystkich uczestników. To pokazuje skalę przywiązania bagiennej publiczności. Na przełomie czerwca i lipca przyszłego roku spotkamy się ponownie. ■



Wyśmiewam szaleństwa rzeczywistości

Pyta pani o to, czy spotykam ludzi nazywających się elitą intelektualną, a w rzeczywistości brak im tolerancji... Niestety, muszę stwierdzić, że tak. Powiem więcej, jest ich bardzo wielu – z **Edoardo Marią Falcone**, reżyserem filmu „Jak Bóg da”, rozmawia **Sylwia Krasnodębska** (Polskie Radio).



fot. mat. pras.

► **Już 26 sierpnia na ekrany polskich kin wejdzie Pana film „Jak Bóg da”. Pokazuje Pan w nim świat, w którym łatwiej jest wyznać, że jest się gejem, niż powiedzieć, że chce się zostać księdzem. Ile w tej opowieści fikcji, a ile realu?**

Wydarzenia, o których opowiada film, są treścią komedii. Jasne jest więc, że mamy tu do czynienia z pewnymi paradoksami. Nie warto dociekać, czy cała ta historia jest prawdziwa, czy nie. Ale pytanie o fikcję i real jest zasadne. W każdym razie ten film to tylko sposób na wyśmianie, ironiczne potraktowanie naszej obecnej rzeczywistości i jej szaleństw.

► **Stworzył Pan coś na kształt komedii religijnej. Odważne...**

Szczerze powiedziawszy, ja nie określiłbym tego filmu jako komedii religijnej. W moim odczuciu to film, który opowiada o ludziach, o ich wątpliwościach i o tym, jak zmieniają się nasze poglądy. Wątki religijne pozostają w tle.

► **Odbieram Pana opowieść inaczej. Bóg pojawia się w tytule Pana filmu. Wątki religijne determinują wybory bohaterów. Pana bohater to ateista, który dowiaduje się, że jego syn planuje zostać księdzem. Czy często spotyka Pan ludzi, którzy z jednej strony są elitą intelektualną, a z drugiej brak im tolerancji?**

Jesteśmy otoczeni przez ludzi, którzy szafują słowem demokracja i głoszą, że powinniśmy szanować siebie nawzajem, ale w rzeczywistości mieliby problem, by powiedzieć, co te słowa tak naprawdę oznaczają w praktyce. Pyta pani o to, czy spotykam ludzi nazywających się elitą intelektualną, a w rzeczywistości brak im tolerancji... Niestety, muszę stwierdzić, że tak. Powiem więcej, jest ich bardzo wielu.

► **Komedie to dla widza lekka forma. Ale często słyszałam, że dla reżyserów przeciwnie – szczególnie trudna. Czy to prawda? Dlaczego tak jest?**

Pisanie i reżyserowanie komedii nie jest proste. To gatunek filmowy, który ma własne reguły. I jeśli ktoś chce się nim zajmować, powinien znać go dobrze. Aby osiągnąć pożądane rezultaty, konieczna jest obsesyjna wręcz dbałość o scenariusz i o to, by odpowiednio pokierować aktorami. A mimo to i tak są tacy, którzy uważają ten gatunek filmowy za filmy klasy B. To nieuzasadnione. Ja kocham komedie. Są częścią mnie i mojego sposobu widzenia spraw. I mam nadzieję, że będę kontynuował zajmowanie się tym gatunkiem filmowym z taką samą pasją, jak do tej pory. ■

Corey Harris: blues źródeł na Rawie Blues

Pierwszy dzień Rawy Blues rozpocznie się muzyką wypływającą wprost ze źródeł. Tą, która złożyła się na bluesowy gen, rozwijany w różnych odmianach gatunku i nurtach muzyki popularnej. Trzydziestą szóstą edycję festiwalu zainauguruje amerykański wokalista i gitarzysta Corey Harris.



sa, Bookera White'a, zapowiadał „wielką czarną nadzieję akustycznego bluesa”. Harris postawił sobie za cel ocalić od zapomnienia tradycję i potencjał bluesa płynące z jego źródeł. Za drugi album „Fish Ain't Bitin'” z 1997 r. otrzymał prestiżową Blues Music Award. Na kolejnych prezentował swoją twórczość w szerszym kontekście kultury muzycznej, od Kamerunu, Mali i Karaibów do Nowego Orleanu. Do najbardziej interesujących w płytowym dorobku należą takie pozycje, jak „Mississippi to Mali”, „Fulton Blues”, „Greens from the Garden” czy wydany w ubiegłym roku „Live! From Turtle Island”. Nagrywał też z innymi wielkimi artystami bluesa: B.B. Kingiem i Buddym Guyem oraz przedstawicielem nurtu world music Ali „Farka” Touré.

Urodził się w stanie Kolorado – geograficznie i kulturowo daleko od kolebki bluesa Delt Mississippi. Ale fascynacja afroamerykańskim dziedzictwem muzycznym, a następnie wnikliwe poznawanie go, również w formie studiów nad jego afrykańskimi korzeniami, ukształtowały Coreya Harrisa jako artystę i znawcę kultury muzycznej. Przez rok mieszkał w Kamerunie, zgłębiał tam wiedzę o afrykańskim folklorze i zbierał cenne muzyczne doświadczenia. Uczestniczył potem w ważnym dyskursie nad autentyzmem i losami bluesa we współczesnym świecie show-biznesu.

Jego pierwszy album „Between Midnight and Day” wydany w 1995 r., zawierający interpretacje bluesowych standardów, m.in. Charleya Pattona, Sleepy Johna Este-

Coreya Harrisa wysoko oceniła kapituła Bractwa MacArthura. Przyznając mu swoją nagrodę, uznała go za oryginalnego artystę, którego działalność wyróżnia się znacznym potencjałem kreatywności. A to współcześnie bezcenna cecha muzyka hołdującego korzeniom bluesa.

Pierwszego dnia Rawy Blues w sali NOSPR wystąpi jeszcze jeden znakomity amerykański artysta – Keb' Mo' z zespołem śląskich bluesmenów i 60-osobową Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia. Cały festiwal zapowiada się niezwykle interesująco!

Bilety na 36. Rawa Blues Festival (30.09.–1.10.) dostępne są w całym kraju, w sieci Ticketpro. Szczegółowe informacje o cenach wejściówek: www.rawablues.com oraz na oficjalnym facebookowym fanpage'u Rawa Blues Festival. ■

Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 30.09.2016 GODZ. 19.30

**KEB' MO' & NOSPR
COREY HARRIS SOLO**

SPODEK 1.10.2016

**JJ GREY & MOFRO
SHEMEKIA COPELAND
ALBERT LEE
TORONZO CANNON
SHAKIN' DUDI
DŻEM**

**KRZYSZTOF GŁUCH OSCILLATE ★ JOE COLOMBO FEAT. KASIA SKOCZEK
HOT TAMALES ★ CHEAP TOBACCO ★ F*CK THE PEOPLE ★ JANUSZ HRYNIEWICZ**

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

*Pokój Numer 3, Levi, Black Job, Black Bee, Blues Drawers
Elephant's Escape, Forsal, Jurajski Oddział Bluesowy*

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski.

info: www.rawablues.com bilety: www.ticketpro.pl



Przeciw chińskiemu okrucieństwu

Hanna Shen



Chiński rząd twierdzi, że od 2015 r. nie są już pobierane organy od więźniów i że wszystkie narządy do transplantacji w lokalnych szpitalach pochodzą od dobrowolnych dawców. Jednak ujawniony w czerwcu tego roku raport pt. „Krwawe żniwo. Rzeź” temu zaprzecza i pokazuje, że w ChRL nadal na masową skalę pobiera się organy od więźniów sumienia. W proces ujawniania zbrodni, do jakich dochodzi w Państwie Środka, angażuje się coraz więcej osób.

W 2006 r. Kanadyjczycy David Matas, prawnik zajmujący się prawami człowieka, i David Kilgour, były sekretarz stanu tego kraju, po raz pierwszy opublikowali raport (organharvestinvestigation.net/report0701/report20070131-eng.pdf), w którym opisali rolę, jaką odgrywają chińskie władze w pobieraniu organów od więźniów, przede wszystkim członków ruchu Falun Gong, lecz także chrześcijan, Tybetańczyków i Ujgurów. W czerwcu br. Matas i Kilgour we współpracy z Ethanem Gutmannem, amerykańskim dziennikarzem śledczym i autorem książki pt. „Rzeź – masowe morderstwa, nielegalne pobieranie organów a sekretne rozwiązanie problemu dysydentów w Chinach”, przygotowali drugą część raportu. Nosi ona tytuł „Krwawe żniwo. Rzeź” i pokazuje, że proceder pobierania organów od więźniów w Chinach nie został zatrzymany, jak próbują przekonywać władze w Pekinie.

► Setki tysięcy organów od więźniów

Oficjalne dane chińskie mówią o 10 tys. transplantacji dokonywanych w Państwie Środka w ciągu roku. Twórcy raportu twierdzą, że liczba ta wynosi 60–100 tys. W ciągu ostatnich 16 lat wykonano w Chinach 1,5–2,5 mln przeszczepów i większość organów potrzebnych do operacji pochodzi właśnie od więźniów. Autorzy raportu piszą, że dużo większe liczby od tych oficjalnych, publikowanych przez władze, można otrzymać po zsumowaniu danych pochodzących z chińskich szpitali, w których przeprowadza się transplantacje. I tak dane rządowe mówią tylko o ponad 100 szpitalach, gdzie dokonuje się przeszczepów, tymczasem autorzy raportu skontaktowali się z ponad 700 tego typu placówkami.

Te nieprawdziwe statystyki rządowe mają po prostu ukryć fakt, że na potrzeby większości zabiegów narządy pobiera się od więźniów. A na całym procedurze zarabiają partyjni aparaczczyki, szpitale i lekarze. A klienci są na całym świecie. Narządy skazanych dysydentów są sprzedawane tzw. turystom – oczekującym na przeszczepy chorym z innych państw Azji, USA i Europy, a także bogatym obywatelom ChRL. Pobrane w prawidłowy sposób organy mogą przynieść zysk w granicach 200–300 tys. dolarów od każdej ofiary.

► Handel organami – świetny biznes

Na stronie jednego ze szpitali Armii Ludowo-Wyzwoleńczej czytamy, że w ostatnich latach ośro-

dek transplantacji znajdujący się w tej jednostce „stał się głównym zakładem opieki zdrowotnej przynoszącym zyski z dochodem brutto 30 mln juanów [około 17,8 mln zł] w 2006 r., a w 2010 r. już 230 mln juanów [około 136 mln zł] – co jest niemal ośmiokrotnym wzrostem w ciągu pięciu lat”. Podobnie szpital Daping w mieście Chongqing, dokonując transplantacji, powiększył dochody z 36 mln juanów (około 21 mln zł) pod koniec lat 90. do 1 mld juanów (około 600 mln zł) w 2009 r.

Ale poza informacjami, jak rozwijają się ośrodki transplantacji, na stronach szpitali można też znaleźć wyrazy wdzięczności dla władz, bez których ten „postęp” byłby niemożliwy. „Wykonanie tak dużej liczby transplantacji narządów co roku było możliwe dzięki wsparciu udzielonemu nam przez rząd, za co składamy wyrazy podziękowania. W szczególności dziękujemy Najwyższemu Sądowi Ludowemu, Najwyższej Prokuraturze Ludowej, systemowi bezpieczeństwa publicznego, systemowi sądowniczemu, Ministerstwu Zdrowia i Ministerstwu Spraw Cywilnych – to dzięki wspólnie wprowadzonemu przez te instytucje regulacjom możliwy był zakup narządów; mieliśmy wsparcie i ochronę rządu. Jest to jedyny w swoim rodzaju taki przypadek na świecie” – czytamy na stronach internetowych Chińskiego Szpitala Uniwersyteckiego w Shenyang.

► Nerki od członka ruchu Falun Gong

Rok temu kanadyjski reżyser Leon Lee wyprodukował film pt. „Ludzkie żniwo”, będący zapisem wywiadów, jakie Matas i Kilgour przeprowadzili z osobami, które udały się do Chin, aby tam poddać się zabiegom transplantacji. W wielu zachodnich państwach na takie operacje czeka się miesiącami, a nawet latami, a w Chinach niecały miesiąc. Twórcy filmu, udając pacjentów oczekujących na transplantację, dzwoniли do chińskich szpitali i niektóre z nich przyznały, że organy pochodzą od członków ruchu Falun Gong. Organizację tę władze Chin określają mianem „sekty”, prowadzącej „działania polityczne wymierzone w Chiny”. Nawet na stronie internetowej Ambasady Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce znajduje się sekcja pt. „Falun Gong – zły i szkodliwy”.

W rzeczywistości członkowie Falun Gong uprawiają qi gong (tradycyjne ćwiczenia zdrowotne wywodzące się ze starożytnych Chin) i medytację. Wierzą w takie wartości, jak prawdomówność, życzliwość i cierpliwość, oraz w to, że przestrzeganie tych zasad w codziennym życiu skutkuje uzyskaniem spokoju umysłu i lepszej kondycji fizycznej.

Ich popularność w Państwie Środka przeraziła komunistyczne władze i tak rozpoczęły się ich prześladowania.

W raporcie przygotowanym przez Matasa, Kilgoura i Gutmanna mowa jest o tym, że w Chinach zaraz po aresztowaniu członka ruchu Falun Gong pobiera się od niego krew i przeprowadza się inne badania lekarskie. Wyniki tych testów umieszczane są w bazie danych dawców organów.

Ma Chunmei, członkini ruchu Falun Gong, więziona z tego powodu wiele razy, opowiadała, jak będąc w obozie pracy, była poddawana badaniom, jakie przechodzą dawcy szpiku kostnego i nerek. „Wiedziała, że chcieli mnie skrzywdzić. Wykonali trzy testy krwi, ale nigdy nie podali mi wyników” – mówiła Ma dziennikarzom amerykańskiej gazety „Epoch Times”. Kobieta od kilku lat mieszka w Stanach Zjednoczonych.

► Bez znieczulenia

Ale w Chinach narządy pobiera się nie tylko od członków ruchu Falun Gong. Gdy trzy lata temu Parlament Europejski zatwierdził wniosek wzywający rządzącą Chinami partię komunistyczną do zaprzestania pobierania organów od więźniów sumienia, jednym z zeznających przed Parlamentem był Ujgur Enver Tohti. Opowiadał on m.in., jak pewnego dnia w 1995 r. został wysłany na miejsce egzekucji w Urumczy w prowincji Xinjiang, będącej domem dla Ujgurów. Miał uczestniczyć w pobieraniu nerek i innych organów od zastrzelonych więźniów. Relacje z tego, co zobaczył wtedy Tohti, umieścił w swojej książce pt. „Rzeź” Ethan Gutmann.

„Na przesiąkniętej krwią ziemi leżał mężczyzna około trzydziestki, ubrany w granatowy kombinezon. Wszyscy skazańcy mieli zgolone głowy, ale ten miał długie włosy.

– To on. To jego będziemy operować.

– Ale dlaczego mamy go operować? – Enver opowiadał, starając się wyczuć tętnice na szyi mężczyzny.

– Dajmy sobie spokój. Ten człowiek nie żyje. Wtedy Enver zdrętwiał i zrewidował swój wcześniejszy osąd: – Nie... On żyje.

– W takim razie operujcie. Pobierzcie wątrobę i nerki. Teraz! Szybko!

Wykonując polecenie głównego chirurga, cała załoga przystąpiła do pracy i załadowała ciało do karetki. Enver czuł się jak odurzony: – Trzeba ciąć ubranie, przywiązać kończyny do stołu i otworzyć ciało – starał się postępować zgodnie z procedurą. Nagle spojrzał pytająco na głównego chirurga.

– Żadnego znieczulenia. Żadnego podtrzymywania przy życiu – odpowiedział tamten”.

Tak Enver Tohti opisał swoje doświadczenia amerykańskiemu dziennikarzowi i członkom Parlamentu Europejskiego.

Jak twierdzą twórcy opublikowanego właśnie raportu, wśród ofiar działań chińskiego reżimu czerpiącego korzyści z handlu organami są też chrześcijanie. A jako powiększająca się grupa w Chinach i coraz bardziej prześladowana, staje się ona jednocześnie bardziej narażona na takie brutalne praktyki. „Szacuje się, że 130 mln chrześcijan w Chinach to prawdopodobnie najszybciej rosnąca grupa chrześcijan na świecie, co traktowane jest przez niektórych urzędników jako co najmniej zagrożenie dla ateistycznej ideologii partii komunistycznej. Liczne kościoły są zmuszone do usuwa-

w Państwie Środka „tragicznym i barbarzyńskim”. Aktorka, zadając wtedy pytanie, jak to możliwe, że lekarze szkoleni po to, by leczyć, czynią takie zło, odpowiedziała na nie tymi słowami: „Oprawcy w Chinach nie urodzili się potworami gotowymi do pobierania narządów od swoich rodaków [...] To system sprawił, że tak czynią. To jest system, który spowodował, że z zimną krwią są oni w stanie ciąć ludzi, brać ich narządy i patrzeć, jak umierają. Nikt nie rodzi się aż tak okrutny”.

Tragedia dokonująca się w Chinach zwraca także uwagę coraz większej liczby polityków. Poza komisją brytyjskiej partii konserwatywnej, która wysłuchiwała relacji na temat zbrodni popełnianych w celu zdobywania organów od więźniów, sprawą zajęła się

„OPRAWCY W CHINACH NIE URODZILI SIĘ POTWORAMI GOTOWYMI DO POBIERANIA NARZĄDÓW OD SWOICH RODAKÓW [...] TO SYSTEM SPRAWIŁ, ŻE TAK CZYNIAJĄ. TO JEST SYSTEM, KTÓRY SPOWODOWAŁ, ŻE Z ZIMNĄ KRWIĄ SĄ ONI W STANIE CIAĆ LUDZI, BRAĆ ICH NARZĄDY I PATRZEĆ, JAK UMIERAJĄ”.

nia krzyży, co jest częścią zakrojonych na dużą skalę represji” – czytamy w relacji BosNewsLife.com, chrześcijańskiej agencji prasowej mającej swoją główną siedzibę w Budapeszcie.

► Czas zatrzymać oprawców

„Nie widać końca tej zbrodni przeciwko ludzkości” – stwierdzają autorzy raportu. „Ostateczna konkluzja jest taka, że Komunistyczna Partia Chin zaangażowała cały aparat państwowy do masowych zabójstw niewinnych”.

Jednocześnie wielu uważa, że dzięki wysiłkom takich ludzi, jak David Matas, David Kilgour, Ethan Gutmann czy Leon Lee, którzy nagłaśniają cały proceder, władze ChRL będą musiały w końcu zaprzestać tych haniebnych praktyk.

Ukazania skali okrucieństwa, na jakie przyzwala i z jakich czerpie profity komunistyczna władza w Chinach, podejmują się także artyści. Kanadyjka Anastasia Lin, która była obserwatorką wyborów parlamentarnych w Polsce w zeszłym roku, zagrała właśnie główną rolę w filmie „Krwawiące ostrze” („The Bleeding Edge”), opowiadającym o praktykach pobierania organów w Chinach. Przemawiając kilka tygodni temu w Londynie przed Komisją ds. Praw Człowieka brytyjskiej partii konserwatywnej, Lin nazwała proces pobierania organów od więźniów

w ostatnim czasie również amerykańska Izba Reprezentantów. W czerwcu jednomyślnie przyjęła ona rezolucję potępiającą pobieranie narządów od członków ruchu Falun Gong. W dokumencie amerykańscy politycy wyrazili zaniepokojenie wobec „ciągłych i wiarygodnych doniesień o systematycznym i usankcjonowanym przez państwo procederze pobierania organów od więźniów sumienia w Chińskiej Republice Ludowej”. Republikanin Chris Smith nazwał rezolucję „ważnym krokiem w pokazaniu odpowiedzialności za być może jedną z największych zbrodni XXI wieku, 17-letnie działania służące wyeliminowaniu ruchu Falun Gong w Chinach”. Amerykański polityk nie przebiegał też w słowach, gdy porównał praktyki pobierania organów stosowane w Chinach do działań nazistów. W amerykańskiej rezolucji jest także mowa o innych grupach, m.in. chrześcijanach, które padają ofiarą tego zbrodniczego procederu.

Ethan Gutmann nazwał rezolucję Izby Reprezentantów pierwszym krokiem alarmującym, że w Chinach dochodzi do mordów w celu zdobycia narządów potrzebnych do przeszczepów.

Doktor Torsten Trey z organizacji Lekarze Przeciwko Wymuszonemu Pobieraniu Organów twierdzi, że dowody zebrane przeciw władzom Chin osiągnęły już poziom krytyczny i Pekin musi wreszcie zaprzestać tych niegodziwych praktyk. ■



Antoni Rybczyński

Twierdza Kaliningrad

To stąd Rosjanie mogą dokonać atomowego uderzenia na Warszawę. Takie precyzyjne taktyczne użycie broni jądrowej zawiera się w rosyjskiej „doktrynie deeskalacji”, która sprowadza się do zastraszenia potężniejszego w kategorii konwencjonalnej przeciwnika ograniczonym użyciem broni niekonwencjonalnej. Jednak najważniejszą funkcją naszpikowanej bronią i wojskiem eksklawy jest zablokowanie ruchu sił NATO na wschód, odcięcie krajów bałtyckich i zamienienie Bałtyku w rosyjskie *mare nostrum*.

Pozostawiona na tyłach umocniona twierdza wroga może przesądzić o losach całej kampanii. Wiedzieli o tym doskonale średniowieczni stratedzy. Także ci z Zakonu Najświętszej Maryi Panny. Krzyżacy wzniesli w 1255 r. u ujścia Pregoly Regiomontium, zamek, który w historii zapisał się jednak nie pod łacińską, lecz pod polską i niemiecką nazwą. Współczesne miasto w niczym nie przypomina Królewca – Königsbergu. Oprócz lokalizacji. Ta zaś, w oczach obecnych jego panów, determinuje rolę Kaliningradu i otaczających go 8 tys. kilometrów kwadratowych. Rolę wysuniętego militarnego bastionu, pierwszej zapory w wojnie z wrażym Zachodem. Obwód kaliningradzki przygotowywano do tej roli tak naprawdę już od kwietnia 1946 r., gdy został oficjalnie wcielony do sowieckiej Rosji. Dziś nawet zdecydowana większość cywilów ma tu za sobą służbę z bronią w ręku – od dekad było to miejsce osiedlania wojskowych emerytów. Tyle że w czasach zimnej wojny daleko na zachód od Kaliningradu rozciągały się terytoria Układu Warszawskiego, a za plecami była reszta ZSRS. Dziś eksklawa wciśnięta jest między dwa kraje NATO. Lądowe połączenie z Kaliningradem biegnie z Rosji przez sojuszniczą Białoruś i terytorium Litwy. Także morskie połączenie jest długie i niepewne – biegnie wzdłuż wybrzeży krajów natowskich. Krótko mówiąc, eksklawa przypomina wyspę otoczoną wrogim oceanem, a jedynym skutecznym połączeniem jest droga powietrzna. Na pierwszy rzut oka położenie fatalne. Ale nie dla moskiewskich stratedgów. W ich planach Kaliningrad ma odgrywać określoną militarną rolę.

► Miecz Damoklesa

Pod koniec czerwca w wywiadzie dla „Die Zeit” dowódca sił amerykańskich w Europie generał Ben Hodges przyznał, że Rosjanie mogą zająć Estonię, Łotwę i Litwę „szybciej, niż będziemy mogli się tam pojawić, by ich bronić”. Hodges zgadza się z opiniami ekspertów, że Rosja podbiłaby kraje bałtyckie w okresie od 36 do maksymalnie 60 godzin. Pojawienie się w przyszłym roku – zgodnie z decyzjami szczytu NATO w Warszawie – czterech batalionów międzynarodowych w Estonii, na Łotwie, Litwie i w Polsce nie jest w razie zmasowanej napaści rosyjskiej żadną przeszkodą. Ma bardziej znaczenie polityczne, bo co innego strzelać do Łotysza czy Polaka, a co innego do Brytyjczyka czy Amerykanina. Oczywiście wie jest, że jeśli chodzi o lokalizację w Polsce i na Litwie, to bataliony znajdują się w bezpośrednim sąsiedztwie obwodu kaliningradzkiego, być może nawet na trasie

potencjalnego uderzenia Rosjan z eksklawy, czyli na obszarze polsko-litewskiego pogranicza rozdzielającego terytorium Federacji Rosyjskiej i sprzymierzonej z Moskwą Białorusi.

Położenie eksklawy kaliningradzkiej powoduje, że stacjonujące tu oddziały rosyjskie wiszą nad Polską i Litwą niczym miecz Damoklesa. Tak zwany „korytarz suwalski” to jeden z najsłabszych punktów wschodniej flanki NATO. Potencjał sił lądowych skoncentrowany w obwodzie nie pozwala Moskwie na wykonanie stąd frontalnego uderzenia na Polskę czy Litwę, za to nadaje się do przeprowadzenia uderzenia w kierunku południowo-wschodnim, na Grodno. Taki manewr poprawiłby położenie eksklawy, dając jej lądowe połączenie *de facto* z Rosją, ale przede wszystkim odciąłby kraje bałtyckie od reszty NATO. Gdyby Kreml zaryzykował i zaatakował mimo obecności batalionów Sojuszu, sprzymierzeni będą mieli zaledwie kilkadziesiąt godzin na przyjsię z odcięciem Bałtom i Estończykom. Zadaniem eksklawy kaliningradzkiej ma być spowodowanie, że nie tylko nie zdążą, lecz także okupanci będą mieli wystarczająco dużo czasu, by umocnić się na zajętych terenach, co spowoduje, że próby odbicia oznaczać będą dla NATO znaczące straty. Tak więc „korytarz suwalski” ma tu bardzo duże znaczenie.

Co gorsza, jeśli przyjąć, że celem uderzenia na tym odcinku byłoby jedynie odcięcie na kilkadziesiąt godzin krajów bałtyckich od Polski, a potem choćby i wycofanie się, to znaczyłoby, że nie musi być w to zaangażowana Białoruś. Dotychczas zakładano, że atak „korytarzem suwalskim” będzie miał sens tylko wtedy, gdy nastąpi z obu stron lub przynajmniej strona białoruska będzie w tym manewrze choćby nawet biernie, ale uczestniczyła. Tymczasem Moskwa nie musi być nawet potrzebne zaangażowanie Aleksandra Łukaszenki, który konfliktu zbrojnego z NATO chciałby uniknąć. To zaś oznacza, że prawdopodobieństwo wybuchu wojny i rosyjskiej agresji jest dużo większe.

Problem w tym, że kaliningradzkie zgrupowanie może zamknąć nie tylko lądowy most do krajów bałtyckich. Dużo większe znaczenie może mieć blokada w powietrzu i na morzu. Nawet amerykańscy dowódcy są zgodni, że Rosjanie mogą zamknąć wschodnią część Bałtyku dzięki okrętom Floty Bałtyckiej, rakietowej obronie przybrzeżnej oraz systemom przeciwlotniczym. Zwłaszcza tym ostatnim: przybywa ich w obwodzie i są coraz nowocześniejsze. Nie dość, że mają już zasięg ponad 400 km, to jeszcze są mobilne i można je przesuwać w granicach eksklawy. Ale siły rosyjskie w obwodzie to nie tylko flota i obrona przeciwlotnicza. Ten najbardziej na zachód wysunięty region Fede-

racji Rosyjskiej, mający powierzchnię 8,3 tys. km² (wraz z wodami terytorialnymi 15,1 tys. km²) i zamieszkały przez prawie milion Rosjan, przypomina teraz jeden wielki garnizon. To najbardziej zmilitaryzowany obszar w Europie.

► Nie tylko Flota Bałtycka

Siły rosyjskie w obwodzie kaliningradzkim liczą około 15 tys. żołnierzy. To wartość w przybliżeniu, bo dokładniejszych danych brak od kiedy, tuż po aneksji Krymu. Rosja jednostronnie zawiesiła umowę o wzajemnej inspekcji ruchów wojsk. Do tego, tuż nad północną Polską, znajduje się około 50 rosyjskich bojowych samolotów, około 30 helikopterów, ponad 50 okrętów, około 200 czołgów T-72 i T-80 oraz bardzo duże zgrupowanie artylerii, w tym rakietowej. Trzon sił lądowych stanowią liczące po 4 tys. żołnierzy: 79 Brygada Piechoty Zmotoryzowanej w Gusiewie (punkt wyjściowy do ataku na „korytarz suwalski”) oraz 336 Brygada Piechoty Morskiej w Bałtysku. Większość wojsk w eksklawie wchodzi w skład Floty Bałtyckiej (nie tylko okręty, lecz także jednostki brzegowe i lotnictwo), pozostałe zaś podlegają bezpośrednio dowództwu Zachodniego Okręgu Wojskowego.

Dowództwo Floty Bałtyckiej znajduje się oczywiście w Kaliningradzie, ale to w Bałtysku, nad Cieśniną Piławską łączącą Zalew Wiślany (w części rosyjskiej nazywany Kaliningradzkim) z Bałtykiem, znajduje się główna baza Floty Bałtyckiej (druga baza to Kronsztad). Dlaczego nie w Kaliningradzie? Wystarczy rzut oka na mapę. To Bałtysk ma bezpośrednie wyjście na otwarte morze, odgrywając przy tym rolę strażnika nad wodną bramą na zalew i kryjącą się w jego północno-wschodnim krańcu stolicą obwodu. Tutaj zgrupowano zdecydowaną większość okrętów nawodnych Floty. Jej dowództwu podlega na terytorium obwodu kaliningradzkiego około 3,5 tys. marynarzy oraz 58 jednostek pływających (bazy w Bałtysku i Kaliningradzie), w tym dwa okręty podwodne klasy Kilo. Trzon sił morskich stanowią: 36 Brygada Okrętów Rakietowych, 128 Brygada Okrętów Nawodnych oraz 71 Brygada Okrętów Desantowych. To łącznie 35 okrętów. Ich średni wiek to 20 lat, czyli dużo lepiej niż średnia dla całej rosyjskiej floty (29 lat). Pod banderą Floty Bałtyckiej pływają tutaj m.in. dwie fregaty, dwa niszczyciele i trzy korwety. W skład 71 Brygady Okrętów Desantowych wchodzi m.in. cztery duże jednostki Ropucha i dwa poduszkowce Zubr. Dowództwu Floty Bałtyckiej podlegają wspomniana 336 Brygada Piechoty Morskiej – elitarna jednostka uderzeniowa zagrażająca sąsiadom desantem morskim – oraz 7 Pułk Piechoty Zmotoryzowa-

nej w Kaliningradzie, a także 25 Pułk Obrony Wybrzeża. Nie można też zapominać o lotnictwie skoncentrowanym w obwodzie w ramach 72 Bazy Powietrznej, z głównymi eskadrami w Czkałowsku (myśliwce) i Czerniachowsku (lotnictwo szturmowe) oraz lotniskiem w Donskoje. Łącznie to około 30 Su-27 i 25 Su-24M. Do 2020 r. Rosja zamierza Su-27 wymienić na nowsze Su-30SM. W skład Floty Bałtyckiej wchodzi też 398 Samodzielna Eskadra Lotnictwa Transportowego (An-26) oraz 125 Samodzielna Eskadra Helikopterów i 396 Samodzielna Eskadra Śmigłowców Pokładowych do Zwalczania Okrętów Podwodnych (Mi-24, Mi-8 i Ka-27).

Flota Bałtycka odgrywa bardzo ważną rolę w planach wojny z NATO, o czym – paradoksalnie – świadczy niespotykana w dotychczasowej historii rosyjskich sił zbrojnych czystka w tej formacji. Pod koniec czerwca minister obrony Siergiej Szojgu zdymisjonował dowódcę Floty Bałtyckiej wiceadmirała Wiktora Krawczuka i szefa jego sztabu wiceadmirała Siergieja Popowa. Czystka objęła kolejnych około 50 wysokich oficerów Floty. Moskwa zrobiła porządek we Flocie Bałtyckiej, bo to nerwalgiczny odcinek frontu i nie można pozwolić sobie tutaj na gigantyczną korupcję i nieudolność, które wciąż są w rosyjskim wojsku powszechnym zjawiskiem. W krótkiej perspektywie czystka osłabia poważnie zdolności bojowe Floty Bałtyckiej, ale długoterminowo tylko ją wzmocni.

Większość sił lądowych, artyleria, wojska rakietowe, obrona przeciwlotnicza i specnaz w obwodzie kaliningradzkim podporządkowane są bezpośrednio dowództwu Zachodniego Okręgu Wojskowego z Sankt Petersburga. W Gusiewie, najbardziej na wschód wysuniętym większym mieście obwodu, stacjonuje 79 Brygada Piechoty Zmotoryzowanej. Bardziej na zachód, w Czerniachowsku, Rosjanie mają 152 Brygadę Rakietową – i to jest tak naprawdę ich największy militarny atut w eksklawie. Jednostka jest uzbrojona w systemy rakietowe Toczka-U (zasięg do 120 km) i Toczka-M (do 185 km). To oficjalnie. Nieoficjalnie zaś jest prawdopodobne, że Rosjanie mają tu już mobilne wyrzutnie Iskander-M (zasięg 500 km). Co poza 152 Brygadą? W Kaliningradzie stoi 244 Brygada Artylerii, a w Bałtysku 25 Przybrzeżny Pułk Rakietowy. Ten drugi uzbrojony jest w systemy Bastion, których pociski mogą sięgać celu dziesiątki kilometrów w głąb Bałtyku. Także w Kaliningradzie i Bałtysku stacjonują pododdziały specnazu. Z punktu widzenia NATO największym niebezpieczeństwem zającym się w obwodzie są jednak obrona przeciwlotnicza i radary.

W skład 3 Brygady Sił Powietrzno-Kosmicznych (rodzaj sił zbrojnych obejmujących siły kosmiczne,

lotnictwo, obronę przeciwlotniczą) z dowództwem w Kaliningradzie wchodzi dwa przeciwlotnicze pułki rakietowe uzbrojone w S-300 (183 Pułk z Gwardijska oraz 1545 Pułk ze Znamieńska). W tym pierwszym służbę pełni już co najmniej jeden dywizjon S-400 Triumf. Z kolei w system Tor-M1 uzbrojony jest 22 Samodzielny Przeciwlotniczy Pułk Rakietowy w Kaliningradzie. Dzięki S-300 i S-400, które mają zasięg do 450 km, Rosjanie mogą sparaliżować przestrzeń powietrzną Litwy, południowej Łotwy i północnej Polski. Te systemy rakietowe są gotowe do działania najdalej 5 minut od wydania rozkazu. Nic dziwnego, że pod ich pieczęcią osłoną znajdują się oczy i uszy nie tylko obwodu, lecz także całej Rosji: stacja radarowa w miejscowości Pionierskoje. Woroneż-DM swym radarem pokrywa niemal całą Europę i dużą część północnego Atlantyku. Na dystansie do 6 tys. km może śledzić jednocześnie po-

Iskander-M. Te pociski balistyczne krótkiego zasięgu nie dość, że zwiększają pole rażenia do 500 km (a mówi się nawet nieoficjalnie o 700 km), to jeszcze mogą przenosić głowice atomowe. To oznacza, że spod Kaliningradu Rosjanie mogliby dokonać jądrowego ataku chociażby na Warszawę.

Warto przypomnieć, co w listopadzie 2015 r. powiedział były naczelnik Sztabu Generalnego rosyjskiego wojska gen. Jurij Bałujewski: „Przedstawiciele Polski, Rumunii i regionu bałtyckiego muszą zapomnieć, że nasze strategiczne pociski jedynie »przelatują nad« ich terytorium. Pociski systemu Iskander będą wymierzone w ich miasta. Mam nadzieję, że to powinno ochłodzić głowy przywódców tych państw”. Moskwa już wcześniej wielokrotnie groziła umieszczeniem Iskanderów w obwodzie. W 2008 r. oświadczyła, że zrobi to, jeśli USA będą kontynuować plany budowy elemen-

Z SYMULACJI PRZEPROWADZONYCH PRZEZ PENTAGON JESZCZE W 2014 R. WYNIKAŁO, ŻE W RAZIE ROSYJSKIEJ INWAZJI NA KRAJE BAŁTYCKIE SIŁOM NATO Z AMERYKANAMI NA CZELE UDAŁOBY SIĘ W KOŃCU WYPRZEC AGRESORA, ALE BYŁOBY TO OKUPIONE DUŻYMI STRATAMI – PRZED E WSZYSTKIM W POWIETRZU. W RAZIE WYBUCHU WOJNY CELEM NADRZĘDNYM SPRZYMIERZONYCH MUSI BYĆ WIĘC SZYBKIE PRZEKŁUCIE „BAŃKI OBRONNEJ” NAD KALININGRADEM.

nad 500 obiektów. Leży na północnym wybrzeżu eksklawy, na zachód od Mierzei Kurońskiej, w rejonie Pionierskiego. Stacja Woroneż-DM została uruchomiona w 2012 r. na terenie byłej bazy lotniczej Dunajewka, pełną operacyjność osiągnęła w 2014 r. Jest najdalej na zachód wysuniętym elementem rosyjskiego systemu wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi i ma ogromne znaczenie w razie zbrojnego konfliktu z Zachodem. Jej niszczenie poważnie osłabiłoby zdolność Rosji do przeciwdziałania atakom NATO.

► Zabójcza „obronna bańka”

Systemy S-300, a zwłaszcza S-400, są dużym zagrożeniem dla lotnictwa Polski i innych krajów NATO w sąsiedztwie Kaliningradu. Rakiety Toczka zagrażają z kolei celom lądowym do prawie 200 km od eksklawy, zaś System Bastion – okrętem na Bałtyku na dystansie nawet 300 km. Za strategiczny *game changer* uznać należałoby jednak dopiero oficjalne pojawienie się wyrzutni

tów tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach. Obama zrezygnował z tamtego projektu. W grudniu 2013 r. Rosja ogłosiła, że rozmieściła Iskandery blisko granic NATO, nie podając jednak przybliżonej lokalizacji. Nieoficjalne doniesienia niemieckich mediów wskazywać miały, że to także obwód kaliningradzki. O obecności tej broni, przynajmniej tymczasowej, w eksklawie mówiono także podczas ćwiczeń wojskowych w grudniu 2014 i marcu 2015 r. Michaił Barabanow, wydawca eksperckiego magazynu „Moscow Defense Brief”, uważa, że Iskandery trafią oficjalnie do eksklawy w 2019 r., zastępując mniejsze systemy Toczka-U. 25 czerwca br. były dowódca Floty Czarnomorskiej, obecnie przewodniczący Komitetu Obrony Dumy admirał Władimir Komojedow powiedział, że „w krótkim czasie” obwód kaliningradzki może zostać uzbrojony w pociski balistyczne Iskander-M w odpowiedzi na aktywność NATO w regionie bałtyckim.

Iskandery w obwodzie kaliningradzkim to wyraźne wzmocnienie i tak już wielkiego potencjału A2/AD.

Co to oznacza? Strategia *anti-access/area denial* sprowadza się do uniemożliwienia wrogowi dostępu drogą powietrzną i morską do rejonu działań wojennych dzięki użyciu radarów i systemów rakietowych. Obszar objęty A2/AD często określany jest „obronną bańką”. Ta kaliningradzka nie jest zresztą jedyną. „Bańka” na Dalekiej Północy, z centrum na Półwyspie Kola, ma ograniczyć ewentualne ruchy Amerykanów i Kanadyjczyków przez Ocean Arktyczny. „Bańka” na Krymie, stworzona po aneksji półwyspu, oznacza rosyjską kontrolę nad większością Morza Czarnego i wzmacnia bardzo poważnie południową flankę Rosji. Jak bardzo groźne dla NATO może być użycie przez Rosjan strategii A2/AD, pokazała Syria, doświadczalny poligon rosyjski także w tej dziedzinie. Po zestrzeleniu ich samolotu przez Turków w listopadzie 2015 r. Rosjanie rozmieścili w rejonie Lata-

zamyka swobodny dostęp powietrzny do coraz większej części Europy, osłabiając militarne możliwości Sojuszu w razie wybuchu zbrojnego konfliktu. A przecież strategia zamknięcia dostępu to nie tylko przeciwlotnicze zestawy rakietowe, lecz także środki walki radioelektronicznej zakłócające łączność przeciwnika oraz zestawy rakietowe, dzięki którym można atakować także cele naziemne: lotniska i miejsca koncentracji wojsk. A2/AD to także morze. Głównym celem Floty Bałtyckiej jest obrona obwodu kaliningradzkiego i morskich linii komunikacji między bazami floty. Może też jednak być użyta jako część A2/AD, do wprowadzenia blokady morskiej krajów bałtyckich i Polski. Radary zainstalowane na brzegu mogą nakierowywać antyokrętowe pociski systemu K-300P Bastion-P w cele na dystansie do 300 km. Do tego Rosjanie mają tutaj możliwości szybkiego roz-

OBWÓD KALININGRADZKI, CZYLI NAJBARDZIEJ NA ZACHÓD WYSUNIĘTY REGION FEDERACJI ROSYJSKIEJ, MAJĄCY POWIERZCHNIĘ 8,3 TYS. KM² (WRAZ Z WODAMI TERYTORIALNYMI 15,1 TYS. KM²) I ZAMIESZKAŁY PRZEZ PRAWIE MILION ROSJAN, PRZYPOMINA TERAZ JEDEN WIELKI GARNIZON. TO NAJBARDZIEJ ZMILITARYZOWANY OBSZAR W EUROPIE.

kii i bazy Tartus – na lądzie i pokładzie okrętów – przeciwlotnicze systemy antyrakietowe, które pod pozorem lepszego zabezpieczenia sił rosyjskich w Syrii jednocześnie wymusiły na koalicji rezygnację z lotów nad ponad 30 proc. terytorium Syrii. Wystarczyło, że rosyjskie systemy S-300 i S-400 zaczęły namierzać samoloty i drony Amerykanów i ich sojuszników. Taka sama broń znajduje się w obwodzie kaliningradzkim.

Rosja już w 2011 r. przystąpiła do rozmieszczania tutaj nowych systemów S-400 Triumf. Obecnie wiadomo o co najmniej jednym takim dywizjonie. Podstawą uzbrojenia pozostają jednak baterie starszego modelu – S-300. Ale są też inne przeciwlotnicze systemy rakietowe: Buk, Tor, Pancyr. Obok zestawów instalowanych na stałe przybywa zestawów mobilnych, którymi można szybko operować, co uelastycznia możliwości obronne. Zdaniem Amerykanów, choćby dowódcy sił powietrznych w Europie i Afryce, gen. Franka Gorenca, Rosjanie tak rozbudowali i zmodernizowali swoją obronę przeciwlotniczą, że stała się ona już groźniejsza dla NATO niż samo rosyjskie lotnictwo, też przecież przechodzące proces modernizacji. Rozbudowa obrony przeciwlotniczej

mieszczenia zaawansowanych, trudnych do wykrycia min morskich.

Z symulacji przeprowadzonych przez Pentagon jeszcze w 2014 r. wynikało, że w razie rosyjskiej inwazji na kraje bałtyckie siłom NATO z Amerykanami na czele udałoby się w końcu wyprzeć agresora, ale byłoby to okupione dużymi stratami – przede wszystkim właśnie w powietrzu. W razie wybuchu wojny celem nadrzędnym sprzymierzonych musi być więc szybkie przekucie „bańki obronnej” nad Kaliningradem. Biorąc pod uwagę specyfikę struktury sił zbrojnych w eksklawie, najłatwiej byłoby dokonać tego szybkim silnym uderzeniem na lądzie. Do tego zaś potrzebne będą odpowiednie siły. Dziś stacjonują w tym rejonie trzy polskie brygady, dywersyjną funkcję może spełnić litewska brygada Żelazny Wilk. W przyszłym roku dojdzie batalion NATO w Polsce i batalion NATO na Litwie. Wciąż to jednak będzie za mało. Decydować będą godziny, więc nawet siły szybkiego reagowania Sojuszu to nie jest rozwiązanie. Potrzeba więcej oddziałów tu, na miejscu. Oby więc zapowiedzi USA nie ograniczyły się tylko do jednej brygady pancерnej i to rozrzuconej na całą wschodnią flankę. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Od superpaństwa do szczytu NATO

Pod koniec czerwca ministrowie spraw zagranicznych Francji i Niemiec uraczyli opinię publiczną własną wizją Unii Europejskiej po Brexicie. Miałaby to być quasi-Federacja Europejska z mocno okrojonymi prawami do samostanowienia państw członkowskich. W Polsce projekt ten wzbudził irytację, w Europie Zachodniej media przeszły nad nim do porządku dziennego. A jeżeli już nawet jakiś specjalista nad problemem się pochylił, to raczej po to, by wytłumaczyć, że dokument francusko-niemiecki nie ma wielkiego znaczenia. A później był szczyt NATO w Warszawie i temat superpaństwa zszedł na plan dalszy. Decyzje szczytu okazały się kluczowe dla naszego regionu, ale zanim się obejrzelśmy, świat zamiast mówić o szczycie, zmienił już temat na nieudany pucz w Turcji. Świat przyspieszył, sezon ogórkowy to mit. Niech ten coraz szybciej pędzący świat tłumaczą eksperci, ale nie tylko tacy, z którymi się zgadzam w 100 procentach. Jak tygiel, to tygiel.

dr Markus Wolf, niemiecki historyk, ekspert ds. Europy Wschodniej, Monachium

Jakbym miał budować unijne państwo, to na wzór Szwajcarii

Dokument spisany przez ministrów Francji i Niemiec nie stanowi oficjalnego dokumentu rządu niemieckiego i francuskiego, ale jest jedynie stanowiskiem resortów dyplomacji tych państw. W Niemczech to kanclerz wyznacza kierunki polityki. Chciałbym zwrócić uwagę, że pod dokumentem podpisał się szef niemieckiego MSZ należący do SPD, a nie CDU, czyli partii pani kanclerz. Francuski minister tak jak Frank-Walter Steinmeier również należy do „rodziny socjaldemokratycznej”, o czym – oceniając ich wspólne stanowisko – należy pamiętać. [...]

A teraz, przechodząc do konkretów: w kwestii konsolidacji sfery finansowej – jeden Bank Centralny mógłby objąć wyłącznie państwa strefy euro, a taką instytucję już mamy i jest nią Europejski Bank Centralny. Polska nie należy do strefy euro, więc nie łapie się do tego grona, i tak długo, jak długo postanowi zachować swoją walutę narodową, do Banku Centralnego należeć nie będzie. Sprawa jest więc prosta. Co do wspólnej polityki zagranicznej – takowa w sumie już dziś istnieje, co widzimy w osobie wysokiej przedstawicielki do spraw zagranicznych UE, pani Mogherini. W dokumencie nie ma ani słowa o NATO, więc nikt nie ma zamiaru podważać jego roli w UE, i reszta to

spekulacje. Co zaś się tyczy Wielkiej Brytanii i Brexitu, jak wiadomo, państwo to należy do największych płatników netto w UE i jest w posiadaniu broni atomowej. Bruksela musi teraz znaleźć wyjście, by w sposób przemyślany zrekompensować sobie tę wyrwę.

Dokument szefów MSZ rozpatruję bardziej w kategorii propozycji wyjściowych do dyskusji niż wytycznych i absolutnie nie myliłbym tego typu dokumentów z oficjalnymi stanowiskami rządów. Natomiast gdybym sam miał zaproponować długofalową reformę UE i powstanie europejskiego państwa, to wzorowałbym się na modelu szwajcarskim, szczególnie w kwestii dotyczącej swobód obywatelskich. Jeden z artykułów Konstytucji Szwajcarii mówi wyraźnie, że „wszelka władza państwa jest ograniczona przez prawa podstawowe”, co w mojej opinii brzmi znacznie mocniej niż chociażby pierwszy paragraf niemieckiej ustawy zasadniczej mówiący o tym, że „godność człowieka jest nienaruszalna”. Takie europejskie państwo byłoby ponadto silne na zewnątrz i dysponowało potencjałem obronnym co najmniej tak sprawnym, jak Stany Zjednoczone. Już z samej potrzeby ewentualnej obrony przed zagrożeniem ze Wschodu i by stawić mu czoła. Jak na razie jesteśmy z dala od takiego rozwiązania, ale kto wie. Być może już nie w grupie 28, ale 27 państw zdołamy poszerzyć margines naszych swobód względem aparatu państwa przy jednoczesnym wzmocnieniu naszego bezpieczeństwa na arenie międzynarodowej. [...] Co do hasła: „Więcej Europy” nie jest ono skuteczne, ponieważ o Europie mówi się dziś wyłącznie źle.

prof. Bernd Lucke, niemiecki deputowany do PE z „Sojuszu dla Postępu i Przełomu” (ALFA)

Plan przedstawiony przez dyplomatów jest niebezpieczny

Propozycje ministrów spraw zagranicznych Francji Jean-Marca Ayraulta i Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera są nie do przyjęcia. Kompetencje we wszystkich wymienionych [przez nich w dokumencie – przyp. O.D.H.] obszarach powinny pozostać w gestii państw narodowych. Propozycje z dokumentu świadczą o całkowicie chybnym podejściu do integracji europejskiej. Należy wzmocniać parlamenty narodowe i rządy narodowe, a nie je osłabiać. W innym wypadku idea demokracji zostanie wypaczona, a państwa zaczną skłaniać się ku opuszczeniu struktur unijnych. Plan naszkicowany przez Ayraulta i Steinmeiera to prosta droga do rozpadu całej UE. Reforma samej UE jest niezbędna, ale powinna obrać zupełnie

inny kierunek niż to, co zaproponowano. Kompetencje, którymi dziś cieszą się instytucje UE, takie jak Komisja Europejska, powinny powrócić do państw członkowskich. A plan przedstawiony przez dyplomatów jest po prostu niebezpieczny i jeżeli zostanie wcielony w życie, to konsekwencją będzie dalsza destabilizacja UE. A za Brexit odpowiadają ci, którzy ignorując inne punkty widzenia, nie chcąc ich zrozumieć, uparcie naciskają na jeszcze ściślej splecioną Unię. I czynią to bez oglądania się na rzeczową krytykę, na obiektywne okoliczności natury kulturowej, gospodarczej i społecznej. Takt wybijają natomiast francuscy i niemieccy socjaldemokraci pospołu z tymi, dla których jedynym rozwiązaniem wszelakich problemów w Europie jest kolejny transfer kompetencji z Północy na Południe. Niemiecka kanclerz Angela Merkel w swojej polityce otwartych granic również odegrała tu swoją rolę. A ludzie w Europie najzwyczajniej sami chcą decydować, kto może do nich przyjechać, a kto nie, i nie chcą stać się żyrantami forsowanej przez Niemcy polityki hipermoralności. Również Jean-Claude Juncker jak żaden inny, przez ostatnie kilkanaście lat, a to jako szef Eurogrupy, a to jako szef KE, kształtował substancję UE. W tym sensie ponosi on olbrzymią odpowiedzialność za to, za odwrót Brytyjczyków. Dlatego też zdecydowanie żądam dymisji Junckera i wyboru jego następcy. Takiego, który będzie na serio chciał wdrożyć reformy, o których wspomniałem.

Lauren Speranza, Transatlantic Security Initiative, Atlantic Council, uczestniczka szczytu NATO w Warszawie

Rola Polski w NATO wzrośnie

Lipcowy szczyt NATO w Warszawie był jednym z najważniejszych dla członków Paktu Północnoatlantyckiego i widzę w nim kontynuację szczytu w Walii (2014 r.). To tam podjęto bardzo ważne decyzje dotyczące powrotu do tradycyjnych form odstraszania konwencjonalnego i obrony. Po inwazji Rosji na Ukrainę dwa lata temu Sojusz zrobił pierwszy krok, by podkreślić wagę bezpieczeństwa euroatlantyckiego, w Warszawie wcielono ten krok i wiele innych w życie. NATO jest w stanie, jak dowiedziono, stawić czoła wyzwaniom i aktualnym zagrożeniom. Kombinacja szczytu warszawskiego i walijskiego to widoczny znak wypełnienia się trzeciej fazy postanowień NATO w kwestii obronności i odstraszania potencjalnego wroga. Szczyt odbył się w czasie szczególnie ważnym dla poczucia europejskiej solidarności, po referendum w sprawie Brexitu i kryzysu migracyjnego.

go, odbył się w atmosferze rosnącego eurosceptycyzmu, czyli w trudnych warunkach do rozmów. Dlatego też, mając na uwadze te wszystkie mało sprzyjające okoliczności, trzeba podkreślić, że NATO okazało się wyraźniej niż kiedykolwiek w historii jedną, wspólną platformą współpracy euroatlantyckiej i europejskiej. Gremium, którego decyzje dotyczące bezpieczeństwa odgrywają kluczową rolę w pogłębianiu jedności swoich członków w tych burzliwych i niepewnych czasach. Szczyt w Warszawie wysłał w świat sygnał, że NATO jest zjednoczone, jednomyślne i zdecydowane, by bronić wszystkich swoich członków w sytuacji zagrożenia. Była na nim również poruszana kwestia dialogu z Rosją, ale niezależnie od tego Władimir Putin i tak nie omieszczał zakomunikować, że dla Rosji wszelkie działania NATO są prowokacją i nie zaprzestanie w związku z tym wzmacniać potencjału wojskowego na granicach wschodniej flanki Sojuszu. A tymczasem w Polsce i krajach bałtyckich zobaczymy zwiększoną koncentrację żołnierzy amerykańskich i wojsk sojuszniczych, a rola Polski w ramach NATO stanie się przez to jeszcze większa.

dr Ross Johnson, specjalista ds. zimnej wojny,
Visiting Fellow z Hoover Institution

Każde z państw na wschodniej flance musi mieć pewne siły militarne

Szczyt NATO w Warszawie dowiódł zaangażowania Sojuszu dla pokoju i bezpieczeństwa wszystkich jego członków, w tym w sposób szczególnie państw, które kiedyś były mimowolnymi częściami składowymi sił Układu Warszawskiego. Nie ma wątpliwości, że szczyt NATO w Warszawie to jedno z najważniejszych spotkań Sojuszu od czasu zimnej wojny. Akcje podejmowane przez Federację Rosyjską po rozpadzie Związku Sowieckiego i Układu Warszawskiego, tj. agresywne naruszanie granic Gruzji i Ukrainy, i dochodzące do tego inne prowokacje o charakterze militarnym, stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa europejskiego i międzynarodowego. A Polska i kraje bałtyckie jako członkowie NATO są zagrożone w sposób szczególny. Stąd też zrozumiałe wysiłki NATO, by odeprzeć agresję – zarówno tę konwencjonalną, jak i niekonwencjonalną – właśnie w tej części Europy. Decyzja o rozmieszczeniu czterech batalionów bojowych w naszym regionie jest bardzo dobrym krokiem w kierunku odparcia tej agresji, ale za tym powinny pójść i inne działania odstraszające. I nie jest to sprawa wyłącznie Stanów

Zjednoczonych, Kanady, Wielkiej Brytanii i Niemiec, czyli państw ramowych. Każde z państw Sojuszu, a zwłaszcza na wschodniej flance, musi mieć pewne i sprawne siły militarne, łącznie z jednostkami zdolnymi do odparcia takiego ataku, jak ten rosyjskich sił specjalnych na Krymie i wschodniej Ukrainie. A Waszyngton dodatkowo nie powinien rezygnować z wyegzekwowania od wszystkich państw NATO wypełnienia zobowiązania o przeznaczeniu 2 proc. swojego PKB na obronę narodową.

dr Karl-Heinz Kamp, przewodniczący
Federalnej Akademii ds. Polityki Bezpieczeństwa (BAKS), doradca niemieckiego MON

Obrona sojuszników jest elementem niemieckiej racji stanu

Po pierwsze: NATO zasygnalizowało, że jest zdeterminowane i zjednoczone, a wszystkie 28 państwa członkowskie działają wspólnie zarówno w obliczu rosyjskiej agresji na wschodzie, jak i sytuacji zagrożenia na południowej flance. Po drugie: szczyt pokazał, że NATO jest jak najbardziej zdolne do działań militarnych i stoi na straży bezpieczeństwa wszystkich swoich członków. I po trzecie: uczestnicy szczytu zapowiedzieli podtrzymanie dialogu z Rosją, ale pod pewnymi warunkami. Dialog będzie możliwy, gdy Rosja wróci na ścieżkę respektowania prawa. Bardzo istotna jest konkluzja szczytu, że dialog z Rosją może być prowadzony wyłącznie z pozycji siły i zdolności do obrony. [...]

Ze strony niemieckiej padły [przed szczytem w Warszawie] słowa, które wzbudziły w kilku państwach irytację. Myślę jednak, że ci wszyscy, którzy poczuli się tymi wypowiedziami zaniepokojeni i pomyśleli, że Niemcy mogłyby nawet odmówić wypełnienia swoich zobowiązań w ramach kolektywnej obrony NATO, gdyby doszło co do czego, powinni odetchnąć z ulgą po opublikowaniu Białej Księgi Rządu Federalnego. [...] W tej księdze jest bowiem zdanie, którego nie znajdziemy w dokumentach żadnego innego państwa NATO, a mianowicie, że „Obrona sojuszników jest elementem niemieckiej racji stanu”. To chyba najsilniejsze zapewnienie, jakie można sobie wyobrazić *à propos* tego, jak serio Niemcy traktują swoje zobowiązania wobec innych państw Sojuszu oraz Unii Europejskiej. A podkreślę jeszcze, że to jest Biała Księga Rządu Federalnego, a nie jednego z ministerstw czy urzędu kanclerskiego, mamy więc do czynienia z stanowiskiem całego rządu Niemiec, a to on ma ostatnie słowo.

Rozmawiała Olga Doleśniak-Harczuk.

Joanna Duda-Gwiazda

Na elity padł błąd strach

Kiedy okazało się, że miliony rodzin otrzymują pieniądze na wychowywanie dzieci, elity III RP straciły cierpliwość. Stanisław Janecki nazwał te elity nową resortową arystokracją: po rodzicach odziedziczyły władzę, pieniądze, poczucie wyższości nad innymi, „a także słabo maskowaną pogardę dla przeciętnych ludzi”. „Program 500 plus” ugodził boleśnie, maska opadła i szambo pogardy rozlało się szeroko, zadziwiając nawet tę część publiczności, która nie miała złudzeń na temat „wyższości” elit.

Prawdopodobnie obrazą majestatu jest powszechność programu, jego prorodzinny, a nie socjalny charakter. „Istoty wyższe” mogłyby ewentualnie pochylić się z troską nad nędzą dzieci z patologicznych rodzin. Urzędnicy sprawdzają, czy ktoś nie wyludza publicznych pieniędzy. Kontrolerzy zajrzą na łóżko (kto z kim śpi), pod łóżko (tam może ukrywać się pijany konkubent), do garnka (golonka na zakąskę), do kosza na śmieci (butelka po wódce). Urzędnik jest panem i władcą, może dać pieniądze, może zabrać dzieci. Cwaniacy i naciągacze prosperują w tym systemie bardzo dobrze. Ludzie honorowi o pomoc nie występują.

Urzędnikom trudno pogodzić się z zasadą, że rodzice mają wolny wybór, na co przeznaczają pieniądze z „Programu 500 plus”. Takie zaufanie władzy do społeczeństwa przeraziło autorytety. Jak teraz przekonać opinię publiczną, że wszyscy ojcowie to pijacy i lenie, a matki ladcznice? Zadanie niewykonalne, a jednak podjęto taką próbę.

► Układzik się rozsypuje

Politycy PiS nieustannie podkreślają, że chcą służyć obywateli, a władza to służba dla dobra wspólnego. Wszystkie ekipy władzy zawsze miały pełną gębę pięknych frazesów, a co sądzą o głupim motłochu, który się na to nabierał, mówili szczerze we własnym gronie przy ośmiorniczkach. Najważniejsza zmiana po objęciu władzy przez nową ekipę to podjęcie działań dla spełnienia obietnic wyborczych i potraktowanie przeciętnych ludzi jak normalnych obywateli, nie gorszych od tych z wyższej półki. Polacy obrażani i pouczeni przez autorytety, które wszystko wiedzą lepiej, traktowani jak dzieci, którym mądrzejsi muszą powiedzieć, co kupować, co myśleć, co mówić, co czytać, jak się bawić, aby dorosnąć do zaszczytnego miana nowoczesnego Europejczyka, mogą poczuć się wolni i pewni siebie.

Dla elit jest to poważne zagrożenie. Może się okazać, że wśród motłochu: moherów, oszomów, różnie maści zacofanych buraków z Podkarpacia i wąsatych Januszów, znajdą się ludzie, którzy lepiej śpiewają, piszą, znają się na finansach, historii, geografii, fizyce, informatyce i globalnych trendach, trafniej prognozują przyszłość i definiują zagrożenia. Dla elit byłaby to totalna katastrofa. Mogłaby runąć cała drabina hierarchii, budowana w pocie czoła od PRL po dzień dzisiejszy przez służby specjalne, usługowe media, korporacje zawodowe i zblatowane środowiska akademickie.

► Opozycja chce... upadku Polski

Zrozumiała jest furia, z jaką elity kolonizowanej Polski zaatakowały PiS. Strzyżona owca powinna stać spokojnie. Totalna opozycja, która zaangażowała wszystkich na świecie zainteresowanych dalszym strzyżeniem owiec, nie mieści się w pojęciach normalnej walki politycznej. PiS oskarżany jest równocześnie o to, że wprowadza zmiany zbyt szybko i zbyt wolno, jest putinowską agenturą i prowokuje niedźwiedzia. Poetyka tych zarzutów jest fantastyczna. Posłanka Julia Pitera nazwała Polskę małą myszką, która weszła między słonie i wymachuje szabelką. Sejmik wojewódzki w Gdańsku ku chwale Konstytucji 3 maja broni Trybunału Konstytucyjnego. Portal internetowy Tomasza Lisa, chcąc obrzydzić opinii publicznej mieszkańców Podlasia, nie zorientował się i pokazał sympatycznych, rozsądnych ludzi. Jedyny pijany urzędnik do pozycji leżącej zachował trzeźwą opinię o profesorze Rzeplińskim i narzekał, że ten łązi i łązi.

Histeria przerażonych elit obnaża ich żenujący poziom intelektualny i moralny. Na szczęście przeciętni ludzie, którzy żyją w realnym świecie, nie zamknęli się w salonie dla wybrańców, a przy tym nie są politykami i nie pracują w mediach – w mniejszym stopniu ulegają gorączce politycznej.

Wobec zagrożeń zewnętrznych, takich jak atak globalnych instytucji finansowych, imperialne ambicje Rosji i globalny terror islamski, działania PO, Nowoczesnej i KOD można interpretować albo jako ograniczenie horyzontu do własnego podwórka i nienadążanie za zmianami na świecie, albo jako zanik instynktu samozachowawczego. Deklarowanym celem jest obalenie rządu PiS. Ale co dalej? Nawet Miś o Bardzo Małym Rozumku nie uwierzy, że potem będzie tak, jak było, jak ujęła to reżyser Agnieszka Holland. Zapanuje chaos, ponieważ nic nie wróci już siły Platformie i autorytetu Bronisławowi Komorowskiemu. Czasu nie da się cofnąć. Celem realnym totalnej opozycji jest – trudno uwierzyć, że nieświadomym – doprowadzenie Polski do statusu państwa upadłego. Może o to właśnie chodzi? O wygranie czasu na bezpieczną ewakuację wraz z mieniem przesiedleńcym? Ostatnio Putin umacnia się militarnie w Arktyce. Zimno tam, nudno, ale spokojnie. Brukseli polecić nie można, bo to kierunek dla wygranych, nie dla przegranych, i do spokojnych też nie należy. W republikach bananowych, gdzie poziom korupcji jest dostatecznie wysoki, aby żyć godnie i spokojnie, już grają dziennikarze śledczy.

► „Tylko profesor może być taki głupi”

Sytuacja w pewnym sensie przypomina rok 1981. Masowe poparcie dla „Solidarności” przeraziło elity PRL, dziura w systemie okazała się trudna do naprawienia. Bezpieka pracowała pełną parą i była bardzo skuteczna. Kretów było jak mrówek. Ginęły dokumenty. Pojawiały się „niedokładnie” przepisane na maszynie uchwały. Chłopak pracujący na teleksie zmieniał treść komunikatów. W nogach stołów umieszczono jakieś druty. Znajomi krótkofalowcy mówili, że na bieżąco słuchają obrad prezydium. Na posiedzeniach prezydium początkowo pojawiali się tłumnie „profesorowie”, prawdziwi lub domniemani (Geremek, Mazowiecki, Kuczyński, Wielowieyski). Pletli trzy po trzy, byle tylko zakłócić obrady. Zaczęliśmy ich wyrzucać na korytarz i zamykać drzwi na klucz. Związkowcy okupujący korytarz i zawzięcie dyskutujący na wszystkie możliwe tematy szybko odkryli niekompetencję tzw. doradców. Do legendy „Solidarności” przeszła taka scena: Jola kolejarz, słuszna kobieta, dościsła pana Lipskiego do ściany i krzyczy mu nad głową: „Tylko profesor może być taki głupi”.

Działania bezpieki były skuteczne. Gry operacyjne, profesjonalna propaganda, dezinformacja i dezintegracja doprowadziły do tego, że z władz „Solidarności” eliminowani byli ucziwi i sprawni działacze. Zastąpili ich ludzie posłuszni, lansowani jako niezłomni bohaterowie. Bogdan Lis zdobył popularność spektakularnymi akcjami usuwania dyrektorów. Kiedy przyjeżdżali pracownicy zakładu, w którym dyrektor blokował powsta-

nie i działanie Związku. Lis jechał z nimi i do rana było posprzątane. Zwierzchnicy odwoływali dyrektora. Bronisława Geremka udało się wylansować w Unii Europejskiej na czołowego działacza, ideologa i bohatera, który pokojowo pokonał komunizm. W „Solidarności” popularnością się nie cieszył. W wyborach do Komisji Krajowej dostał 30 głosów, najmniejszą ilość ze wszystkich kandydatów. Andrzej [Gwiazda – red.] wszedł do Komisji gładko w pierwszym głosowaniu, ale na przewodniczącego delegaci bali się na niego głosować. Pojawił się „pewny przeciek” szeroko kolportowany wśród delegatów, że na wschodniej granicy już czeka Armia Czerwona i wkroczy, jeśli „Solidarność” wybierze Gwiazdę.

► Szlachcic podobno nie kłamie

Z mojej długoletniej wojny z bezpieką wynika, że największe zaufanie trzeba mieć do „czarnych charakterów”, bezpardonowo zwalczanych. Wstyd, że parlamentarzyści tuż przed szczytem NATO podjęli próbę odwołania polskiego ministra obrony. Wiadomo, kto ich długo szczuł. Bardzo możliwe, że Antoni Macierewicz pokrzyżował jakieś plany wsparcia zamachu stanu obalającego rząd przez „obrońców demokracji i konstytucji” ukrytych w jednostkach wojskowych. Jeśli ktoś jeszcze nie wie, jaka jest różnica między dyktaturą i demokracją, powinien sobie wyobrazić, że przed wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. parlament PRL podjął próbę odwołania Jaruzelskiego, który wówczas był szefem MON.

Skandalicznym przykładem pogardy dla prostych ludzi była wypowiedź ważnego partyjniaka, dyrektora PGR w Lubogórze, który powiedział: „Chłop zawsze był bity, jest bity i będzie bity” (cytuje z pamięci). Wybuchł duży długotrwały strajk. Była jesień, WRON-a szykowała się do wojny, a władze „Solidarności”, już wówczas zdominowanej przez zwolenników Wałęsy, utajniły przyczyny strajku, aby nie drażnić Jaruzelskiego, dowódcy drugiej po ZSRS armii Paktu Warszawskiego. Andrzej dowiedział się o przyczynie strajku dopiero po wyjściu z więzienia w 1985 r.

W „Solidarności” zetknęliśmy się też z prawicą niewątpliwie patriotyczną, ale nie demokratyczną. Jeszcze wtedy nie wypadało afiszować się z pogardą dla przeciwnych ludzi. Podchodził ktoś dyskretnie, odciagał Andrzeja na bok i konspiracyjnym szeptem pytał: „Panie Andrzeju, ale nie myśli pan poważnie, aby władzę oddać całej tej holoście?”. Kiedy organizowali się rolnicy, wybuchła głośna awantura. Okazało się, że szlachta została obrażona propozycją zapisania się do „Solidarności Chłopskiej”. Tak powstała „Solidarność Rolników Indywidualnych”. Różnica między chłopem a bardzo nędznym szlachcicem podobno polega na tym, że szlachcic nie kłamie.

I tego się trzymajmy. ■



tekst i zdjęcia

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Gdy coś się skończy...

Wspinaczka w górę Doliny Francuzów

To był wtorek. Trzeci dzień stycznia 2012 r., około godziny 18.00. Rotem Singer poczuł potrzebę. Zabrał ze sobą rolkę papieru toaletowego i udał się na stronę. W parku przygotowano na tego typu sytuacje specjalne sławki. Rotem skorzystał z jednej z nich. Stała w cieniu zielonych krzaków i karłowatych patagońskich buków. Gdy wychodził, zobaczył zbliżające się dwie koleżanki. Chcąc zaimponować dziewczynom, podpalił fragment trzymanego w dłoni papieru toaletowego. Szybko go jednak ugasił, przyskajając nogą do ziemi i czekając, aż papier zamieni się w czarny popiół. Gdy był pewny, że papier do końca się wypalił, wrócił do namiotu.

Tak to wyglądało. A przynajmniej tak twierdzi sam zainteresowany. A jak było naprawdę? Tego prawdopodobnie nie dowiemy się już nigdy. Wiemy natomiast jedno. To był ostatni moment, gdy można było podziwiać chilijski park Torres del Paine w jego przepięknej wersji. Wersji, jaką podróżnicy kojarzyli od lat. Wielu z nich uważało go za najpiękniejszy na całym południowoamerykańskim kontynencie. Za kilka godzin okaże się, że zaproszony ogień – najprawdopodobniej z nie do końca zagaszonego i wciąż tłącego się papieru toaletowego – strawi 15 111 hektarów najcudniejszego zakątka chilijskiej Patagonii. Spłoną pierwotne lasy bukowe, zagładzie ulegną śródgórskie murawy, zwęgłą się drzewa cudownych wrót do Doliny Francuskiej. Park Torres del Paine przeżyje kolejną katastrofę ekologiczną. A przecież po tym wszystkim, co tutaj już zaszło, miało być inaczej. Miało już nigdy więcej nie być „jeszcze raz”.

► Park, który musi poczekać

„Pierwszy raz” nastąpił przecież w 2005 r. Zaczęło się podobnie jak teraz, czyli zupełnie banalnie. Pewien czeski turysta zabłądził i postanowił zanoćować na dziko. Podczas organizowania biwaku przewróciła mu się zapalona benzynowa kuchenka. Wysuszona przez wyjątkowo słoneczne i bezdeszczowe lato trawa zajęła się w mgnie-



Różnorodność florystyczna parku Torres del Paine jest zdumiewająca

Może to i nierealne,
ale mam dziwne
wrażenie, że te
wyziewy wiatru, ten
smak patagońskiego
chłodu bijącego od
sinych ścian turni
Torres del Paine
– że to wszystko
da się jednak jakoś
utrwalić. Może choćby
na kartach tego
reportażu.



Wędrując po parku, dobrze jest mieć ze sobą cały ekwipunek. Tak jest prościej



Trasa pod lodowiec El Grey to spacer po krainie baśni

niu oka. Ogień pognał w głąb parku z wiatrem, którego prędkość przekraczała 100 km/h. Po kilku godzinach pożaru temperatura na powierzchni gruntu sięgała 900 stopni Celsjusza. Nie było szans na ratunek. Żadnych.

Strażacy i wojsko z Chile oraz sąsiedniej Argentyny walczyli z żywiołem przez dwa tygodnie. Wskutek klęski spłonęło ponad 15 tys. hektarów parku. Pierwotnych lasów i stepów.

Naukowcy oszacowali wówczas, ile czasu będzie potrzebować roślinność parku, aby powrócić do stanu sprzed pożaru. Miało to zająć minimum 100 lat. W najgorszych snach nie przewidywali jednak, że zaledwie po siedmiu latach koszmarnie wróci.

Ileokroć czytam o tych tragicznych pożarach, wracam pamięcią do mojego pobytu w tej krajobrazowej bajce. Dobry Bóg sprawił, że miałem okazję wspinać się na turnie Torres del Paine przed drugim pożarem. Było to w styczniu 2009 r. A przygody, jakie tam przeżyłem, i widoki, jakie zobaczyłem, wspominam do dziś.

▶ Tak chce wiatr

Jest początek 2009 r. Nareszcie mamy pogodę. A to nie jest tutaj takie oczywiste. Patagonia nie należy do najbardziej gościnnych rejonów na świecie. Zwłaszcza ta południowa. Tutaj, w Chile, potrafi zawaiać naprawdę mocno. Jednak teraz akurat nam w to graj. Wietrzyśko przegoniło chmury, które od dwóch dni piętrzyły się nad naszymi głowami.

– Stefan, ja dalej nie idę! – słyszę krzyk idącej z tyłu Moniki.

– Oj, chodź, cieniasie! – odkrzykuję, nie mogąc się odwrócić, gdyż dalej walczę z napierającą wichurą.

– Ale ja nie mogę, głupolu!

Trudno. Trzeba się odwrócić, by pogonić guzdrzącą się koleżankę. Przystaję więc, odwracam wzrok, a tam... Monika leżąca twarzą w krzakach. Hulający wiatr nie oszczędził nawet jej, do tej pory wytrwałej i nieugiętej. Nie zdążam jednak wybuchnąć śmiechem, kiedy kolejny podmuch zwała z nóg także mnie. Nie pomagają nawet kijki. Ani dwudziestokilogramowy plecak. Trudno. Przymusowy odpoczynek. Tu i teraz. Tak chce wiatr.

Pogodzeni z losem i uznając swoje miejsce w szeregu, siedzimy tak we dwoje wpatrzni mimowolnie w pobliskie turkusowe Lago Skottsberg. Dopiero teraz widać wyraźnie, jak pióropusze wody podrywane wiatrem występują z toni jeziora i unoszą się dobre kilkanaście metrów nad jej powierzchnię. Zdumiewające zjawisko. Siedzimy w milczeniu i obserwujemy ten spektakl, jaki prezentują nam dwa niezwykle żywioły.

Wijący prosto w twarz wiatr skutecznie opóźnia nasz marsz. Odcinek przewidziany na dwie godziny pokonujemy w ciągu czterech. Ale pokonujemy. To najważniejsze. Most nad Río Francés świadczy, że jesteśmy na miejscu. To tutaj rozpoczyna się kolejny nasz cel. To tutaj znajduje się brama prowadząca w głąb Doliny Francuzów.

▶ Nocne pomrukiwanie

Nad Patagonią rozbłyskują pierwsze gwiazdy. Za ich przykładem kolejne. I kolejne.

– Słyszysz? – zaniepokojony głos Moniki wybudza mnie ze słodkiego snu patagońskiej nocy.

– He?..



Dryfujące niczym samotne żagłówki lodowe ostanice wokół czola El Grey

– Nie udawaj. Spać nie mogę. Wsłuchaj się przez chwilę. Idzie burza – jakby na potwierdzenie tych słów nocną ciszę przesywa głośny huk.

– Faktycznie, coś krąży. Trudno, mamy dzień zapasu. Najwyżej jutro przeczekamy. Chociaż szkoda by było...

Ranek. Najwyższa pora skontrolować sytuację pogodową. Pełen obaw walczę z namiotowym suwakiem. Zawsze się zacina. Zawsze! Jeszcze chwila... Co czeka po drugiej stronie? Po nocnych hukach nie mogę spodziewać się niczego dobrego. Wychylam twarz przed wyjście i... momentalnie odruchowo zasłaniam oczy. Słońce jakby na siłę przeciska się przez wciąż zaspane powieki. Jak ja Kocham takie chwile! Słońce w pełni. Żadnej chmurki na niebie. Wystarcza chwila obserwacji, by znaleźć odpowiedź, co tak naprawdę działo się dzisiejszej nocy. To żadne wylądowania atmosferyczne, a obrywające się co chwila śnieżne lawiny z grani Paine Grande. Zabawne. Jakież podobieństwo. W nocnej pustce, gdy widzi się tylko czarny tropik, taki huk może kojarzyć się wyłącznie z nadchodzącą burzą. Wyobraźnia buzuje. Teraz, w tak barwnej scenarii tybetańsko-himalajskiego krajobrazu, ten sam huk nie wydaje się już tak groźny. Od ściany Paine Grande dzieli nas Rio Francese, a za nią jeszcze około tysiąc metrów ściany. Z tak bezpiecznej perspektywy huk obsuwających się lawin tylko cudownie dopełnia całokształt tego wysokogórskiego pejzażu.

Wędrówka w górę Doliny Frances to bardzo łatwy i przyjemny trekking. Po około 2 godzinach marszu docieramy do księżycowatej pustyni. To miejsce najczęstszych uderzeń lawin z Paine Grande. Żadnych drzew. Ostały się tylko pojedyncze, wyschłe, pionowe słupy. To tak, jakby przemierzać ponure pustkowia

z powbijanymi gdzieś tam słupami wysokiego napięcia. Przynębiający pejzaż. Wystarczy jednak wspiąć się nieco wyżej, ponad znakowany szlak, by znaleźć się w jakże odmiennej scenarii. Stąd zobaczymy słynne Cuernos del Paine – tym razem od północy. Nietypowo. Jesteśmy już na tyle wysoko, że wyraźnie widać szczegóły formacji skalnej na jednej z trzech wież Torres del Paine. To najwyższa z nich: Torre Sur (2850 m n.p.m.). Wylania się zza okolicznej przełęczy. Naprzeciwko natomiast podziwiamy grzebień Cerro Lo Gemelos, Cerro Trono Blanco, Cerro Aleta de Tiburon oraz Cordiliera Paine Grande. Jakby dać małemu dziecku kredki i polecić narysować góry, malec z pewnością narysowałby coś podobnego do tego, co teraz widzimy. Pojedyncze wieże. Postrzępiona grań. Zespół połączonych piramid skalnych. A wszystko to monstrualnych rozmiarów. Człowiek obserwujący te cuda z osypujących się piarżysk zdaje się ledwie dostrzegałym pyłkiem.

– Obawiam się, że dalej nie pójdziemy.

– Chyba żartujesz? Zobacz, jaka wspaniała ścieżka!

– Monika, nie czekając na odpowiedź, pośpiesznie rozpoczyna wspinaczkę wyschniętym korytem potoku.

– A nie zastanawia cię, że oprócz nas nie ma tu nikogo? – usiłuję dopuścić nieco racjonalnego chłodu w naszą spontaniczną decyzję o łamaniu parkowego zakazu.

– Stefan, czy naprawdę nijak nie działa na ciebie wiązka podejścia pod samą Cuernos?

Od początku byłem na przegranej pozycji. Bo o czym tu dyskutować? Idziemy wyżej. Kto wie, kiedy nadarzy się okazja, by znów cieszyć się pięknem wysnioną krainy górskiej baśni? W dodatku w intymnej relacji sam na sam. Niczym na randce z prześliczną dziewczyną.



Dla fotografów czas spędzony w parku na pewno nie będzie czasem straconym

► Wpierw recenzja, potem lektura

Znow uderzył. I znowu mu się udało. Znowu mnie położył. Nie mam już siły z nim walczyć. Pomimo tego, że naprawdę próbuję. Pomimo moich trekkingowych kijów. Pomimo ponaddwudziestokilogramowego plecaka na ramionach. Wszystko to mało. Kolejny huk zaatakował tak niespodziewanie. Na szczęście od pół godziny szlak prowadzi wzdłuż zarośli. Upadam więc w patagońską odmianę naszej kosodrzewiny. Jeszcze chwileczkę tu poleżę. Nie mam siły ponownie się z nim użerać.

Wiatr wygina okoliczne patagońskie buki w fantazyjne kształty. Te też jakby już odpuściły. Rosną tak, jak sobie tego życzy, troszkę krzywawo, po łuku. Ta myśl, że nie jestem w tym wszystkim sam, sprawia, że zaczynam się do siebie uśmiechać.

– Spójrz! – dochodzący z tyłu głos Moniki wybudza mnie nieco z humorystycznych wyobrażeń. – Już się pokazują!

– Ojej, rzeczywiście! – to, co dostrzegam, sprawia, że nagle wstępują we mnie nowe siły. Faktycznie, widać już pierwszą z trzech wież. To chyba południowa wieża Torres del Paine. Wizytówki najpiękniejszego górskiego parku Ameryki Południowej.

Ulokowany na samym południu kraju. Stąd do słynnej Cieśniny Drake’a na przysłowiowym „końcu świata” (tutaj, gdzie kończy się Ziemia Ognista, a zaczynają się

zamarznęte wody Antarktydy) jest już tylko 660 kilometrów. „Tam to dopiero wieje” – pocieszam się w myślach.

Ale z hulającego po równinnej Patagonii wiatru jest także pewna korzyść. To on rzeźbi w patagońskich ścianach takie kształty, jak ten w tej chwili przed nami. Trzy nagie zęby. Skalne wieże. Wyszlifowane niczym u najlepszego szlifierza. Z idealnie pionowymi zboczami. Siłowymi ścianami.

Wieża Torres del Paine. Niewysławiona wrogość posępnego piękna. Podejście pod słynne granitowe siostrowane ściany charakteryzuje się specyficzną etapowością. Podczas wspinaczki wieże widzimy tylko dwa razy. Na samym początku, u stóp wzniesienia, a potem dopiero na końcu. Poza tym praktycznie przez całą trasę gonimy za magicznym wyobrażeniem, które zostało tam, na dole. Wyobrażeniem, którego zaledwie kontur udało nam się dotychczas potwierdzić.

► Kraina bólu

Początkowo szlak wiedzie zboczem stromego urwiska, na dnie którego płynie Rio Ascencio. Podejście nie jest trudne. Po drodze mijamy schronisko Chileno, skąd do celu mamy już zaledwie dwie i pół godziny. Ostatni odcinek to dosyć strome podejście. W dodatku po piarżysku. Coraz wyższe progi. Głazy porozrzucane tu i tam. Uwielbiam takie trasy. Ty decydujesz, którądy iść. Mimo wolnie staje mi przed oczami swojskie podejście pod Zawrat z Doliny Gąsienicowej. Z tą różnicą, że tutaj jest znacznie szerzej – nie jesteśmy praktycznie ograniczeni żadną ścianą – oraz nieco bardziej „po bałaganiarsku”.

Torres pokażą się nam dopiero, gdy osiągniemy szczyt moreny. To z niej widać zielonkawę jezioro Torres, a ponad nim trzy fantastyczne wieże. Najniższa, Torre Norte, wzbija się 500 metrów ponad opływający ją lodowiec. Kolejna – Torre Central – już na 1050 metrów. Trzecia, Torre Sur, wznosi się 1100 metrów ponad lodowiec Glaciar Torres. To naprawdę fascynujące widowisko. Przysiadam na chwilę. Dopiero będąc tutaj, można zrozumieć sens nazwy tego miejsca. Torres del Paine oznacza przecież „Wieża Bólu”.

Jest bardzo wietrznie. I bardzo zimno. Tak srogo. I niezwykle ponuro. Niegościnna kraina. Faktycznie – kraina bólu. Mimo że wokół roztacza się skalna panorama z mnóstwem szczegółów, mam nieodparte wrażenie, że znajduję się w krainie pustki. Tak, to słowo pasuje tutaj najlepiej. Pustka. Metafora bólu.

► „Grey” znaczy „szary”

Od rana zanoszą się na deszcz. Praktycznie nieprzezwanie. Aż nie chce się wychodzić z ciepłego i wygod-

Słynne Wieże Bólu – Torres del Paine



nego autobusu. Choć za oknem widoki, jakich mało, to jednak... Chmury wiszą na niebie. To tutaj ponoć norma. Wielbiciel południowoamerykańskich parków narodowych William Leitch w swojej książce pisał o pogodzie w parku Torres del Paine tak: „W to poniedziałkowe stycyniowe popołudnie kąpałem się w Lago Pehoe. Podczas dnia paradowałem w istic letnim stroju. Ale jeszcze tego samego wieczoru przyszła wichura, a wraz z nią śnieg i deszcz. Zrobiło się po prostu mroźno”. Takie jest Torres del Paine. Taki jest najchętniej odwiedzany z chilijskich parków narodowych.

Dlatego z wielką przyjemnością przyjmuję od obsługi statku na wspomnianym już Lago Pehoe gorącą czekoladę.

– Uspokój się. Jest w cenie naszego biletu. Możesz brać – Monika wie o moim przerażeniu chilijskimi cenami. Zwłaszcza tutaj, w południowej części Patagonii, ceny są istic francuskie.

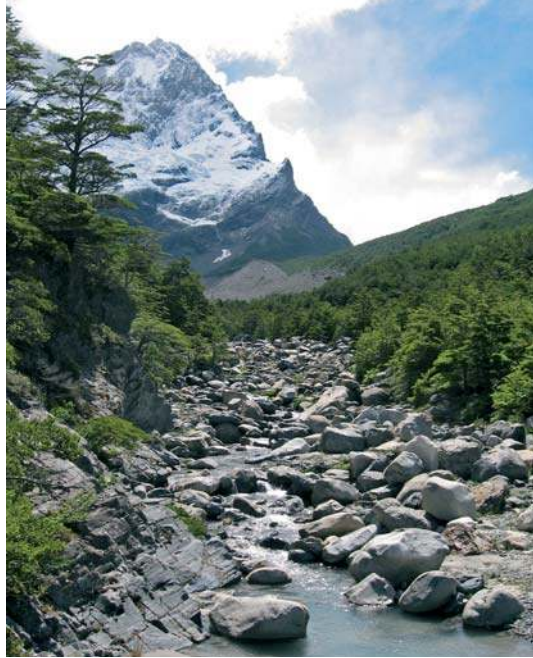
Po zejściu z promu i rozbiciu namiotu szybko ruszamy przed siebie. Dziś naszym celem jest największy lodowiec parku: Glaciar El Grey, „Lodowiec Szary”. Za kilka godzin przekonamy się naocznie, skąd ta nazwa.

Przyznam, że ten park naprawdę zaskakuje. Czytałem przed przyjazdem, że mnóstwo tu wodospadów, lodowców, pięknych jezior, skalnych turni, ale raczej nie spodziewałem się, że może tu tego być aż tyle! Po kilku wyziewach zachwyty i kilkunastu minutach spaceru docieramy nad Lago Grey. I tutaj po raz pierwszy w życiu widzę pływającą górę lodową. Białe, pływające lodowe czapy na granatowym jeziorze. Stoję jak dzieciak przed wystawą z lodami. Trzeba jednak iść dalej. To jeszcze nie jest nasz lodowiec. To raczej jego wypłucia. Ułamki, które wyszły spod jego grubego cielska.

Dotychczasowe nadbrzeżne łąki przepoczwarzają się w las. Patagońskie buki, niskopienne, pochylone jednakowo przez hulający w tej części świata nieustannie wiatr współtworzą „zaczarowany las”. Posępny las śmierci. Po chwili szarość i brąz zastępuje prawdziwa soczysta zieleń. W dodatku polana z kwiatami układa się w kształt serca. A może znowu przesadzam?

Po prawej stronie szlaku huczy wodospad. Przez moc wrażeń zapominam o wciąż siąpiącym deszczu. Nie przeszkadza też zrywający się co chwila wiatr. Na szczęście od czasu do czasu naszym sprzymierzeńcem okazują się las bądź głęboki leśny wąwóz, przez którego dno prowadzi nasz szlak. Tu jest zdecydowanie ciszej.

Po czterech godzinach marszu przez śródleśny krajobraz bajki, baśni, a czasem ponurej sagi docieramy do celu. Oto on. Białoszara smuga na jego wierzchu wyjaśnia, dlaczego „El Grey”. Jest rzeczywiście szary. Troszkę psuje to całą kompozycję. Wydawało mi się, że po takim spacerze przez baśniowe lasy widok, który będzie na nas czekał, zwali nas z nóg. A tak nie jest.



Potok Francuzów – to gdzieś w tej okolicy zaproszył się ogień

Białawoszara skorupa zajmująca większą część horyzontu. Ponoć z każdym rokiem coraz mniejszy jego fragment. To jeden z lodowców typu „cofających się”. O tym, że raczej kurczy się, aniżeli rozmnaża, świadczą pływające wszędzie wokół pojedyncze lodowe ostańce. Dryfują w kierunku znanego nam Lago Pehoe. Większość prawdopodobnie tam nie dopłyne. Pojawi się słońce, podziela wiatr. Lodowy ostaniec roztopi się po drodze.

Póki co współtworzy jeden z dziwniejszych krajobrazów, jakie do tej pory widziałem. Z ogromnego cielska wypływają kolejne białe ładowe karły. Wyglądają z daleka jak niewielkie żaglówki rozlokowane na całej szerokości jeziora. Im dalej, tym ich mniej. Nad jeziorem coraz mocniej zaczyna padać zimny deszcz. Do jutra nic z nich już nie będzie.

► Z archiwum patagońskiej histografii

Tak ten park zapamiętałem. Troszkę jako pocztówkę z odległej Nibylandii. Troszkę jako coś, co być może i dobrze, że się już skończyło. Bo przecież zimno, wietrznie, nieco survivalowo. Gdy jednak spoglądam teraz na te zdjęcia płonącego lasu bukowego pod mityczną bramą do Doliny Francuzów... Dopiero teraz przychodzi otrzeźwienie, że tej bramy już nikt z tego pokolenia nie otworzy.

Ale wiecie co? Może to i nierealne, ale mam dziwne wrażenie, że te wyziewy wiatru, ten smak patagońskiego chłodu bijącego od sinych ścian turni Torres del Paine – że to wszystko da się jednak jakoś utrwalić. Może choćby na kartach tego reportażu.

Chyba jednak coś pozostało. ■



Ryszard Czarnecki

Trump i okolice

Poszę te słowa w samolocie z Cleveland do Bostonu. Kilkanaście godzin temu zakończyła się konwencja wyborcza republikanów. To nie był wcale *one man show*! bynajmniej nie wszystko kręciło się wokół Donalda Johna Trumpa – tu się uśmiechnę – bo od wtorku do czwartku zaprezentowały się też inne osoby: Melania Trump, Ivanka Trump czy Eric Trump. Zwłaszcza Ivanka zrobiła wrażenie. I nie tylko estetyczne... Imię zawdzięcza mamie – Czeszce. Skądinąd przyszły prezydent USA (nie można tego wykluczyć) ma słabość do naszego regionu Europy. Przejawia się to może nie do końca w jego koncepcjach geopolitycznych – bardziej w upodobaniu do kobiet z szeroko rozumianej Europy Środkowej. Wszystkie jego żony z numerami nieparzystymi (pierwsza, trzecia) pochodzą z naszych stron. Pierwsza znad Włoch, ostatnia jest Słowenką. Kiedyś profesor Norman Davies w rozmowie ze mną podkreślił swoją konsekwencję: jego (profesora) wszystkie żony pochodziły z Krakowa. Trump nie jest aż tak monotematyczny, jak historyk z Walii.

Wypominanie trzech połowic republikańskiemu kandydatowi do Białego Domu nie powinno być udziałem, kogo jak kogo, ale Niemców. Ich kanclerz Gerhard Schroeder rozwiódł się jakiś czas temu po raz czwarty, a ich minister spraw zagranicznych Joschka Fischer ożenił po raz piąty. Skądinąd z Iraną, co może tłumaczyć pewną służbową słabość szefa MSZ do reżimu ajatollahów w Teheranie. „Zielonemu” członkowi gabinetu w Berlinie przeszkadzały zanieczyszczenia w niemieckim powietrzu, ale setki oficjalnych egzekucji rocznie w Islamskiej Republice Iranu – jakoś nie. Cóż, serce nie służy.

Wracając do Trumpa, to ten niewątpliwie inteligentny człowiek wyciągnął wnioski ze swoich wcześniejszych wpadek. Jako autor pomysłu (powtórnego) zresztą w nocnym przemówieniu podsumowującym konwencję w (Ohio) budowy antyimigracyjnego muru został przez establishmentowe media spozycjonowany jako przeciwnik latynoskich Amerykanów. Groziło to polityczną śmiercią albo kalectwem ze względu na bardzo rosnącą populację *Hispanics* w USA. Więc to w czasie głównego *speechu* miliardera wokół podium w hali w Cleveland doskonale widoczne podczas telewizyjnych migawek były transparenty z hasłem *Latinos para Trump* (Latynosi dla Trumpa)... A ponieważ

temu miłośnikowi kobiet, dzięki jego niefrasobliwie seksistowskim wypowiedziom (choć bardzo podobającym się w elektoracie męskim, *sorry*; taki mamy klimat w tej Hameryce), doprawiono również gębę wroga białogłów, to w odpowiedzi pojawiły się też inne afisze z hasłem – eksponowane podczas transmisji TV – *Women for Trump*.

CZY W LISTOPADZIE BIAŁY TRUMP DOSTANIE
GŁOSY *LATINOS*? ZDECYDOWAŁY ONE
O PORAŻCE ROMNEYA W 2012 R. CZY
POGRĄŻĄ EKSCENTRYCZNEGO ZWYCIĘZCĘ
REPUBLICAŃSKICH PRAWYBORÓW?
NIE JEST TO PRZESĄDZONE.

A że z tymi hiszpańskojęzycznymi Amerykanami mają w USA problem, świadczy statystyka: już dziś w kategorii wiekowej od noworodka do 15 roku życia najwięcej jest właśnie nie „białych” dzieciaków, tylko *Hispanics*. Na drugim miejscu dynamiki rozrodczości są w Stanach Azjaci, na trzecim – Murzyni („Afroamerykanie”), potem dopiero biali. Za niespełna ćwierć wieku (2040 rok) biała ludność USA będzie w mniejszości. Tymczasem na konwencji republikanów na oko z 95 proc. (sic!) uczestników stanowili WASP, czyli biali właśnie. Czy w listopadzie biały Trump dostanie głosy *Latinos*? Zdecydowały one o porażce Romneya w 2012 r. Czy pogrążą ekscentrycznego zwycięzcę republikańskich prawyborów? Nie jest to przesądzone. ■

PS Jasne, że Joschka Fischer ożenił się po raz piąty, gdy przestał być ministrem, ale swoją irańską żonę (*notabene* córkę... swojego przyjaciela!) poznał za ministerialnych czasów. Jasne też, że Hillary Rodham Clinton wisi na głosach Murzynów. Ale o „oczywistych oczywistościach” się nie pisze...

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.



► Hongkong

We wrześniu w Hongkongu odbędą się wybory do Rady Ustawodawczej (Legco), lokalnego parlamentu. Na dwa miesiące przed głosowaniem rząd w byłej kolonii brytyjskiej zażądał od kandydatów ubiegających się o stanowisko delegata Legco złożenia podpisu pod dokumentem stwierdzającym, że akceptują fakt, iż „Hongkong jest nieodłączną częścią Chin kontynentalnych”. Niezłożenie takiej deklaracji będzie jednoznaczne z wykluczeniem z walki wyborczej.

Do tej pory startujący w wyborach musieli wyrazić poparcie dla Prawa Podstawowego, czyli małej konstytucji, która obowiązuje od 1997 r. do 2047 r., a także złożyć zapewnienie wierności Hongkongowi.

Nowa wersja deklaracji składanej przez kandydatów przed wyborami spotyka się z ogromną krytyką. Uważa się, że władze w Hongkongu i Pekinie obawiają się, iż w byłej kolonii brytyjskiej, zwłaszcza wśród młodych osób, rosną nastroje niepodległościowe i zamierzają wykluczyć w ten sposób z udziału w wyborach polityków opowiadających się za pełną niezależnością Hongkongu od ChRL.

Law Yuk-kai, kierujący pozarządową organizacją Hong Kong Human Rights Monitor, uważa, że nowy wymóg władz wobec kandydatów jest „polityczną cenzurą i łamaniem zasady wolności myśli”.

Opowiadający się za niepodległością Hongkongu i startujący w wyborach do parlamentu Edward Leung Tin-kei stwierdził, że decyzję o tym, czy podpisze nową deklarację, podejmie po konsultacjach z prawnikami. „Gdybym musiał to podpisać, bo tylko w ten sposób zaakceptowano by moją nominację, to będę starać się o rewizję sądową w tej sprawie. Ale nadal będę głosić moje ideały na forach wyborczych, bo na to pozwala mi wolność wypowiedzi”.

Rada Ustawodawcza w Hongkongu liczy 70 osób i jej kadencja wynosi cztery lata. Połowa deputowanych wybierana jest przez okręgi funkcjonalne (grupy zawodowe), a pozostałych 35 deputowanych rekrutuje się z wyborów bezpośrednich w geograficznych okręgach wyborczych. Tegoroczne wybory do Rady Ustawodawczej odbędą się 4 września.

► Korea Południowa

Jak poinformowały władze w Seulu, amerykański system obrony przeciwrakietowej THAAD (Terminal High-Altitude Area Defense) zostanie rozmieszczony na wschodzie Korei Południowej w prowincji Gyeong-sang Północny, około 230 km od Koreańskiej Strefy Zdemilitaryzowanej. System ma zapewnić ochronę dwóch trzecich terytorium kraju przed ewentualnym

zagrożeniem nuklearnym i raketowym z Korei Północnej. Rozmowy na temat dyslokacji baterii wyrzutni systemu antybalistycznego trwały od lutego 2016 r., a plany instalacji systemu wywołują sprzeciw Korei Północnej, Chin, a także Rosji.

Według agencji Associated Press Moskwa i Pekin sprzeciwiają się rozmieszczeniu systemu THAAD w Korei Południowej, ponieważ obawiają się, że mógłby on być przez Amerykanów wykorzystywany do śledzenia chińskich i rosyjskich pocisków rakietowych. Adam Cathcart, ekspert ds. Azji Wschodniej na brytyjskim Uniwersytecie Leeds, uważa, że Pekin widzi instalację systemu THAAD jako wymierzoną w chińskie działania na Morzu Południowochińskim. Co więcej, komunistyczne władze ChRL są zaniepokojone deklaracjami Japonii pragnącej także na swoim terytorium w przyszłości zainstalować amerykański system obrony przeciw-rakietowej.

W czasie wizyty prezydenta Rosji Władimira Putina w Pekinie pod koniec czerwca tego roku rosyjski przywódca i prezydent Chin Xi Jinping podpisali wspólne oświadczenie dotyczące wzmacniania globalnej stabilności, w którym zaznaczono m.in., że ChRL i Rosja sprzeciwiają się rozmieszczeniu w Europie (w Polsce i Rumunii) morskiego systemu antybalistycznego Aegis Ashore, a w Azji (w Korei Płd.) systemu przeciw-rakietowego THAAD.

Pojawiły się informacje, że w geście sprzeciwu wobec instalacji amerykańskiego systemu Pekin i Moskwa mogą przestać popierać sankcje ONZ wobec Korei Północnej.

Także reżim Kim Dzong Una ostro sprzeciwia się instalacji THAAD i grozi USA oraz Korei Południowej „fizyczną odpowiedzią”, jeśli na Półwyspie Koreańskim rozmieszczony zostanie amerykański system obrony przeciw-rakietowej.

„Dojdzie do fizycznej odpowiedzi z naszej strony, gdy potwierdzona zostanie lokalizacja i czas dostarczenia do Korei Południowej narzędzia inwazji na rzecz przewagi USA na świecie, jakim jest THAAD” – napisano w oświadczeniu północnokoreańskiej armii.

► Tajwan

12 lipca Stały Trybunał Arbitrażowy w Hadze uznał, że Pekin nie ma praw historycznych do wód na Morzu Południowochińskim i przez swoje działania naruszył suwerenne prawa Filipin. Decyzja ta rozwścieżyła Pekin. Ale jest jeszcze jedna strona niezadowolona z werdyktu trybunału – Tajwan, który też zgłasza pretensje do części spornego akwenu.

W ramach rozpatrywania pozwu złożonego przez Filipiny trybunał w Hadze stwierdził, że Itu

Aba (albo Taiping), którą Tajwan uznaje za swoje terytorium, w rozumieniu prawnym nie jest wyspą, ale skałą. Gdyby Taiping uznany został za wyspę, to Tajwan, ale i Chiny, które uważają Taiping za swoją część, mogłyby rościć prawa do 200-milowej strefy ekonomicznej na Morzu Południowochińskim, czyli do obszaru, w którym dany kraj ma wyłączne prawo m.in. do połowów i eksploatacji surowców z dna morskiego.

Dziś Taiping to m.in. pas startowy, przystań, szpital i mała elektrownia słoneczna. a 200 tamtejszych mieszkańców stanowią tajwańscy żołnierze i członkowie personelu medycznego.

Nowe władze na Tajwanie (prezydent Tsai Ing-wen została zaprzysiężona 20 maja tego roku) zaraz po ogłoszeniu werdyktu trybunału wysłały w rejon Itu Aba okręt wojenny. „Nigdy nie zaakceptujemy wyroku trybunału. [...] To nie jest prawnie wiążące” – stwierdził Alex Hung, rzecznik biura prezydenta Tajwanu.

Pozycja Tajwanu w sporze o Morze Południowochińskie jest o tyle odmienna od innych zaangażowanych stron, że Chiny nie uznają go jako kraju. Zamiast tego Pekin traktuje wszystkie tajwańskie roszczenia jako własne. Rząd Tsai Ing-wen jasno deklaruje, że jego roszczenia dotyczące Taiping nie są wysuwane w imieniu Chin i sprzeciwia się wszelkim ambicjom, jakie Pekin ma wobec terytoriów należących do Tajwanu.

Wielu ekspertów i komentatorów twierdzi, że po ogłoszeniu werdyktu trybunału nowa prezydent Tajwanu zareagowała zbyt przesadnie.

Jerome A. Cohen, profesor w Szkole Prawa Uniwersytetu Nowojorskiego i ekspert do spraw prawa chińskiego, uważa, że „Tsai popełniła poważny błąd, stając ostro w obronie suwerenności Tajwanu nad wyspą Taiping i wysyłając tam okręt, tak jakby w danym momencie istniało rzeczywiste zagrożenie wobec roszczeń Tajwanu”. Według Cohena administracja Tsai może nie zgadzać się z wnioskiem trybunału, „jednak powinna podkreślać, że będzie przestrzegać prawa międzynarodowego”.

Eksperti podkreślają, iż Tsai Ing-wen i jej rząd słusznie oprotestowali zawarte w wyroku stwierdzenie określające Tajwan jako „Tajwańska władza Chin” (*The Taiwan Authority of China*), a umniejszające rangę Tajwanu jako suwerennego państwa.

► Chiny-Tajwan

Po wygranej sił proniepodległościowych w styczniowych wyborach prezydenckich i parlamentarnych na Tajwanie relacje na linii Pekin-Tajpej znacznie się ochłodziły. Komunistyczne władze Chin w różny sposób starają się ukarać wyspę za niewłaściwy wybór i za niewskazanie kandydatów partii od lat współpra-

cującej z Pekinem, czyli Kuomintangu. Dlatego też władze chińskie ograniczyły np. liczbę turystów mogących przybywać z ChRL na Tajwan, licząc, że ucierpi na tym przemysł turystyczny wyspy. Teraz postanowiono wziąć się za wymianę kulturalną.

W wyniku interwencji i kampanii prowadzonej m.in. w Internecie przez organizację młodzieżową Komunistycznej Partii Chin, Ligę Młodzieży Komunistycznej, wymuszono na chińskiej reżyserce Vicky Zhao, by w swoim najnowszym filmie nie powierzyła jednej z ról tajwańskiemu aktorowi Leonowi Dai. Liga stwierdziła, że tajwański aktor nie może grać w chińskim filmie, bo popiera niepodległość Tajwanu, a ponadto wyraził swoje poparcie dla „rewolucji parasoli” w Hongkongu. Od chińskiej reżyserki przedstawiciele komunistycznej młodzieżówki zażądali, by postawiła „interes państwa ponad podziwem dla zdolności” aktora i by wykluczyła go z powstającej już produkcji.

Leon Dai rzeczywiście w ostatnich latach wyrażał swoje poparcie dla protestów w Tajpej i w Hongkongu, które były sprzeciwem wobec polityki Pekinu. Reżyserka Vicky Zhao próbowała bronić aktora, twierdząc, że od lat występuje on w chińskich produkcjach i jest w Państwie Środka znanym artystą. Komunistyczna młodzieżówka była jednak nieugięta i ostatecznie studio filmowe zwolniło tajwańską gwiazdę. Po tej decyzji wielu tajwańskich filmowców wyraziło poparcie dla Leona Dai.

Film, w którym miał zagrać Leon Dai, nosi tytuł „Żadnej innej miłości” i jest finansowany przez Jacka Ma, twórcę Alibaby, platformy o światowym zasięgu, która służy firmom do wymiany handlowej. Chiński miliarder już niejedną raz pokazał, że KPChL może na nim polegać i tak np. w wywiadzie dla gazety hongkońskiej w 2013 r. Ma określił jako „słuszną” decyzję Deng Xiaopinga o wysłaniu armii na protestujących na placu Tiananmen studentów w czerwcu 1989 r. W tym samym wywiadzie określił komunistyczny rząd w Pekinie jako „wspaniały” i mimo istnienia projektu Złota Tarcza zaprzeczał, aby władze kontrolowały Internet w Państwie Środka.

Kilka dni po zwolnieniu Leona Dai inna artystka stała się ofiarą upolityczniania przemysłu rozrywkowego w Chinach. Audrie Kiko Daniel, aktorka koreańskiego pochodzenia, także grająca w filmie „Żadnej innej miłości”, została zmuszona do opublikowania w Internecie „przepraszin skierowanych do Chińczyków” za to, że na jednym z portali społecznościowych polubiła zdjęcie przesładowanego przez władzę chińskiego artysty Ai Weiwei. Fotografia przedstawia środkowy palec wyciągnięty w kierunku placu Tiananmen (w jednym z budynków na placu mieści się siedziba chińskich władz).

tłumaczył Antoni Rybczyński

Jak odstraszyć odradzającą się Rosję

Grupa wojskowych i analityków z Instytutu Studiów Strategicznych U.S. Army War College opracowała obszerny raport przeznaczony dla dowództwa sił amerykańskich w Europie (EUCOM). Mówi on o polityce putinowskiej Rosji i sposobach jej powstrzymania. Autorzy przedstawiają m.in. cztery główne czynniki determinujące politykę rosyjską wobec Zachodu. Raport pt. „Strategiczna siła lądowa i odradzająca się Rosja: operacyjne podejście do odstraszenia” liczy ponad 200 stron. Wybraliśmy kilka fragmentów.

Przez ostatnie stulecie stosunki USA z Rosją ewoluowały od sojuszniczych do wrogich, potem opierały się na strategicznym partnerstwie, wreszcie rywalizacji. Obecnie relacje są napięte z powodu działań Rosji na Ukrainie oraz w związku ze sprzecznymi interesami każdego z państw. Gdy Zachód próbuje zrozumieć Rosję, nieustannie pojawiają się te same pytania. Czym kieruje się rosyjski prezydent Władimir Putin w swym podejściu do Stanów Zjednoczonych i wschodniej Europy oraz jak USA mogą wpływać na politykę zagraniczną Rosji?

► Bez kompromisu

Zdolność Stanów Zjednoczonych do zrozumienia Rosji zawsze niosła ze sobą wyzwania [...]. Co więcej, polityczny krajobraz i narodowe interesy Federacji Rosyjskiej drastycznie zmieniły się po rozpadzie Związku Sowieckiego, rozszerzeniu NATO, wybuchu globalnej wojny z terroryzmem oraz obecnym konfliktem z ISIS w Iraku i Syrii. Stany Zjednoczone niezmiennie nie rozumieją celów Rosji, co wynika z różnic między amerykańską a rosyjską kulturą polityczną, społeczną i strategiczną. Powszechnym błędem w polityce zagra-

nicznej USA wobec Rosji jest wiara w to, że Rosjanie myślą, zachowują się i podejmują decyzje tak jak obywatele Stanów Zjednoczonych. Amerykańscy rządzący są zdezorientowani, gdy rosyjscy decydenci podejmują decyzje, które są niejasne i rozchodzą się z ideałami i politycznymi celami USA. Próby zastosowania „lustrzanego odbicia” jako sposobu na wpływanie na rosyjską politykę zagraniczną są niebezpieczne i przynoszą niewiele korzyści. Polityka resetu w 2009 r. zweryfikowała pozwaczając pułapkę „lustrzanego odbicia” szczególnie w przypadku Nowego Traktatu o Redukcji Broni Strategicznej (START) z 2010 r. Nowy START miał wzajemnie zredukować liczbę głowic jądrowych i wyrzutni USA i Rosji. Stosując zasadę „lustrzanego odbicia”, jeśli Rosja myślałaby jak USA, wówczas obie strony zgodziłyby się ograniczyć ich jądrowe arsenały po równo, godząc się na kompromis. Jednak jest na odwrót, bo Rosja myśli inaczej niż USA i bardziej na zasadzie gry o sumie zerowej. Nowy START wymagał cięć w arsenałach nuklearnych USA, nie redukując arsenału Rosji.

Sun Tzu naucza, że należy znać siebie i wroga. Jeśli zna się tylko jedną stronę, zawsze jest się w niebezpieczeństwie. Aby zrozumieć rosyjski sposób myślenia

i móc na niego wpływać, trzeba dobrze znać historię, kulturę rosyjską i sowiecką, oraz wiedzieć, jak te czynniki wpływają na rosyjski proces decyzyjny. Na przykład – rosyjskie pragnienie ochrony ojczyzny i generalna nieufność wobec obcych w nietypowo silnym stopniu oddziałują na rosyjską politykę zagraniczną. [...]

Ten rozdział dowodzi, że polityka zagraniczna Rosji wobec Zachodu i ta dawniejsza, i ta obecna jest napędzana głównie przez cztery nadrzędne czynniki: psychologiczny *background* prezydenta Putina i ewolucję jego procesów myślowych; pragnienie utrzymania krajowej kontroli nad ludnością przez scentralizowany rząd; stałą nieufność do Zachodu; ochronę rosyjskiej ziemi dzięki istnieniu zewnętrznej „strefy buforowej”. Po sprecyzowaniu natury tych idei, w rozdziale tym ocenione zostaną dyplomatyczne, informacyjne, militarne i ekonomiczne narzędzia, które najbardziej wpływają na rosyjskie podejście do polityki zagranicznej. [...]

► Kontrola w kraju

Kreml jest przekonany, że utrata wewnętrznej kontroli daje wrażenie słabości i obniża status międzynarodowy Rosji. Utrzymanie panowania nad populacją jest kamieniem węgielnym sowieckiego i rosyjskiego sposobu sprawowania rządów. Jest wspólnym elementem od urzędowania Jurija Andropowa na stanowisku sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego w 1983 r. po trzy kadencje prezydenckie prezydenta Putina. Sowieccy i rosyjscy przywódcy niezmienne uważają, że opozycja i różnica poglądów prowadzą do gwałtownego powstania, utraty kontroli i osłabienia państwa. Putin utrzymuje wewnętrzną kontrolę przez wprowadzenie wertykalu władzy, nadzorowanie mediów oraz ukierunkowaną przemoc, aby zdusić dysydentów. Przywołując lata jelcynowskie, lata prezydentury rosyjskiej, które obfitowały w nieporządki, ekonomiczny upadek i korupcję, Putin podczas swojej pierwszej kadencji wprowadził środki, aby panować nad szefami regionów i innymi częściami władz i by przywrócić porządek.

Pod rządami Putina kontrola pozostaje integralną częścią jego stylu przywództwa. Co więcej, Putin w bardzo dużym stopniu wpłynął na Dumę Państwową, niższą izbę parlamentu Rosji, przez wyeliminowanie z procesu wyborczego kandydatów indywidualnych. Wyborcy mogą głosować tylko poprzez listy partii politycznych, nie zaś kandydatów niezależnych. Duma ma dowolność w wyznaczaniu liderów partii w arbitralny sposób. Co istotniejsze, międzynarodowe instytucje, takie jak OBWE, uznają wybory w Rosji za nieuczciwe. Na przykład OBWE dostrzegła nieprawidłowości w liczeniu głosów

w wyborach parlamentarnych w Rosji w 2007 r. i nie uznała wyborów ani za wolne, ani za uczciwe. Putin rozprawił się też z niezależnością władzy sądowniczej, podporządkowując ją państwowym interesom, elicie. [...] Organizacja non profit Freedom House, stworzona w celu szerzenia wolności i demokracji, przyznaje Rosji Putina „6”, jeśli chodzi o prawa polityczne i wolności obywatelskie, gdzie „1” oznacza najbardziej wolną, a „7” najbardziej uciśnioną. Putin użył wielkich środków, aby utrzymać kontrolę, ograniczać demokratyczne procesy i prześladować opozycję w Rosji.

Co więcej, pod rządami Putina miało miejsce co najmniej kilka przypadków użycia przemocy w celu kontrolowania opozycji. Określone przykłady obejmują zabójstwa w 2006 r. Anny Politkowskiej, bezkompromisowej dziennikarki i aktywistki na rzecz praw politycznych, oraz w 2015 r. Borysa Niemcowa, lidera opozycji. Oboje byli nieugiętymi przeciwnikami prezydenta Putina, zaś mordy na nich świadczą o cichym przyzwoleniu Rosjan na takie poczynania, a także o gotowości na współpracę przy nich. [...] Dla Putina charakterystyczna jest odwieczna nieufność wobec dysydentów, więc tłamsi ich skutecznie dzięki medialnej kontroli i zastrasza efektywnie ukierunkowaną przemocą. Ponadto Putin czuje się zagrożony retoryką zachodniej demokracji i postrzega ją jako katalizator do podżegania do rewolucji zwykłych Rosjan. [...]

► Strefa buforowa

Obrona ojczyzny jest centralnym tematem w strategiach bezpieczeństwa narodowego kilku krajów, ale ta koncepcja szczególnie intensywnie kieruje rosyjską polityką zagraniczną oraz jest krytyczna dla rozwijania logicznych i skutecznych wojskowych strategii wobec Rosji. Rosyjska wersja obrony ojczyzny wykracza daleko poza naturalne granice Rosji i przenika do byłych republik sowieckich. Aby bronić swojego terytorium, Rosja pragnie rozszerzać granice strefy buforowej i chronić przesiedlonych Rosjan. Pod rządami Putina Moskwa ochrania te społeczności etnicznych Rosjan, znane jako rosyjska diaspora. Koncepcja diaspory przeważa w polityce zagranicznej Putina wobec Krymu, Gruzji i Ukrainy i ponadto umożliwia Rosji skuteczne prowadzenie wojny hybrydowej (czasami odnoszonej do wyzwań szarej strefy) w niejednoznaczny sposób, co raport ten będzie określał jako niejednoznaczne działania wojenne.

Ochrona rosyjskiej diaspory może wpływać na rosyjski proces podejmowania decyzji. Koncepcja polityki zagranicznej i bezpieczeństwa prezydenta Dmitrija Miedwediewa z 2009 r. zawierała kilka odniesień do ochrony etnicznych Rosjan za granicą i domagała się

uznania, że Rosja ma uprzywilejowane interesy w pewnych regionach, takich jak choćby przestrzeń byłego Związku Sowieckiego. Ponadto Rosja domaga się tytułu do ochrony etnicznych Rosjan w krajach tzw. jej bliższej zagranicy (Europa Środkowa i Wschodnia, Kaukaz, Azja Środkowa i kraje bałtyckie) i postrzega zachodnią interwencję jako zniewagę dla niej.

Dlaczego strefa buforowa jest tak ważna? Kreml i rosyjskie kierownictwo czują się zmuszone do utrzymywania „strefy buforowej” wokół granic Rosji jako środka bezpieczeństwa mającego zapobiec naruszeniu terytorialnej suwerenności rosyjskiej. Rosyjskie myślenie o bezpieczeństwie zakłada, że kraj jest otoczony przez wrogów i musi zbudować strefę buforową przeciwko tym zewnętrznym zagrożeniom. To logiczna odpowiedź dla kraju, który doświadczył inwazji i okupacji przez całą swoją historię, od inwazji Mongołów na Ruś Kijowską w 1223 r. po [...] zniszczenie Smoleńska przez

czytamy, że „plany rozszerzenia wojskowej infrastruktury w kierunku granic Rosji oraz próby przydania NATO funkcji globalnych, co jest wymierzone przeciwko normom prawa międzynarodowego, są dla Rosji nie do zaakceptowania”.

Okresy rozszerzania NATO systematycznie zmniejszały terytorium między Moskwą a Zachodem, co zgodnie z narracją rosyjską zagroziło bezpieczeństwu Rosji. Ta ekspansja i przyjmowanie nowych członków Sojuszu zawsze zmierzały ku zachodniej granicy Rosji. NATO także dążyło do nawiązania dobrych stosunków z Rosją przez zaproszenie jej do wejścia do Północnoatlantyckiej Rady Współpracy w 1991 r., program Partnerstwa dla Pokoju w 1994 r., ustanowienie Aktu Założycielskiego NATO–Rosja w 1997 r. oraz powołanie Rady NATO–Rosja w 2002 r. Jednak to, o czym Zachód myślał jako o okazji do promowania demokratycznych wartości, zwiększenia bezpieczeństwa i budowy pokojowych relacji, stało

STANY ZJEDNOCZONE NIEZMIENNIE NIE ROZUMIEJĄ CELÓW ROSJI, CO WYNIKA Z RÓŻNIC MIĘDZY AMERYKAŃSKĄ A ROSYJSKĄ KULTURĄ POLITYCZNĄ, SPOŁECZNĄ I STRATEGICZNĄ. POWSZECHNYM BŁĘDEM W POLITYCE ZAGRANICZNEJ USA WOBEC ROSJI JEST WIARA W TO, ŻE ROSJANIE MYŚLĄ, ZACHOWUJĄ SIĘ I PODEJMUJĄ DECYZJE TAK JAK OBYWATELE STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Napoleona w Wojnie Ojczyźnianej w 1812 r. W ciągu swojej historii Rosja była najeżdżana, okupowana i zmuszana do przyjmowania różnych kultur. Przez ten okres ze strony Rosjan wzmożyły się nieufność do obcych, izolacja i ksenofobia. Ta nieufność i strach przed okrażeniem manifestują się w napiętych stosunkach Rosji z NATO podczas kolejnych etapów rozszerzenia Sojuszu, zwłaszcza wraz z przystąpieniem do paktu krajów wcześniej leżących w bliższej zagranicy Rosji.

Pomimo najlepszych wysiłków Zachodu Putin i Kreml nieustannie postrzegają NATO jako „antyrosyjską” instytucję bezpieczeństwa i organizację, która zwykle redukuje przestrzeń bufora wokół Rosji przez działania rozszerzające Sojusz. W ostatnich latach XX wieku i na początku XXI stulecia Rosja była zaproszona do współpracy z międzynarodowymi instytucjami. Choć rzeczywiście uczestniczyła w różnych projektach jako zaproszony partner, jej wpływ był zminimalizowany choćby z tego prostego powodu, że nie była członkiem i nie miała prawa głosu – odnosi się to zwłaszcza do NATO i Unii Europejskiej. Natomiast w obecnej rosyjskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego o NATO

się punktem spornym z Rosją. Ekspansja NATO zanegowała strefę buforową Rosji i spowodowała, że Sojusz znalazł się 120 kilometrów od Petersburga. Rosja coraz bardziej postrzegała to jako utratę przez nią strefy buforowej i ekspansję wpływów USA i NATO w globalnych zagadnieniach bezpieczeństwa (tj. Bałkany, Irak, Afganistan itd.) przy jednoczesnym marginalizowaniu jej wpływów. Jak zauważa Robert Kaplan z Center for a New American Security, działania NATO jeszcze bardziej zwiększyły obawy rosyjskie, wyciągając historyczną pamięć upokarzających najazdów obcych. Historia ma znaczenie dla Rosjan i rosyjska potrzeba bezpieczeństwa jest głęboko zakorzeniona w historii Rosji. Gdyby do tego wszystkiego dodać poczucie hańby związane z utraceniem wraz z upadkiem Związku Sowieckiego swojego imperium, łatwo zrozumieć, dlaczego Rosja nie była zadowolona z rozwoju sytuacji. Podczas dekady odwrotu Rosja mogła tylko czekać, aż znajdzie się na pozycji, która pozwoli jej coś z tym wszystkim zrobić. ■

Tytuł, lead i śródtytuły pochodzą od tłumacza.

opracował

Stefan Czerniecki



Za chlebem przez Orinoko

Kilkuset ludzi cierpliwie okupuje graniczne bramki. Nie próbuje sforsować ich na siłę, a spokojnie czeka na swoją kolej. Nastroj wyczekiwania. Podwyższonego napięcia. Dokoła kilku uzbrojonych żołnierzy, kilku pograniczników. Nie, to nie zdjęcie afrykańskich uchodźców przemierzających się z kraju do kraju w ucieczce przed wojną. To granica Kolumbii z Wenezuelą.

To musiało się tak skończyć. Jak podają już nie tylko latynoskie, lecz także światowe media, mający serdecznie dość braku produktów pierwszej potrzeby w rodzimych sklepach Wenezuelczycy postanowili szukać ich... za pobliską granicą. W sąsiedniej Kolumbii. I nie byłoby może w tym nic trudnego – jeżdżenie na zakupy z Argentyny do Paragwaju czy z Peru do Boliwii przestało już kogokolwiek dziwić – gdyby nie fakt, że na żądanie ich własnego wenezuelskiego prezydenta Nicolása Maduro granica z Kolumbią została przed rokiem szczególnie zamknięta. Tak się składa, że w sierpniu obchodzimy dokładnie okrągłą rocznicę tego dekretu.

► Juan Santos zaprasza

11 lipca kolumbijskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych udostępniło serię zdjęć przedstawiających tłumy Wenezuelczyków przekraczających mosty graniczne prowadzące z Wenezueli do Kolumbii.

Wenezuelczycy stawili się na granicznych bramkach tuż po tym, jak kolumbijski prezydent zapowiedział, że zgodzi się na 12-godzinne otwarcie granicy swego kraju, gdyż „nie może pozwolić, by

jego wenezuelscy bracia cierpieli głód czy nie mieli leków”. Wszystko zaś stało się po rozmowach, jakie Juan Manuel Santos przeprowadził kilka dni wcześniej z prezydentem Wenezueli Nicolásem Maduro. O zgrozo, to kolumbijski prezydent namawiał wenezuelskiego, aby ten zezwolił swoim krajanom, którym brakuje w ojczyźnie żywności, na jednorazowe przekroczenie granic z Kolumbią, aby zrobić konieczne zakupy.

Cała sytuacja związana z zamknięciem granic jest pokłosiem ataku członków byłych kolumbijskich sił paramilitarnych na wenezuelski patrol wojskowy, który miał miejsce w sierpniu 2015 r. Rannych zostało wówczas trzech wenezuelskich żołnierzy, a Maduro w ramach odwetu zarządził zamknięcie granicy z zachodnim sąsiadem.

Sytuacja wzajemnej izolacji trwałaby najpewniej jeszcze długo, gdyby nie dramatyczna sytuacja w kraju, o której pisaliśmy już w tej rubryce wielokrotnie. O jej praktycznym wymiarze możemy przeczytać w fotoreportażu opublikowanym na łamach hiszpańskojęzycznego portalu Contigoaldia: „Jak podają uczeni z Uniwersytetu Simona Bolívara w Caracas: dziewięciu na dziesięciu Wenezuelczyków twierdzi, że nie jest w stanie zaopatrzyć się w jedzenie we własnym kraju, gdyż ceny nieustannie rosną. [...] Obecnie przeciętny Wenezuelczyk

spędza miesięcznie 35 godzin w sklepowych kolejkach, aby kupić żywność dotowaną przez państwo. Pomimo dotacji na żywność wydaje się w kraju trzy razy więcej pieniędzy niż w 2014 r.". Taka sytuacja musi nieść ze sobą niebezpieczeństwo. W innym miejscu reportażu czytamy: „Tylko w ciągu ostatniego roku zginęło ponad 20 osób podczas oczekiwania w sklepowych kolejkach na zakup żywności. Jedną z ofiar była czteroletnia dziewczynka, która znalazła się w centrum wymiany ognia między rabusiami”.

„Jestem niezmiernie szczęśliwy, że mogę kupić wszystko, co jest niezbędne do mojego domu. Nie należę do ludzi zamożnych, stąd jestem zmuszony do szukania jedzenia sprzedawanego po normalnych cenach, a nie po cenach dyktowanych obecnie u nas w kraju przez przemysłników. Idę kupić papier toaletowy, masło, olej, ryż i mleko» – powiedział 45-letni Coromoto Ramirez. Tymczasem emerytowana nauczycielka Elena Bautista stwierdziła: »To naprawdę wielka radość widzieć to morze ludzi, będących w tej samej sytuacji, co ja, mogących przejść tę

„DZIEWIĘCIU NA DZIESIĘCIU WENEZUELCHYKÓW TWIERDZI, ŻE NIE JEST W STANIE ZAOPATRYĆ SIĘ W JEDZENIE WE WŁASNYM KRAJU, GDYŻ CENY NIEUSTANNIE ROSNĄ. [...] OBECNIE PRZECIĘTNY WENEZUELCHYK SPĘDZA MIESIĘCZNIE 35 GODZIN W SKLEPOWYCH KOLEJKACH, ABY KUPIĆ ŻYWNOSĆ DOTOWANĄ PRZEZ PAŃSTWO”.

► „Siedem godzin, ale było warto”

„Dziesiątki tysięcy Wenezuelczyków przekroczyły wczesnym niedzielnym porankiem kolumbijską granicę. Motywowani brakiem żywności, kosmetyków, leków i innych produktów nieosiągalnych obecnie na terytorium Wenezueli, przechodzili masowo przez międzynarodowe mosty Simóna Bolívara i Francisco de Paula Santandera łączące odpowiednio wenezuelskie San Antonio del Táchira i Ureña z kolumbijskim miastem Cucuta” – czytamy z kolei w honduraskim dzienniku „La Prensa”. „Ogromna mobilizacja nastąpiła po ponownym otwarciu przejść granicznych, które rząd wenezuelski zamknął 11 miesięcy temu. Według Kolumbijskiego Oddziału Kontroli Ruchu Granicznego w ciągu pierwszych czterech godzin od momentu otwarcia granicy na stronę kolumbijską przeszło ponad 35 tys. obywateli Wenezueli. Dyrektor Oddziału, Christian Krüger, oczekuje, że liczba ta wzrośnie bardzo szybko. Do obsługi wszystkich chętnych przewiduje się dwa okienka z pogranicznikami. »Wczoraj (sobota) w sposób uregulowany i uporządkowany przeprowadziliśmy przez granicę ponad 44 tys. Wenezuelczyków. Dzisiaj oczekujemy, że liczba ta przekroczy 75 tys. ludzi« – mówił w niedzielę Krüger”.

W dalszej części tekstu czytamy wypowiedzi samych udających się po zakupy Wenezuelczyków.

zamkniętą do tej pory granicę, aby wreszcie kupić jedzenie. W Wenezueli w tej chwili nie dostaniesz nic. Mieszkam w Rubio (stan Tachira) i tam w sklepach spożywczych nie ma już zupełnie nic». Z kolei 27-letni Elio Camacho przyznał, że podróżował tutaj aż z Barquisimeto (miejscowość oddalona od kolumbijskiej granicy o 580 kilometrów). Wszystko po to, aby zaopatrzyć się w żywność i leki. »Jechaliśmy siedem godzin, ale było warto. Mam, co chciałem« – powiedział, wracając do Wenezueli”.

► Wyciągnięta ręka

Ceny ropy nadal spadają. A to dla Wenezueli – światowego eksportera tego surowca – oznacza koszmarną dziurę budżetową. W rezultacie powstałego kryzysu środki pierwszej potrzeby, choćby papier toaletowy, zaczęły być racjonowane i obecnie sprzedawane są na kartki. Jak pisaliśmy w tym miejscu przed miesiącem, ograniczony został również dostęp do telewizji oraz międzymiastowych rozmów telefonicznych. W kolejnych regionach państwa pojawia się problem z niedoborem energii. A głodni ludzie zaczynają polować na bezdomne psy. Teraz przyjazną rękę wyciąga kolumbijski sąsiad. Pozostaje pytanie, czy uściśnie ją socjalistyczny Maduro? ■



Marcin Wolski

Nędza umysłowa

Nie mam pojęcia, czy to jest efekt stworzenia państw dobrobytu, czy niejako produkt uboczny przyspieszonego rozwoju, w każdym razie w oczy rzuca się powszechna nędza umysłowa dzisiejszego świata.

Gdzie podziały się arcydzieła literatury, malarstwa, muzyki, które mógł podziwiać cały świat? Są albo elitarne, przereklamowane bzdety, albo coraz mniej wybredna masówka przeważnie produktów wtórnych dla hołoty. To nie epoka Leonardów, Szekspirów, Chopinów czy Gaudich. Geniuszów brak, mamy za to mnóstwo celebrytów.

Coraz rzadziej też trafiają się (zwłaszcza na szczycie drabiny społecznej) ludzie zdolni ogarniać szerzej, głębiej, bardziej kompleksowo. Role inteligentów przyjęły wykształciuchy, trudno znaleźć polityka patrzącego dalej niż do następnych wyborów.

Wspomniany proces wspomagają dwie potężne siły destrukcyjne – oświata i media. Początkowo powszechność średniego wykształcenia pojmowano jako dobrodziejstwo, choć już wcześniej zauważono, że liczba uczniów nie przechodzi w ich jakość, a przepychanie ćwierć- i półanalfabetów z roku na rok sprawia, że obecne liceum zapewnia wykształcenie gorsze od przedwojennej podstawówki, magisterium to mniej więcej matura itp.

Nakłada się na to kryzys humanistyki i zwycięstwo systemów testowych nad relacjami typu mistrz–uczeń pozwalającymi lepiej wylawiać talenty, rozwijać oryginalność, pomysłowość zamiast powszechnego glajszachtowania i rzekomo obiektywnych kryteriów czy kluczy.

Na domiar złego jak świat długi i szeroki zwyciężyła jedna formacja intelektualna wywodząca się z kontrkulturowego buntu 1968 r. – ci, którzy palili wówczas marihuanę i staniki, gonili konserwatywnych profesorów, krzykali: „Zabrania się zabraniać!” – zafundowali nam lewacką soft dyktaturę w szkolnictwie, mediach i polityce. Ich pseudonauki w rodzaju *gender* czy dekonstruktywizmu można by dość łatwo demaskować na gruncie elementarnej logiki, ale ta nie jest dzisiaj wykładana.

Drugim filarem zgłupiałego świata jest telewizja. Niezależnie od jej ideologicznego nasączenia jest przede wszystkim środkiem nieustannego psucia wszystkiego – od wzorców etycznych po dobry smak. Nie wiem, czy stało się to świadomie, czy wyszło przypadkiem, w każdym razie „wynalezienie” telewizji pozorne bezpłatnych (bo w istocie za media utrzymywane przez reklamy płać konsumenci reklamowanych produktów) zapoczątkowało ich coraz szybszy upadek.

Demon oglądalności zniszczył wszelkie inne kryteria (a – jak wiadomo – tak jak pieniądź gorszy wypiera lepszy, tak gust masowy niszczy smak wysublimowany). Podlizując się możliwie najszerszemu gronu odbiorców, media wkroczyły na równię pochyłą, z której nie widać odwrotu, może być tylko głupiej, prymitywniej, brutalniej.

A przecież jeśli pewnych wartości nie zaszczepi szkoła, a telewizja będzie promowała antywartości, kto ma zapobiec przekształceniu człowieka w beźmyślnego konsumenta medialnej papki? Wpływ rodziny (dodatkowo często rozbitej) jest słaby i krótkotrwały. Kościół znajduje się w defensywie, nawet armia z poboru (która uczyła przynajmniej porządku i dyscypliny) przestała istnieć w większości krajów świata.

Ilu ludzi potrafi wyedukować się samodzielnie, wygrzebać z internetowego śmietnika rodzynki wartości? Lub chociaż samodzielnie patrzeć na świat i wyciągać wnioski bez klepania obłych komunalów?

Pocieszające jest, że w obliczu zagrożeń, które dziś spadają na cywilizację białego człowieka, są praktycznie dwa wyjścia – zawrócić ze złej drogi (choć to pieruśko trudne) lub zginąć. Mam nadzieję, że to pierwsze rozwiązanie jest ciągle jeszcze możliwe. Przynajmniej w Europie Środkowej! ■



Tomasz Sakiewicz

O co chodzi z tym Międzymorzem

Integracja tego regionu jest na pewno dla wszystkich opłacalna.

Zeby wytłumaczyć ideę Międzymorza, najpierw trzeba ustalić, o jakie akweny w tej koncepcji chodzi. Nawet dla słabego znawcy historii jest oczywiste, że mówimy o Bałtyku i Morzu Czarnym. Tymczasem zarówno w perspektywie historycznej, jak i dzisiaj, widać, że obszar ten jest większy. Idea Międzymorza dotyczy również krajów leżących nad Morzem Adriatyckim, chodzi oczywiście o Bałkany. Kraje te znalazły się w kręgu oddziaływania naszej polityki w drugiej połowie XIV w. wraz z sojuszem z Węgrami (Królowa Jadwiga była z matki Bośniaczką).

► Co dzisiaj łączy tak zwane kraje ABC

Wspólnota doświadczeń tych krajów jest dosyć oczywista. Wszystkie znalazły się pod reżimem systemu komunistycznego. Kraje byłej Jugosławii wyróżnia to, że wykazały się pewną niezależnością od ZSRS. Jednak piętno systemu powoduje, że miały i mają wiele podobnych problemów – ekonomicznych, społecznych i politycznych. Trudno mówić o grupie liderów tego regionu. Na pewno państwa Grupy Wyszehradzkiej i Bałtowie mają najwyższe PKB. Są też dobrze zintegrowane z gospodarką UE. Jednak różnią się na przykład w podejściu do Unii. Jedne przyjęły euro, inne (większość) bronią się przed tym, jak mogą.

Dla niemal wszystkich tych krajów poważnym zagrożeniem są militarne działania Moskwy. Wyjątek stanowi Serbia, która przez wieki była sojuszniczką Rosji. Dzisiaj Serbia balansuje między Zachodem a krajem Putina.

Mimo że większość tych państw należy do UE, są tam traktowane protekcjonalnie i niemal jak członkowie drugiej kategorii. Wszystkie poza Serbią są członkami NATO lub do tego aspirują (Ukraina, Mołdawia, Gruzja).

Nie jest prawdą, że mają słowiańskie początki. Trudno chyba za takie uznać korzenie Bałtów czy Węgrów. Charakterystyczne jest to, że nie mają germańskiego pochodzenia. Można powiedzieć,

że polityka Międzymorza tworzyła się w jakiejś opozycji do polityki cesarstw niemieckich. Kraje te łączy jeszcze wspólnota chrześcijańska, choć są podzielone na katolicyzm i prawosławie. Zresztą konieczność współżycia różnych wyznań stworzyła tolerancję I Rzeczypospolitej.

► Jakie korzyści z tej wspólnoty

Wystarczy spojrzeć na mapę, by zorientować się, że przez państwa ABC przebiegają szlaki komunikacyjne trzech kontynentów: Azji, Afryki i Europy. Kraje te w wyniku istnienia w dawnym obozie komunistycznym mają pewien poziom potrzeb kooperacyjnych. Zbliżony poziom życia powoduje, że stosunkowo łatwo jest im ze sobą prowadzić drobny handel. Widać wiele elementów wspólnej obyczajowości i kultury. Ułatwione jest też porozumiewanie. Jednak przy problemach globalnych są to rzeczy mniej istotne.

Zagrożenie militarne ze strony Rosji powoduje, że kraje te zaczynają zgłaszać podobne postulaty wobec NATO i USA. Próbuje obecnie wzmacniać swoją infrastrukturę militarną i angażować na tym terenie wojska Stanów Zjednoczonych. Nie dotyczy to Serbii i wydaje się problematyczne w przypadku Węgier. W interesie tych krajów leży wypracowanie wspólnego stanowiska wobec UE. Tu oczywiście pojawia się problem Ukrainy, Gruzji i Mołdawii, które do UE nie należą. Kwadraturą koła jest to, jak je do Unii przyjąć, nie pozbawiając pozostałych krajów ABC części dotacji. Oczywiście wojna na Ukrainie i okupacja przez Rosję części terenów Gruzji oraz faktycznie Mołdawii sprawę bardzo utrudnia.

Nie zmienia to jednak faktu, że integracja tego regionu jest dla wszystkich opłacalna. Zjednoczenie jest możliwe zarówno pod flagą UE (to dużo bezpieczniejsze), jak i tylko pod parasolem NATO. Model integracyjny będzie musiał udzielić odpowiedzi na zasadnicze pytania dotyczące UE. Mieszkańców tego regionu jest na tyle dużo, że mogą być poważnym partnerem w europejskiej debacie. Jest tylko jeden warunek: współpraca. ■

zależna niezależna niezależna niezależna
a niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna n
zależna niezależna niezale
niezależna niezależna n

zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

